

**Hrabal Bohumil**

**Pieśni dziadowskie i  
legendy**

## Spis treści

Pieśń dziadowska, którą napisali czytelnicy.....	6
Legenda o Egonie Bondym i o Włodeczku.....	11
Pieśń dziadowska o uczcie na świniobiciu.....	24
Legenda o igłach Lamertza.....	29
Dziadowska pieśń majowa, czyli była majowa cicha noc.....	39
Legenda o pięknej Julci.....	43
Legenda o Kainie.....	55
Pieśń dziadowska o królowej nocy.....	91
Legenda zagrana na strunach rozpiętych między kołyską a trumną.....	101
Pieśń dziadowska o podróżnikach dookoła świata.....	115
Pieśń dziadowska o zamordowaniu Agnieszki Grozówny.....	121
Pieśń dziadowska o egzekucji publicznej.....	130
Postscriptum.....	135
Posłowie.....	136

*Karolowi Marysce*

*poecie*

Jeśli masz fart, To zdechniesz jak panisko

Misiek Meisner

### **Pieśń dziadowska, którą napisali czytelnicy**

Proszę mi wierzyć, mistrzu, po przeczytaniu Pańskich książek nie mam już spokoju, nieustannie męczy mnie i prześladuje niewymowne piękno, subtelność, żartobliwość, smutek, mądrość, o rany, a niech to licha.

Ten wieprz wynajduje takie sytuacje, by dać wyraz swoim seksualnym perwersjom. Od chwili, kiedy to przeczytałem, nie mam spokoju, nie mogę przestać myśleć nie bez lęku, ileż to szkód wyrządzi wśród dojrzewającej młodzieży.

Uważałam pana za jednego z profesorów pobliskiej szkoły budowlanej.

Zastanawiałam się tylko, jaki przedmiot Pan wykłada. To, co w Panu miłe, a więc i piękne, to te błękitne jak przetacznik, dociekliwe oczy, których blask z latami nie wybladł. Wie pan, przetacznik to taki mały kwiatusek, wyrastający spośród kamieni, mający w błękicie kwiatu takie białe żyłki.

Ty obrzydliwy typie, ty zboczony staruchu o szczeniackich skłonnościach, ty obleśny wieprzu, twoje miejsce w kryminale, policja obyczajowa powinna z tobą porozmawiać, trzeba cię zamknąć w więzieniu albo w domu wariatów.

Mam tu przed sobą udzielony przez Pana wywiad, wszystkie Pańskie książki, fotografię z gazety z niezmierną siecią zmarszczek na czole, po których powinny jeździć wszystkie pociągi pod specjalnym nadzorem aż do królestwa stryjaska Pepi, do królestwa bezwzględnego zrozumienia.

Wygląda Pan jak zgrzybiały staruch, który z nudów dłubie w nosie, a mnie po prostu

szlag trafia, że też ktoś taki może reprezentować brneńskich rodaków. Dlatego napisałam do Pana prosto z mostu, w cztery oczy: że też się Pan nie wstydzi, piwoszu ty jeden nienachlany!

Dusza rzeczywiście napiła się czystej, niezmaconej wody. Cieszyłem się jak dziecko, czytając. Już dawno nie było mi tak ciepło na sercu. Wie Pan, człowiek jest z natury dobry i taka książeczka jak „Bawidułki” wywodzi dźwięki z tych najlepszych strun, z jakich utkany jest ten najdoskonalszy instrument muzyczny - ludzka dusza.

A co ma znaczyć ten obleśny symboliczny rysunek w „Bawidułkach”? Kim jest taki bawidulek, ty ośle? Czy ty myślisz, że nikt nie odgadnie, że ta gitara z gryfem to właściwie męski członek wylaniający się z kobiecego łona? Chciałbym, żebyś zjawił się na spotkaniu autorskim z przyzwoitymi młodymi ludźmi, przede wszystkim dziewczętami. Rozerwałyby cię na strzępy za to, jak piszesz o tym najświętszym, co ma każda dziewczyna!

Proszę Pana, po raz pierwszy w życiu piszę do autora. Wczoraj po przeczytaniu książki „Cóż za pomysł, tato?” myślałam, że napiszę do Saroyana, ale komuż by się chciało szukać go gdzieś po świecie. Pan jest bliżej...

Wiecie, jak się zostaje pisarzem? Jeśli nie wiecie, poradzi wam pan Hrabal:

„Jechałem nad morze do Jugosławii, ach, jakaż tam była wichura, istne szaleństwo natury: jak coś takiego wedrze się mężczyźnie do rozporoka, od razu zaczyna być pisarzem”. Według takiego przepisu nietrudno zostać pisarzem.

A poza tym, jeśli idzie o Pańską metodę kompozycyjną, nie mogłem się nadziwić, z jaką beztróską porusza się Pan na cienkim lodzie. Brawo, dlaczego by nie, jeszcze raz brawo! No a z wyrazu Pańskiej twarzy wywnioskowałem natychmiast, że koresponduje bez reszty z pańską metodą kompozycyjną.

To ciebie obciąża, że młodzież od trzynastu do piętnastu lat kurwi się w mieszkaniach swoich pracujących rodziców. Jak za to odpowiesz?

U nas w szkole często podczas lekcji języka ojczystego czy też na przerwach dyskutuje się o Pańskich książkach. Ilekroć słyszymy wyraz, słowo, które przypomina jakiś epizod z Pańskich książek, wystarczy powiedzieć: Hrabal i już wszyscy ryczymy ze śmiechu.

Ktoś stworzył wokół niego aureolę i teraz mówi się tylko o tym, jaki to wspaniały pisarz itp. A to łajdak, szalbierz, może pedał albo impotent. Przecież wszystkie te jego tak zwane ludowe wyrazy są karalne, ale tym zająć się powinni z jednej strony neurologowie, z drugiej zaś policja obyczajowa.

Niech mnie Bóg broni przed porównaniami, ale naprawdę jest Pan z rodu

Vanczurów, z rodu Ladislava Klimy, z rodu Jarosława Haszka, z rodu Kubina. Ma Pan wspaniały słownik, pełen poezji, nic przesłodzonego i łzawego, ale krwiste, zwierzęce.

I coś jeszcze: był Pan ponoć komiwojażerem. I ja byłem kiedyś domokrażcą sprzedającym grzebienie, żyłki, kamyczki do zapalniczki, zimne ognie, lepy na muchy i podobną galanterię.

Ty wstrętny wieprzu, którego dziś wszyscy wynoszą pod niebo, kiedy wreszcie przestaniesz zatruwać ludzkie dusze swoimi niesmacznymi perwersjami? Ile przechla-łeś ze swoimi „krytykami” i recenzentami w burdelach, że tak cię wychwalają?

Jak Pan wie z całą pewnością, w dniu dwudziestego ósmego marca obchodzony jest corocznie Dzień Nauczyciela, a także Pańskie urodziny. Byłbym wprost niewiarygodnie szczęśliwy, gdyby, mistrzu, napisał Pan, że miałby Pan w maju ochotę porozmawiać z nami, jest tu wiele pięknych dziewcząt i wszystkie Pana ubóstwiają, a także młoda nauczycielka języka ojczystego.

Dość Hrabala! - oto hasło przyzwoitych ludzi. Niech ci się nie wydaje, że twoja sława sięgnie nieba. Ty gnoju, wieprzu zwichrowany! Niech cię diabli wezmą!

Oto właśnie teraz miliony haczyków wbiły się w rdzeń w moich kościach.

Złowią szpik i wyciągną jak rybak wędką. Śmiertelny, dojmujący ból. Ale jeśli ktoś skinie mi ręką jak Pan, łatwiej ten ból znieść, gdy czuje się, że ktoś rozumie. I za to współczucie z nieznanymi niechże się wszystko Panu w życiu udaje.

Żałuję, że nie mam czasu, aby ci jeszcze dziś wieczór plunąć z radością w tę twoją obleśną gębę, ty gorszycielu młodzieży.

Zwrócił mi Pan dziś, mistrzu, tą swoją książeczką nastrój, w którego istnienie dawno już przestałem wierzyć, obudził mnie Pan z ospalej, tępej rezygnacji, skropił mnie Pan jakimś ożywym eliksirem, oczyszczającą tynkturą.

Niejednokrotnie byłem w Zakładzie Rehabilitacji Psychiczej, inaczej mówiąc w domu wariatów, naprawdę tam byłem, jednak nie jako pacjent, lecz jako stomatolog. Pewnego razu któryś z pacjentów zostawił w poczekalni zeszyt z notatkami, a ponieważ nie wiedzieliśmy, do kogo ten zeszyt należy, zatrzymałem go sobie. Teraz, po przeczytaniu „Lekcji tańca”, bardzo żałuję, że tego dzieła literackiego nie zaproponowałem wydawnictwu. Jaką ogromną stratę poniosła czeska i - być może - światowa literatura, gdy wrzuciłem ten zeszyt do kosza...

Jest wiele odmian humoru, których oręż sięga ludzkiego serca. Każda inaczej.

Oręż pana Hrabala podzwania srebrem, a z rany, jaką zadaje, sączy się balsam.

Kolejarze powinni postawić cię przed sądem albo ukamienować, bo według ciebie, ty wstrętny bydlaku, na kolei nie robiło się nic innego, tylko „pierdoliło” na kanapie pana zawiadowcy.

Wysoko cenię Pana pomysły, myśli, głębię i serdeczność, narratorski talent i całą tę resztę; wszystko to sprawia, że Pańskie książki są takie przejmujące, zupełnie tak, jakby cię ktoś głaskał.

Szlag mnie trafia, kiedy w kawiarni albo na platformie w tramwaju słyszę: „Co powiesz o Ferlinghettim?”. To „tak, niezły”, najbardziej mnie złości. Piszę do Pana dlatego, że Pan ani trochę nie jest niezły. Pan to ucieleśnienie prowokacji. Nie pozwala Pan zasnąć, zmusza Pan, by ciągle go czytać, nie da się ukryć, że zabiera Pan czas.

Jak na to mamy patrzeć my, wychowawcy, a przy tym ojcowie dorastających dzieci, znajdujących się właśnie w tym najdelikatniejszym wieku, w okresie dojrzewania? Jak mam na przykład swojemu szesnastoletniemu synowi wyjaśnić, co to jest „cipeczka”?

Niech Pan zostanie bokserem, białym bombardierem, zabijaką, niech pan wali mnie tymi swoimi prostymi w podbródek, w *solar plexus*, a ja Panu obiecuję w zamian, że będę trenować, chciałbym wytrwać z Panem na ringu aż do ostatniego gongu, na techniczny nokaut niech Pan nie liczy, przy dziewięciu zawsze się podniosę, będę dalej walczyć, mój przeciwniku, mój drogi przeciwniku.

Zdaniem niektórych recenzentów i krytyków ten wieprz Hrabal jest ponoć kontynuatorem Jana Nerudy i innych naszych klasyków. On nie ma najmniejszego prawa choćby tylko przy Nerudzie stanąć! Haszek w całym swoim „Szwejku” na kilkuset stronach nie ma tyłu świństw, co ten patologiczny seksualnie osobnik!

Jeśli my, Czeši, mamy jakąś szczególnie sympatyczną cechę, która czyni nas wyjątkowymi, po prostu stuprocentowymi i niepowtarzalnie czeskimi, mistrzu, to właśnie owo „bawidułkostwo”, to znaczy umiejętność najzwyczajszego ludzkiego gadulstwa, wplecenia siebie i innych w barwny gobelin przedziwnych i przepięknych słów i zdarzeń.

---

PS

Starożytni Hindusi zawarli w swoich „Wedach” trafne zdanie: „Tat twam asi”, co tłumaczy się: „To jesteś ty”. A więc ten portret jest nie tylko moim portretem, lecz także konterfektem każdego spośród moich czytelników, każdego człowieka w ogóle.

Lao-Cy w księdze „Tao-te-cing” napisał pięćset lat przed narodzeniem Chrystusa:

„Znać swoje białe i wspierać swoje czarne - oto jaki wzór obowiązuje w podniebnej krainie. Znać swoją sławę i wspierać swoją hańbę - taki człowiek jest podniebną doliną”. Pewien król perski, którego nadworny poeta porównał w swojej pochwalnej odzie do słońca, ów perski władca, wysłuchawszy wiersza, zauważył: „Mój lasanoforos temu przeczy”. A

lasanoforos to po persku nocnik. Starożytni doskonale wiedzieli więc, że portret człowieka składa się dialektycznie z paszkwilu na niego i peanu na jego cześć. My, w wieku dwudziestym, skłaniamy się raczej ku temu, aby dostrzegać w sobie to najlepsze, chwalebne, w innych zaś - to najgorsze, godne potępienia. I tu tkwi źródło chaosu. Konfrontacja ta nie chce być niczym innym jak pochwałą mądrości starożytnych i krytyką głupoty współczesnych, jeśli by nie okazali się na tyle mądrzy i nie powrócili do dialektycznego portretu człowieka jako miary wszystkich rzeczy.

### **Legenda o Egonie Bondym i o Włodczku**

Z przystanku na bulwarze rusza tramwaj i Bondy mówi:

- Niech pan przyspieszy kroku, doktorze, wydaje się, że z przystanku na bulwarze rusza właśnie tramwaj.

Szliśmy potem pod kwitnącymi akacjami i nagle Egon Bondy wbił mi się paznokciami w rękę i powiada:

- No, no, to ci numer! Wygląda na to, że idziemy pod kwitnącymi akacjami.

Później szliśmy wzdłuż ogrodu, kaleka o jednej nodze klęczał tam na ławeczce i odcinał piłką gałąź, pusta nogawka trzęsła się, kule leżały opodal. Egon Bondy łaskotał mnie wąsikami w ucho i szeptał w zachwycie:

- Wygląda to tak, jakby inwalida o jednej nodze klęczał na ławeczce i ucinał piłką gałąź, pusta nogawka jak by się trzęsła, a kule jakby leżały opodal.

Wkrótce przeszliśmy z Kępy na Małą Stranę, na placyk, gdzie Włodczek rozstawił sztalugi przed ścianą z odpadającym tynkiem, na tych sztalugach położył deskę, do tej deski przymocował arkusz papieru i na tej ćwiartce tworzył, obrysowując pęknięcia, portret Egona Bondy'ego. Później przyszedł Bausze, rozstawił sztalugi za

Włodczkiem i obrysowując pęknięcia w murze, rysował Włodczka rysującego Egona

Bondy'ego. A potem przyszedł Doczekal, postawił sztalugi za Bauszem i rysował Bauszego rysującego Włodczka tworzącego, obrysowując pęknięcia, portret Egona Bondy'ego.

Egon Bondy, kiedy szliśmy obok tej sprzężonej ze sobą grupy plastycznej, udawał, że prowadzi na niewidzialnej smyczy totalny realizm.

- Co wy tu malujecie? - spytał Bondy.

Doczekał odpowiedzi, że maluje Bauszego, który maluje Włodeczka, który według pęknięć na murze rysuje portret Bondy'ego. A kiedy Bondy spytał Bauszego, Bausze powiedział, że rysuje Włodeczka, który rysuje portret Bondy'ego, Włodeczek jednak oświadczył, że maluje eksplozywną plamę.

Egon Bondy podszedł do Doczekała, wymierzył mu policzek i oznajmił:

- To dla Bondy'ego!

Doczekał posłał policzek Bauszemu, Bausze wymierzył policzek Włodeczkowi, a Włodeczek trzema palcami dotknął szczeliny w murze i zaśmiał się straszliwie:

- Chachachachacha!

Nim Bondy wrócił do domu, twarz mu spuchła. Egon Bondy spoglądał w lustro i dotykając palcami spuchniętego policzka, mówił:

- Wygląda na to, że dostałem po gębie!

Tego wieczora spotkał się Bondy z Włodeczkiem „Pod Dwoma Babusiami”.

Włodeczek mówił z zapalem:

- Z plam i ścian z odpadającym tynkiem pragnę stworzyć w Pradze galerię obrazów!

- Ajajajajajajaj! - śmiał się Egon Bondy, wplatając w ten śmiech niemieckie wyrazy.

Kiedy wyszli, Włodeczek zatrzymał się przed murem Klementinum i krzyknął w mrok:

- Spójrz no tylko! - I stał przed plamą bez ruchu. - To, Egonku, wygląda tak, jakby tu ktoś stał, ta klatka piersiowa, spójrz, Bondiczku, ta szczelina wygląda jak uduchowiona twarz.

Włodeczek dał się porwać eksplozjonalistycznemu uniesieniu, sięgnął po stolarski ołówek i aby przydać swoim słowom większej wagi, zaczął obrysowywać kontury odpowiedniego kształtu na murze i nie przestawał się zachwycać:

- Patrz, Egonku, ta ręka... jakby ścisnęła papierosa, a ta tu plama wygląda jak dym...

Nagle jednak ta cała plama poruszyła się, ze ściany mocna ręka wymierzyła

Włodeczkowi tak realistyczny policzek, że Włodeczek osunął się na ziemię, bo pod murem Klementinum stał czeladnik piekarski czekający na dziewczynę, która się spóźniała.

Włodeczek szukał na czworaka okularów i mamrotał:

- Ale ze mnie idiota!

- Ajajajajajajaj! - wrzeszczał w zachwycie Egon Bondy. - Niech żyje totalny realizm!

A potem wstąpili do „Rycerza Małmazji”, jak to mieli w zwyczaju.

A kiedy tam już dobrze sobie popiliśmy, poszliśmy do nas, na Libeń, Na krawędź wieczności. Kiedy zbliżała się godzina zamykania lokali, Bondy i Włodeczek wzięli dzbanki i



bańki, aby po raz ostatni przytargać Popowickiego Kozła.

Kiedy wracali z pełnymi naczyniami, a na dodatek z bańką, którą pożyczył im łaskawie pan Waniszta, kiedy zatrzymali się potem przed domem, z którego przed chwilą wyszli, Włodeczek powiedział z diabelskim błyskiem w oczach:

- Ta plama wygląda jak drzwi.

Egon Bondy roześmiał się:

- Ależ gdzie tam, my, totalni realiści, nie damy się nabić w butelkę! O tu!

I gwałtownie wszedł w drzwi, które jednak okazały się plamą.

Włodeczek wrzeszczał:

- Chachachachachachacha! Wiedziałem! Niech żyje eksplozjonalizm!

Egon Bondy wytupywał później z ubrania rozlane piwo i przy wodociągu moczył sobie rozbity nos i mamrotał, wplatając w to niemieckie słowa:

- Ale ze mnie idiota!

A potem wybiegł, nie panując nad sobą ze złości, na dwór, aby skopać tę fałszywą plamę. I ja z Włodeczkiem także wybiegliśmy na dwór, przypuszczając, że

Egon Bondy idzie rzygać, jak to miał w zwyczaju. Zdziwiło nas więc bardzo, że Bondy kopie ścianę.

Jakież jednak okazało się nasze zaskoczenie, kiedy przybiegła w białej koszuli gospodyni domu.

- Czegóż to, chłopcy - krzychała - kopiecie mi w drzwi?

Cały dom postawiliście na nogi!

---

PS(1)

Włodeczek otworzył żelazne drzwi, przegrodzony strych, otynkowany pochyły dach, mansardowe okno.

- Depczę tu chyba panu po jakimś obrazie - mówię.

- To nic - powiedział Włodeczek. - To dywan. - A potem wychylił się z okna i mówił głosem z oddali: - Co wieczór tak zaglądam ludziom do łazienek, mieszkań i w ogóle.

- No tak - ja na to - ale za chwilę zaczną się mrozy, a wtedy nie może pan tu rysować.

- Ależ tak - powiedział Włodeczek i padł na kolana. - Mam to już przemyślane:

włączam na przemian coraz to inne mięśnie.

- Jeśli tak, to w porządku - powiadam. - Ale żeście chodzili do „Małmazji”?

- Tak, spotykaliśmy się tam, ja, Reegen, Bausze, Krauer. Najpierw jednak zesłaliśmy

się koło rybek, przy fontannie z rybkami, tam, przy tym kamiennym wodotrysku koło jedyńki na placu Staromiejskim.

- A ja w tym wodotrysku - mówię - myłem sobie codziennie twarz, kiedy pędziłem tamtędy na autobus do Kładna!

- Tak - powiedział Włodeczek - tam są nasze święte strefy. Przy ulicy Karola, jeszcze teraz są tam plamy, które obrysowywał Rotbauer, pewnego razu tak podnieciliśmy tłum, że ludzie skakali po ścianach i wskazywali sobie tyczką w plamach swoje skonkretyzowane tam wizje, a my z nimi od latarni do latarni. Krauer, Reegen - powiedział Włodeczek i ze stosu papieru wyciągnął fotografię. Kłuł ołówkiem oczy młodego człowieka.

- To Reegen. Przez pewien czas sypiał z chłopakami na Słowiance w opuszczonej oranżerii, tam na kocu śnił swój sen... w ciągu dnia palił, pił piwo, rysował, jego knajpa: „Piekło” na Kępie. W zimie, żeby nie zamrznąć, sypiał w oranżerii w szafie i aby się nie udusić, drzwi tej szafy zastawiał polanem.

- Wie pan co - mówię - niech pan się przeniesie do nas, na Libeń, będzie pan sypiał z czeladnikiem stolarskim...

- Może - powiedział Włodeczek - ale tego tu się nie wyrzeknę, pracuję teraz nad międzyplanetarnym współzawodnictwem, niech skurwysyny wiedzą, że ze mną trzeba się liczyć! Zgłosiłem także pomysł racjonalizatorski: łopata z pierścieniem... Przecież nawet ta Altamira powstała na podstawie skojarzeń... - powiedział Włodeczek i ołówkiem kreślarskim kończył na szczelinie komina rysować samicę bizona. - Widzi pan? Wystarczy tylko dociągnąć i Altamira przestaje być zagadką.

- Dobrze - powiadam - ale, moim zdaniem, to dopiero początek...

- Możliwe - powiedział Włodeczek. - Ale ja zajmuję się innymi rzeczami. Kiedy rysuję na ulicy, ludzie zaczynają udawać... rozpętuję w nich to samo, co surrealiści osiągnęli jako jednostki. Przecież nawet w plamie na ścianie Rembrandt jest bardziej chwiejny... a zresztą to już obraz widza. To, co surrealiści mają we wszystkich swoich książkach, ja mam w małym palcu! Ci dzisiejsi nie mają doznań, powtarzają tylko, korzystają z żywych ongiś formułek. Niech pan zrozumie: nie będę czekać, aż uzna mnie jakaś przyszłość! Ja chcę wszystko natychmiast, teraz! Zainteresować ludzi z miejsca, od razu, tworzyć sztukę z ludźmi, w ludziach, bezpośrednio, nie poprzez galerie.

A potem ulica wyszła nam naprzeciwko.

- Tam, gdzie jest ten dzwon - odezwałem się - tam mieszkałem. Ten dzwon urwał się i wpadł przez dach do tego domu, w którym mieszkałem.

- Tak - odparł Włodeczek - ale tam na tej ścianie rysowałem i ludzie myśleli, że to nie

są pęknięcia, ale że obrysowuję zatarte freski.

I Włodeczek szedł koźlim truchtem, ugiął nogi w kolanach, ni stąd, ni zowąd wyrzucił w górę nogę i podeszwą dotknął znaku drogowego, bo miał prawie dwa metry wzrostu. Na rynku Malostranskim rozstawił sztalugi. Na nich tablicę z białą ćwiartką papieru. Farby.

- Tu, ta partia - powiedział Włodeczek i podszedł do kolumny nośnej, i wskazał rękę. - Tu, ta partia, jak pan myśli, co to jest?

- Krajobraz księżycowy - ja na to. - Jezioro i łąka, na której pasie się byk.

Włodeczek mieszał terpentynę. Po chwili zjawiała się piękna dziewczyna na wysokich obcasach.

- Co ten pan maluje? - odezwała się po chwili.

- Widzi pani tutaj - spytałem - jezioro i łąkę, na której pasie się byk?

Dziewczyna jednak oświadczyła:

- Ja tam widzę, wie pan co? Myśliwego w czerni.

Włodeczek powiedział:

- Dobrze, wobec tego namalujemy myśliwego w czerni.

I na księżycowym krajobrazie z pasącym się bykiem namalował myśliwego w czerni.

- Ale ja tam widzę coś zupełnie innego - powiedział człowieczek w nasuniętym na czoło kaszkiecie. - Ja widzę tam mapę Europy... - powiedział i paluszkami obrysował w pęknięciu ściany to, co widział.

Włodeczek obok pasącego się byka w księżycowym krajobrazie i myśliwego w czerni namalował mapę Europy. A potem z tłumu zaczęli występować widzowie i obrysowywali palcem swoje wizje, które Włodeczek malował jedno na drugim i obok drugich, wciąż na tej samej ćwiartce papieru. Sowy i pawiany, spływającą lawę u podnóża Wezuwiusza, brudy wylane z kubła i znajdujące się właśnie w powietrzu, dwie wydojone kozy. Tłum rozlał się po chodniku aż po jezdnię. Policjant z komendy ruchu przyszedł ze skrzyżowania, uniósł białe rękawy jak kapłan i powiedział:

- Proszę mi tu nie zakłócać ruchu!

Inteligent w okularach zawołał:

- Ależ to nie może być sztuka! Sztuka to coś pięknego, doskonałego, to coś, co nas przewyższa... A to jakieś bazgroły...

- To jest obraz - powiedział Włodeczek. - To tu, to już skończone dzieło.

I wysunęli się trzej mężczyźni w nieprzemakalnych płaszczach. Jeden z nich spytał:

- A cóż to pan, mistrzu, maluje?

- Nic - odpowiedział Włodeczek.

- To tak?! - powiedział mężczyzna. - Podczas gdy lud buduje pięciolatkę, taki jeden tworzy NIC.

- Tak - potwierdził Włodeczek. - Nic.

- A czy wie pan, mistrzu - zaczął krzyżeć mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu - że istnieje niejaki Courbet?

A ja na to:

- Ponieważ ten tu oto Włodeczek ma za sobą czteroletnie studia w Akademii Graficznej, ma prawo o Courbecie nie pamiętać. Nieprawdaż?

- Patrzcie tylko - powiedział mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu - pan naganiacz.

- Niech tam - mówię - ale każdy adept sztuki w pierwszym rzędzie wie doskonale, że w imieniu Courbeta potępiano Moneta, w imieniu Moneta Cezanne'a, w imieniu Cezanne'a Picassa... i tak aż do tej chwili, w jakiej się właśnie znajdujemy. - Przypierałem go do muru, patrzyłem z bliska w oczy, a potem rąbnąłem wprost: - Tylko pański spróchniały mózg nie może tego pojąć!

- A pan kto? - zachnął się mężczyzna ze wstrętem. - Mógłbym się o pana pobrudzić! To faszystowska prowokacja! Prowokowanie ludu pracującego! Powinno się wezwać policję!

Kierujący ruchem policjant przyszedł ze skrzyżowania, podwinął biały rękaw i powiedział:

- A więc, panowie, po raz ostatni! Za pięć minut zacznę spisywać protokół!

Z tłumu wynurzył się mężczyzna z przedziałkiem pośrodku i powiedział:

- Cała ta sprawa to nieporozumienie. To pomyłka. Dajcie sobie z tym spokój.

Rozejdźcie się, panowie, jestem redaktorem regionalnego pisma nauczycielskiego.

Niech każdy idzie w swoją stronę. Bądźcie rozsądni. W ten sposób nie można przecież rozstrzygać istotnych problemów...

Mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu podwinął rękaw, spojrział na zegarek i powiedział do zebranych:

- Ludzie, właśnie o godzinie piątej czterdzieści pięć minut i dziesięć sekund ci oto mistrzowie odkryli przed wami NIC. - Po czym wraz ze swoimi przyjaciółmi przeszedł na drugą stronę ulicy. A środkiem Mostowej kroczył E.F. Burian w kamizelce usianej złotymi pszczołkami. Włodeczek złożył sztalugi. Redaktor nauczycielskiej prasy regionalnej oświadczył:

- Muszę o tym napisać w naszej gazecie, będzie to przepiękny artykuł, ale trzeba do

tego, chłopaki, podejść odrobinę z naukowego punktu widzenia.

Szliśmy przez most Karola. Włodeczek zerwał z tablicy pomalowany arkusz i wrzucił go do Wełtawy w tym samym miejscu, gdzie stał krzyż upamiętniający strącenie do Wełtawy Jana Nepomucena. Arkusz z wolna spadał zygzakiem na taflę wody. I wysypały się do Wełtawy sowy i pawiany, myśliwy w czerni, pasący się byk, krajobraz z jeziorem, kubek brudnych pomyj, dwie pasące się kozy i rozlewająca się lawa u podnóża Wezuwiusza. Dziennikarz pochylił się, tak jakby chciał skoczyć za odpływającym obrazem.

- Dlaczego pan to, człowieku, wyrzucił? Co też pan wyprawia?! Takie piękno, a pan to, nieodpowiedzialny człowieku, wrzucił do rzeki!

- Jakież to ma znaczenie?! - powiedział Włodeczek i szedł koźlim kroczkiem, nos miał z lekka zdeformowany, jako że od dziecka ssał pierś wszechświata.

Włodeczek jak girlsa wyrzucił w górę nogę i czubkiem buta dotknął napisu na tablicy: PRZYSTANEK TRAMWAJOWY, bo miał metr dziewięćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu. Dziennikarz regionalnego pisma nauczycielskiego przeszedł z pochyloną łagodnie głową pod rozporkiem Włodeczka i z uniesionym paluszkami przypominał:

- Takie piękno! A pan to wyrzucił!

A nad Pragą sklepiał się piękny wieczór.

PS (2)

Czeszę się grzebieniem pod światło i ogarnia mnie niepokój: ileż tych włosów wyczesalem.

- Rozpadam się już powoli - mówię.

Egon Bondy siedzi na kanapie, butelka przy nodze przykrytej nieprzemakalnym płaszczem myśliwskim. Dom wstrząsa przeraźliwy dźwięk rur kanalizacyjnych. Bondy zrywa się i nasłuchuje z uwagą.

- Co to jest?

- Kamienica się nam zesrała - mówię i włączam radio. Bondy opiera się o ścianę i nasłuchuje. Nasłuchuje w gaciach, jak to symfonicznie chlupce i bulgoce w domu.

- O kurwa, ale numer! - chwali Bondy i wkłada spodnie.

- Nie ma pan papieru, doktorze? Te moje nieszczęsne wypróżnianie!...

Podaję mu gęsto zapisaną przebitkę.

- U nas - powiadam - jako papier do dupy, jak powiada pan Maryśko, służą wierszyki.

Bondy wypija butelkę wody, oko radia świeci zielono i śpiewa słodko:

*Ich bin heute ja so verliebt...  
noch nie war das Leben so schön...*

I sznurki ze sznurowania sztucznej nogi, protezy, która służy jako żyrandol, spoczywają na ciemieniu Bondy'ego.

- Bardzo chciałbym to wiedzieć - mówi. - Kiedy słyszę taką muzykę... Jak to możliwe, że przychodzą mi setkami do głowy same szlachetne strofy... W wiedeńskim więzieniu, taka góra żarcia, wyrywam stronę z gazety, żeby sobie zapakować wyżerkę, i czytam: „Zawisz stracony...”

Tenor śpiewa słodko dalej:

*Nur für Natur - hegte Sie - Sympatie...  
unter Bäumen süßes Träumen,  
liebe Gräfin Melanie...*

Na dworze pada gęsty śnieg, na dworze stoi malutka Cyganecka z lalką w ręku, lalką w takim stroju, jak śniada dziewczuszka.

- Musimy to przeanalizować - ja na to - ja odreagowuję urazy tylko tak, że śpiewam partie tenora operowego i widzowie więdną... No, proszę... - mówię i wraz z

Bondym pochylamy się nad radiem.

*Lieber Freund, was gibt es mit den Sternen?...*

A potem wychodzimy, Cyganecka przyciska do siebie lalkę, obraca się, macha nóżką i zastyga ze skrzyżowanymi nogami. Gablotka na ścianie, w gablotce plakat z połączonymi ze sobą drutami telefonicznymi, napis: Znacie tych koleżków?

- No nie - dziwi się i cieszy Egon Bondy - toż to zupełny Salvador Dali! Ale u

Włodeczka nabiera to paranoidalnych wymiarów... te listy... szanowny panie profe-sorze, asystenci, te donosy na redaktorów... a potem ten wierszyk:

*Jadzia ojcu szła naprzeciw  
i zrywała polne kwiecie...*

- każde słowo na osobnej stronie.

Na brzegu Rokitki połamane łóżko.

- Wie pan, jak umarł ojciec Włodeczka? - spytał Bondy. - Wpadł do nocnika, a kiedy go podnieśli, powiedział:

„Włodeczku, czyść codziennie zęby...” i umarł.

W Rokitce kąpie się kos. Na parkanie dziecięcy rysunek, śledź matias, strzałka i napis: Fiszer.

- Włodeczek musi to koniecznie sfotografować! - powiada Bondy.

A potem opustoszała letnia restauracja, krzesła, stoły jeden na drugim, liście, w których szeleści padający nieustannie śnieg. Na zamrożonej Rokitce składane łóżko.

- Bondy - powiadam - rozstawić by tak to łóżko i położyć się na nim ze złożonymi rękoma i sterczącym chujem... Ale posłuchaj, każdego ranka Włodeczek puka do drzwi i przez płyciny przekazuje mi przerażającą wiadomość, coraz to bardziej zwariowaną. Na przykład dziś mi powiada: „Doktorze, żyje pan jeszcze?

Miałem wrażenie, że poderzwał pan sobie żyły”. A potem wyciąga skrzypce i zaczyna potwornie rzępolić, a na domiar złego śpiewa przy tym zupełnie inną piosenkę. A

potem gra z kolei na mandolinie niczym Smierdiakow... Ni stąd, ni zowąd wrzeszczy:

- Chachachachachachachacha!

I przez ścianę powiadamia mnie, że wymyślił samobójstwo doskonałe, że w pokoiku zamontuje miecze, ja zamknę się tam, połknę klucz, a on włączy maszynę, która mnie z wolna posieka na kawałki. Albo wtargnie do mnie, tak że ze zgrozy doznam w łóżku porażenia wszystkich członków, a Włodeczek unosi ręce: „Dlaczego pan tu leży? Na co pan tu czeka? Dlaczego nie pójdzie pan między ludzi? Ja mam już tysiące dowodów, tysiące ludzi już o mnie wie, a pan co, biedaczku, z tymi pańskimi pierdołami? Francuskie radio doniosło właśnie, że w Pradze najważniejszym kierunkiem w plastyce jest eksplozjonalizm. Chachachachachachachacha!”

- Bondy - powiadam i kładę rękę na rękę Egon - a mnie oblewa śmiertelny pot, bo zawsze pociesza mnie czymś jeszcze bardziej przerażającym niż to, z czym do mnie przyszedł, i dziś rano mi mówi:

- Zaniósłbym pana wraz z narzędziem tortur, na którym bym pana rozpiął, zaniósłbym pana nad staw i powoli opuszczałbym pana pod wodę tak długo, dopóki tworzyłyby się bąbelki, raz po raz, aby pana nie utopić, aby mi pan nie zdechł... a gdybym chciał pana wykończyć naprawdę, wrzuciłbym pana do kanału, posypał karbidem, a jak po jakimś czasie musiałby się pan wyszczać, zająłby się pan sam przez się i spłonąłby pan niczym jakaś pochodnia.

Bondy jest wprost zdruzgotany:

- Ajajajaj, ajajaj! Ja muszę to wydłubywać szpilką, a ten potwór ma tego pełen łeb. I co jeden pomysł, to genialniejszy! Ale numer!

Na śmietnisko na brzegu Rokitki przyjeżdża samochód ciężarowy i wysypuje odpadki. Bondy śpiewa falsetem:

*Lieber Freund, was gibt es mit den Sternen?*

A potem zastyga w bezruchu.

- Ale jak zmusić Włodeczka, żeby malował? Aby pojawiły się tu artefakty?

Wysypisko śmieci rozgrzebują teraz wynędzniali starcy i staruszki, którzy czyhali opodal, klamrami rozgarniają i sortują: drewnianka, koks, blaszki, papier, buty.

- Trzeba go zamknąć w domu wariatów! - mówi Bondy urażony. - Odpocznie tam. Będzie tam mógł tworzyć, ale ta tu mulda i ci starcy - toż to pełny obraz kapitalistycznego świata! Jutro trzeba pójść po świadectwo zdrowia, pójdę tam z nim.

Jak zademonstruje specjaliście jedną siódmą tych swoich wygłupów, będzie mógł rysować i malować przez pół roku, przez pół roku być nerwowo chory...

Śnieg zaczyna padać coraz to gęściej i gęściej, płatki osiadają Bondy'emu na wusach, śpiewa cicho:

*Unter Bäumen süßes Träumen,  
liebe Gräfin Melanie...*

- Wie pan - mówi Bondy i stawia buczki, jakby szedł po napiętej linie - wie pan, kiedy pozwolono Zawiszowi na ostatnie spotkanie z żoną, rozmawiali ze sobą tak, jakby widzieli się po raz pierwszy i zakochali się w sobie od pierwszego spojrzenia. On wyznawał jej miłość, a ona przysięgała mu wierność, a potem mówili sobie, jak to wspólnie załatwią... A Włodeczek? Ten jego kompleks wyobcowania? Naj-sumienniejszy urzędnik w kraju? Dlatego wsadzić do samochodu i wywieźć... *noch nie*

*war das Leben so schön...*

- Mój brat - mówię - kiedy wrócił, to mówił, że skazańcy pamiętali, że w kostnicy obok kobiecego ciała leżały jeszcze jakieś ciała męskie...

- Ale kto ją tam wrzucił? - krzyknął Bondy z zapalem i podnosi kamyczek, i rzuca go na zamrażniętą Rokitkę, na lodzie połamane składane łóżko żelazne. Pusty wózek ciągnięty przez mężczyznę i zaśnieżoną kobietę, i zaśnieżoną dziewczynkę, wszyscy z pochylonymi



pod padający gęsto śnieg głowami.

- Będzie z niej kiedyś piękna panna - powiada Bondy.

Idziemy teraz tyłem, za podniesionymi kołnierzami. Przy niewielkim wodospadzie, między starymi garnkami i zamarzniętymi szmatami, pluska się radośnie kos.

- To jest nasz wiek - mówi Bondy - za nami ślady, przed nami gęsty śnieg, w który wkraczamy, idąc tyłem. Wie pan, czuję się teraz taki jakiś opuszczony, taki samotny, przychodzę do Mikołaja, grzeję się, ale ta jego jest już w domu, co chwila otwiera drzwi, patrzy na mnie z takim wyrzutem, że muszę wyjść znów na dwór, wie pan, że gdyby mnie ktoś znał tylko wedle „Prager Leben”, pomyślałby, że ten Bondy to bubek, ale ja już nim nie jestem, staję się coraz to bardziej i bardziej liryczny...

gdybym się ożenił, wychodziłbym jej naprzeciw i rozmawialibyśmy ze sobą o poezji, może by mnie utrzymywała, a może ja bym znalazł sobie coś na kilka godzin. Mikołaj mówił mi, że małżeństwo opląca się dopiero po dwóch, po trzech latach... ale nie czułbym się taki samotny - mówił Bondy cichutko, potem odwróciliśmy się i szliśmy pochyleni w zamięć. W pasażu baru samoobsługowego „Świat” biegał opuszczony wynędzniały pies. Bondy wyciągnął rękę, ale pies się już nie odważył. Na oszklonej wystawie kwiaciarni napis: CIĘTE KWIATY WPROST Z CHŁODNI!

Cyganka podbiega do szklanej ściany, przyciska nos do tafli, Bondy daje jej przez szybę buziaka. Cyganka odskakuje, spluwa, staje na automatycznej wadze i spogląda w lusterko.

- Wie pan - mówi Bondy - moja matka wyskoczyła z okna, nie przestaję o tym myśleć, wobec tego mam przy sobie takie malutkie zabezpieczenie, luminal. Mam to tu w kieszeni, oto ono... Albo uciec stąd gdzieś za granicę? Tam przynajmniej może pan krzyżeć, ale co tu, w taką nie pogodę, nie zobaczyć ani jednego swojego wiersza w druku?

- No tak - ja na to - ale jak straci się język, to koniec z poetą, chyba że by tu groziło dożywocie, dwadzieścia pięć...

Bondy mówi cierpko:

- A więc co robić? Tylko tak sobie zapisywać wydarzenia i żyć zupełnie bez choćby najmniejszej idejki? Sam już nie wiem - mówi i staje przed napisem

POPOWICKI KOZIOŁ.

- Dziś nie - mówię - wszystkie pieniądze wydaliśmy wczoraj, nawet te Włodeczkowe na tramwaj. Dziś, Bgonku, jesteśmy biedni.

Bondy, przykucnąwszy, wabi zabłąkanego psa i śpiewa mu cichutko:

- Ale ja nie mam na tramwaj, na bilet. Ale widziałem u pana na dywanie jedną koronę!

Koło „Kovomatu” stoi żydowska dziewczyna, z protezą zamiast nogi. Z profilem odtrąconego anioła spogląda na tramwaje, auta, pojazdy i ludzi.

- Taką to mógłbym pokochać - szepcze Bondy. - Całe życie bym ją kochał, może ona też by mnie potrzebowała, byłbym szczęśliwy, może bym przestał pisać, wie pan?

- Tu ma pan na tramwaj - mówię, ale Bondy jak nieobecny siedzi w kucki, pies już dawno uciekł.

- Nie - mówi Bondy. - Gdyby to było możliwe, oddałbym jej te swoje nogi, niech biega na moich nogach, niech na moich nogach tańczy. A ja z jej protezą siedziałbym w domu i pisał, jak Boga kocham, pisałbym, urząd pracy by się mnie nie czepiał, siedziałbym całymi dniami w domu i pisał... *Noch nie war das Leben so schön!* -

śpiewa Bondy. Nadjeżdża trzynastka, Bondy wskakuje na stopień, operetkowo wyrzuca w górę ręce i śpiewa na cały głos:

*Glücklich ist, wer vergisst,  
was nicht su ändern ist...*

A potem jeszcze woła:

- Niech pan pozdrowi Włodeczka!

Widzę, jak Bondy siada, odwraca się, macha pulchną rączką, trzech młodzieńcy stojący na tylnej platformie uderzają rytmicznie podeszwami i pomrukują na trzy głosy:

*Ts, ts, ts; tadada, piapapapa, tsts, tsts...*

I znów gęsto, gęsto śnieży... pada śnieg.

### **Pieśń dziadowska o uczcie na świniobiciu**

Słyszałem z dworu włączanie rozrusznika, kelnerzy nosili skorupy do zlewu, w końcu zaskoczył, słyszałem zmianę biegów, dopiero potem warkot słabnął, gnał gdzie indziej. Staruszek w okularkach - nikt tego nie widział - wsadził to do ust, ssie teraz cicho sztuczną szczękę, słyszałem to...

Kelnerzy kolistym ruchem kiść piw wprost pod nos, starszy kelner odwrócił się, staruszek przypomniał:

- Żeby tylko ten farsz był dobrze przypieczony, z chrupiącą warstewką z wierzchu...

Uniosłem bąbelki, naprzeciwko w lustrze chudeusz z widelcem przygląda się sobie, jakby był Apollinem, zasłoniłem sobie kuflem świat...

Ludzie obok rozmawiali:

- Na liszaj to najlepsze sadło wieprzowe, około trzydziestu deka, a potem bierze się talerz, na ten talerz kładzie się ściereczkę, tak aby opadała przez krawędź na stół, a potem leje się na to wodę, na tę wodę zaś ciepły smalec, a kiedy wystygnie, wraz z tą ściereczką wprost na te pofryzjerskie strupy...

Staruszek wpatrywał się uważnie w jedzenie, zęby mu ucichły, potrząsnął główką. W drzwi wwałił się brodaty mężczyzna z muszką na gumce, przez powiekę wtłoczył mi w oko cień:

- Przepraszam, czy to miejsce jest wolne?

Obudziło się we mnie nagle pragnienie! Chwycić za motylek, naciągnąć gumkę! brzdęk!

Staruszek, zmartwiony, pochylony nad stołem, kroił sobie okularki, a za nim ten chudy gość dręczył się wciąż swoim portretem w lustrze.

Sąsiad zamówił:

- Dwie zupy na podrobach wieprzowych!

Przełamywałem sobie kuflem świat, ludzie rozmawiali:

- Minęło już sporo czasu, ale wtedy nie mogłem się wysmarkać, taaaaka głowa, spuchnięta od wewnątrz, taką strzykawkę, wypisz - wymaluj farszownicę, doktor wepchnął mi do dziurki w nosie, a... przez tę drugą dziurkę, moi ludzie złoci, wyciekło niemal pół kubła zielonkawej zupy...

Kelner nalewał już zupę z dzbanuszków, jagły z chlusem wpadały w talerz, Jezu Chryste...

- Smacznego! - powiedziałem uprzejmie.

Ale ta farszownica ciągle się unosiła, musiałem się odwrócić, żeby się nie ten tego... Na całe szczęście kelner zygzakowatym ruchem trzasnął wraz z tacą wódką o stół. Wlałem pospiesznie ten alkohol do ust i czułem, jak bardzo kaszanka i pieczeń wieprzowa nań czekały...

Słyszałem, jak dźwięcznie uderzały sztucce o talerz, staruszek, posiniały, wypłuł sztuczną szczękę. Przepchali słomką zatkane cygaro, stolik dla palaczy, w powietrzu zapalka, a ten od stolika powiada:

- Albo taki Mikolaszek, zwany szczylem. Przodownik policji, żona od niego uciekła, miał całe ciało usiane wrzodami, od paznokci u nóg po palce u rąk, żywy trup, wypisany ze

szpitala na Bulovce do domu, aby tam zdechł. Wobec tego wybrał się do

Winorz, do Mikolaszka, a ten mu doradził: tych ziółek pięć litrów dziennie, i za jakiś czas przyjdzie mi pan podziękować, do licha, to cygaro, znów gaśnie! Pana przodownikowe ciało strasznie się pocilo, raz na dzień wraz z tymi wrzodami odrywało się prześcieradło, ach, ale się on nawrzeszczał, cała kamienica była na nogach i proszę mi, panowie, wierzyć, naprawdę nie minęło pół roku, a ten policjant umarł...

Ten mój sąsiad zjadł już cztery zupy, a ci tam nie przestają gadać.

- Że też to panu nie przeszkadza!?

Ale on powiedział:

- Skądże znowu! Już taką mam naturę!

A kelner znów elegancko i wdzięcznie przyniósł dwie zupy na wieprzowych podrobach.

Aż tu nagle mój sąsiad przestraszył się:

- Ma pan skrzacika?

- Jakżebym miał nie mieć! - skłamałem.

Odwrócił od talerza gniewne oczy i spytał lękliwie:

- Jakiego? Czarnego? Białego? Białego!

A ja potwierdziłem:

- Białego!

Brzęknął dziko łyżką w ten talerz z zupą.

- Ktoś ma szczęście! A fe!

I pluł krupami, wściekły złośnik.

Napiłem się. Gdzież to ja jestem?

A ten gość naprzeciwko, po pas w lustrze, nie spuszczał wzroku ze swoich zrozpaczonych oczu. Teraz kręcił nosem dokoła swojego odbicia, a po chwili znów hop! z powrotem w pętlę spojrzenia!

Zasłoniłem sobie kuflem świat, ludzie rozmawiali:

-...albo przynoszą mu szczyny w szklance, a on potrząsa nią pod światło i powiada: „Umarłych nie leczę!” I rzeczywiście, kiedy z tą szklanką wrócili do domu, tamten już leżał bez ducha. Albo z tą kozą! Żarty sobie stroili, posłali buteleczkę z kozim moczem, a on potrząsnął nią i powiada z uśmiechem: „Musicie jej dawać więcej zielonki”. Jakże też on to rozpoznał?

Kelnerzy nosili talerze w palcach, jeszcze dwa na przedramieniu, pieczeń wieprzowa trafiała aż pod nos bajeczną linią krzywą, ale mój sąsiad ze zbójckim spojrzeniem:

- Ten pański jest biały, a taki to przynosi pieniądze, kradnie je innym i panu przynosi, może pan więc pozwalać sobie na wszystko, ale ten mój czarny, skrzacik-czarcik, stuka w ściany, obrazki strąca, naczynia z półek, coś straszego!

- Chwileczkę! - zawołałem i podałem kelnerom pusty kufel. Sąsiad przyłączył się:

- A dla mnie jeszcze dwa talerze zupy na wątrobiance!

I natychmiast pochylił się nade mną:

- Proszę mi sprzedać tego pańskiego skrzacika! Ile by pan za niego chciał? A może mi go pan tylko pożyczy... Choćby tak na tydzień? Ile za to?

Pozbawiłem go marzeń.

- Nie sprzedam! Nie pożyczę!

Zgrzytnął zębami:

- A to pech!... A ja nieraz sobie myślę, że ten mój skrzacik którejs nocy poderżnie mi gardło jak świni... - I łyżeczką przeciągnął sobie po szyi: ciach! A mnie aż zatkało!

I wybrałem się tam, gdzie wszystko dla nas: DLA PANÓW, przeszedłem obok wesołych palaczy, drzwi wahadłowe wypluły mnie na korytarz, idę obok kuchni, smażą się kotlety. Gdzie ja to słyszałem? Aha, pod drzewem w deszczu. Skręciłem do wychodka, już-już-już-już, a kiedy się obróciłem, kogóż to ja widzę? Staruszek w okularkach, błądy i zmalretowany, i otwarty kibel, śmierdząca szafa.

- Jezu miłosierny, ale mi tam dali szkołę tym pofryzjerskim liszajem, farszownicą do nosa, ach, szesnaście koron tam wyrzygałem... dziesięć deko kartek... -

skarżył się staruszek...

Na korytarzu zwierzał się jeszcze komuś drżącym głosikiem:

- Szesnaście koron... no i nacieszyłem się, nie ma co...

Kiedy zapiąłem się i ruszyłem z powrotem, w kuchni kropiło na placki na patelniach, potem koło palaczy, niewyraźnych wśród dymu, jeden z nich opowiadał właśnie:

-...siedzimy w poczekalni, do Mikolaszka weszła jakaś kobieta, nagle wybiegła, a doktor za nią, krzyknął do niej: „Ty kurwo kurewska, miałaś naraz dwóch chłopów, przynajmniej się przyznaj!” A ona uklękła, wyznała pokornie, że tak, ale on rozdarł się na całą Winorz: „Syfilisa nie leczę!” Ogarnęło nas przerażenie...

Kelnerzy nosili talerze w palcach, jeszcze dwa na przedramieniu, bajeczna linia krzywą stawiali tuż przed nosem, z tą pieczenia wieprzową. Ale mój sąsiad kończył jeść zupy, pięć za jednym zamachem, pełen tej zupy aż po dziurki w nosie, z tymi jagłami na dnie. A teraz jeszcze skórka - jak on może? - wyciera talerz.

A potem spytał:

- A jak się pan nazywa?

Zelgałem jak z nut:

- Nazywam się Zając, czapkarz...

A on krzyknął, tak że oczy wszystkich zwróciły się na nasz stół:

- Jestem Zajączek, także czapkarz! Będę robił czapki dla pana, może ten skrzacik przypomni sobie o mnie...

Jednakże pan Zając, czeski fanfaron, oświadczył:

- Nie ma mowy! Ja je produkuję jedynie na wielką skalę, hurtem, czterysta, pięćset... i niech mi pan powie, ale szczerze: co pan tak ciągle z tym skrzacikiem?

Zajączek posmutniał:

- Ma pan rację, on by mi z pewnością zaświnił wieczorem wszystko, co zrobiłem.

- Panie starszy! Jeszcze jedną śliwownicę! Już ostatnią! - zamówił pan Zając.

A Zajączek wyszeptał pokornie:

- A dla mnie dwie zupy, ostatnie zupy ze świniobicia...

Zbliżała się północ, szyny błyszcząły, restauracja i biesiada oddalały się wstecz, a gwiazdy na niebie także błyszcząły. Pan Zając, szczęśliwy, szedł tą ulicą, za nim pan Zajączek, ledwie zdążył oprzeć się o napis: ZAŁADUNEK I WYŁADUNEK WZBRONIONY. Ledwie zdążył się przytrzymać, a już tych dziesięć zup bryznęło na kostki... Ostatnie krupy wpadały w to z pluskiem.

- Skończył pan już, panie kolego? - ze współczuciem spytał pan Zając, ale pan Zajączek strząsnął krupy z nosków swoich butów i oświadczył z godnością:

- To ten mój skrzacik... Ale bardzo pana proszę: chciałbym przyjść do pana i popatrzeć na tego pańskiego białego skrzacika... ukryję się w szafie, bylebym tylko mógł go zobaczyć... Dobrze?

- Nie, nie i jeszcze raz nie! - powiedział pan Zając i ruszył spieszenie do domu, aby cieszyć się swoim białym nieistniejącym skrzacikiem, który pomaga mu produkować na wielką skalę nieistniejące czapki.

---

PS

A cóż to za cudo, panie starszy, przyniósł mi pan w kuflu!? To piwo z okazałą pianą! To nie piana, to bita śmietana, to nie śmietana, to chłodzący pudding, to nie pudding, ale wspaniały strzał wprost w okienko! Panie starszy, ten pański zajazd to nie knajpa, ta pańska gospoda to Kaplica Betlejemska, w której każdy gość - mówiąc -

staje się tym, kim kiedyś był albo chciał być, panie starszy, ten pański zajazd to nie knajpa, ta pańska gospoda to głośna i hucząca samotność, w której najlepiej się marzy. Najświętsza Panienko, cóż to za cudo, panie starszy, przyniósł pan w kuflu!

### **Legenda o igłach Lamertza**

Kiedy boeing siedemset siedem znajdzie się już na pasie startowym, twarz każdego podróżnego przybiera filozoficzny wyraz. Potem chwilka ciszy i już zaczynają ryczeć silniki rolls royce'a, jakby tysiącowi byków przycięto naraz ogony w sieczkarni, i samolot towarzystwa przewozowego rusza z ogromną przyjemnością, i wszystko zaczyna drzeć i trząść się, i wszystko gwałtownie oddala się wstecz, i te cztery silniki unoszą sto trzydzieści ton materiału, podnosi się też żołądek, który przez gardło podchodzi do ust, a później do mózgu, ale boeing nieustannie rwie w górę po przekątnej kartki, poprzez chmury po słońce i do słońca.

Wczoraj stolarz pan Benda powiedział mi, że do czegoś takiego nigdy by nie wsiadł, bo taki aeroplan nie ma belek.

O tych belkach myślałem, kiedy maszyna wdzierała się na szczyt chmur, a kiedy zmieniała biegi, zakrzuszyły się na chwilę dwa silniki. I każdy pasażer dostawał gęziej skórki, na chwilę wysiadały mu bezpieczniki. Ale boeing wspinał się wesoło coraz wyżej, znów pracowały wszystkie cztery silniki, które pożerają siedemset litrów paliwa na godzinę.

Obok mnie siedzi podróżny i trzyma małe autko, model z 1909 roku, i samochodzik ten stawia na oparciu fotela, a on cofa się ciągle i zjeżdża z powrotem, w kierunku lotniska, które opuściliśmy.

- Kiedy ten samochodzik będzie stać w miejscu - odezwał się pasażer - będziemy już lecieć prosto i już nic nam nie będzie mogło się stać, bo najczęściej katastrof zdarza się zaraz po starcie. Oczywiście, ten samolot nazywa się „Dhaulagiri”

i pilotują go sami Hindusi, a oni wszystkie ludzkie sprawy mają rozstrzygnięte na sposób metafizyczny.

- Hm... - mruknąłem.

- Tak - mówił podróżny. - Oczywiście, zaleta tego samolotu polega na tym, że kiedy spada, to człowiek nie ma nawet czasu zrobić w portki. Tak mi powiedział kapitan, żeby mi dodać otuchy. Oczywiście! A wie pan, że towarzystwo ubezpieczeniowe ma w każdy samolot wkalkulowaną jedną trumnę?

- Naprawdę?

- Naprawdę! Przecież w towarzystwie ubezpieczeniowym otrzymaliśmy takie skarpetki, jakie wkłada się na nogi nieboszczykom do trumny - ciągnął pasażer i nadal stawiał samochodzik na oparciu, a ten samochodzik nadal zjeżdżał z powrotem i spadał mu na kolana.

Boeing wynurzył się z chmur i nadal unosił tych stu czterdziestu pasażerów nad obłoki i ku słońcu, które rzucało cień samolotu na polepę obłoczków i cień ten, w miarę jak „Dhaulagiri” wznosił się, ten cień coraz to zmniejszał się i malał, aż stał się w końcu tak maciupeńki, jak ten miniaturowy boeing w witrynie biura podróży na

Fosie.

- No tak - powiedział podróżny. - Teraz niebezpieczeństwo mamy już poza sobą, lecimy prosto, niech pan popatrzy!... - I pokazał mi samochodzik, który stał teraz pośrodku oparcia, przez chwilę kołysał się, ale teraz tkwił już bez ruchu pośrodku jak bąbelek w poziomicy. Podróżny ujął ten samochodzik i włożył go do pudełka po angielskich zapałkach, a potem wciągnął skarpetki w paski.

Piękne Hinduski roznosiły srebrne sztuce i miały kropkę na czole, i rzęsy jak gałązki bożonarodzeniowej choinki, i zielony jedwab spowijał je jak bluszcz posągi.

- W iluszytach wiszą przy drzwiach toporki - powiedział podróżny. - Na wypadek, gdyby coś, żeby można je było wyrębać... wielu ludzi ginie od ognia podczas awaryjnego lądowania. Bardzo wielu.

- Tu jednak toporków nie ma - zauważyłam.

- A no nie, bo Hindusi mają już wszystko rozstrzygnięte - powiedział podróżny.

- Tacy Hindusi znajdują się w stanie Boddhi, są wprawdzie żywi, ale jednocześnie martwi... a będąc martwi, są podwójnie żywi, rozumie pan?

- Nie rozumiem, ale pojmuję - odparłem - bo ja takich rzeczy nie chcę rozumieć.

- Bardzo mnie to cieszy - uradował się pasażer.

- Czy pan pozwoli, że zadam pytanie: dokąd pan leci? - spytałem i zdjęwszy buty, włożyłem skarpetki.

Stewardesa pochyliła się i zapachniała zamorskimi przyprawami korzennymi. I podała *cari de volaille à l'indienne*.

Rozłożyliśmy serwetki, serwetki te miały rozmiary małych obrusów, włożyliśmy je sobie pod brodę, kabina samolotu przypominała teraz ogromną razurę, a podróżny, zjadając ze smakiem, opowiadał, że jest Amerykaninem czeskiego pochodzenia i że od tygodnia jest z wizytą w Pradze, że jest Pragą zachwycony, że z ogromną radością zatańczył sobie o wpół do



jedenastej w nocy na ulicy Szczepańskiej na środku jezdni, że dla Amerykanina nie ma nic tak wzruszającego, jak jechać drogą powiatową wysadzaną po obu stronach drzewami, że nawet zjechał i znalazł się u podnóża Rudaw, i tam sfotografował się w rokokowym pałacu, opuszczonym, ale gdzie na parkietowych posadzkach spędza noce stado krów... Oczywiście, w domu zostawił kota, w domu, w Bronksie, i ten kot zawsze, ilekroć go nie ma, nie robi nic innego, tylko siedzi na podwórzu i patrzy na klamkę, i czeka, aż jego pan naciśnie tę klamkę z drugiej strony... Teraz jednak na myśl o nim pan przestraszył się do tego stopnia, że w trakcie wakacji w Pradze podjął nagle decyzję, i oto leci na jeden dzień do Bronksu, aby nacisnąć klamkę i popieścić kota, i nalać mu mleka. A nazajutrz wróci znów do Pragi i będzie nadal korzystał z pięknego urlopu. Rano zaczął „U

Pinkasów”, potem jechał do „Lipy” na Wysoczany, by - kiedy kończyło im się piwo pilzneńskie - skoczyć trolejbusem do „Hofmanki” na Kobylisach, a później o trzeciej czterdzieści pięć stać już w kolejce do „Złotego Tygrysa”... Kiedy indziej znów zaczął na przykład już o szóstej rano w „Kuźni” na Strasznicach albo o tej samej porze „U

Linhartów” koło katedry Świętego Szczepana, albo „U Króla Kolei Żelaznych” pod

Letną, tam też otwierają o szóstej, a potem na dziesiątą jechał do „Schnellów”, w południe zaś do „Szumawy”, aby po południu być znów przy tym, kiedy na Kerczu koło „Białego Łabędzia” przywożą beczki pilzneńskiego piwa! I tak oto przez cały dzień popijał to najwspanialsze piwo na świecie, zdrowe, zdrowotne i ozdrowieńcze piwo pilzneńskie... A później wracał w nocy do domu przez ciemną, cichą Pragę, potykając się o stosy cegieł i najrozmaitszych gratów na chodnikach, przygotowanych już od dwóch miesięcy do wywiezienia na przemiał albo na wysypisko śmieci...

- Wie pan, jak to jest: bogaci ludzie mogą sobie na to i owo pozwolić -

powiedział pasażer. - Oczywiście, cóż tu mówić o postępie? Skoro nie istnieje instytut albo profesor, który potrafiłby mojemu kotu przekazać w kocim kodzie informację i wbić mu do głowy, że ja nie umarłem, ale wyjechałem tylko na dwa tygodnie i że znów do kota powrócę? Jakże więc mówić tu o postępie? Ale dokąd to pan leci? - spytał podróżny i dopiero teraz zauważyłem, że Ameryka zmieniła mu odrobinę wymowę niektórych głosek.

- Wie pan, co to takiego igły Lamertza? - spytałem.

- Nie wiem - ucieszył się pasażer.

- A więc niech pan spojrzy. Ma pan ołówek? Będę to panu jednocześnie rysować. Igły, jakie można u nas kupić, nie mają przy uszku takiego zagłębienia, takiego rowka, takiej szparki, jaką mają właśnie igły Lamertza.

- Nie mam o tym zielonego pojęcia! - wykrzyknął z radością podróżny.

- Wie pan, tymi krajowymi igłami kiepsko się szyje, krawiec musi mocno szarpać nicią, bo nasze igły nie mają gdzie nici podziać, bo brak im tego zagłębienia przy uszku, tego rowka, tej szparki, podczas gdy igły Lamertza ten rowek, tę szparkę mają i nitka kładzie się w niej niczym zajacek w bruździe i krawcom szycie idzie jak z płatka, rozumie pan?

- Nie rozumiem, ale to takie piękne! - cieszył się podróżny. - Myślę jednak, że to pan jest właśnie tym Lamertzem i jedzie pan do Ameryki, aby tam te igły opatentować, no nie?

- Nie! - odparłem. - Ja jadę tylko do Nowego Jorku po te igły. Posłał mnie po nie sam pan Bartak, krawiec.

„U nas - powiada - tych igieł Lamertza nie można dostać, masz tu więc piętnaście tysięcy i skocz mi po te igły do Ameryki, po czwórki i piątki średniej długości, i po trójki do ósemek, mieszane, dla krawców!” Pan Bartak jest bowiem przyrodnim bratem stryjecznym mojej matki chrzestnej.

- A nie mógł pan po te igły przelecieć się gdzieś bliżej? - kwiczał podróżny i wymachiwał rączkami.

- Próbowałem dwa razy, raz poleciałem do Paryża, potem do Londynu, ale nigdzie tych igieł nie dostałem. Oczywiście, bogaci ludzie mogą sobie na to i owo pozwolić - dodałem.

- To dobrze, to bardzo dobrze! Brawo! Bravissimo! Tylko tak dalej! -

pokrzykiwał wesoło pasażer, ale po chwili dotknął karku i powiedział: - Ale dość już tego. Jakoś mnie te pańskie igły kłują w głowie. - Powiedziawszy to spoważniał, nacisnął dźwignię w oparciu fotela, fotel przemienił się w leżankę i podróżny zamknął oczy, wciąż jeszcze przykryty serwetką od brody po kolana, teraz wziął tackę z *tartre*

*aux poires à la Bourdaloue*, naśladowałem go we wszystkim, a potem wyciągnęliśmy się, leżeliśmy obok siebie jak dwoje obcych ludzi, którzy nie zdradzali sobie przed chwilą pewnych tajemnic, zamknęliśmy oczy - i sąsiad z pewnością myślał o igłach

Lamertza, które czekają na mnie gdzieś w Nowym Jorku, a ja myślałem o kocie gdzieś w Bronksie, jak siedzi na podwórzu i już siódmy dzień spogląda na kłamkę, jak ten kot z pewnością cierpi, bo nie wie, czy ta kłamka się kiedyś poruszy i wejdzie jego pan.

Pan, który tak jak ja siedzi w samolocie przykryty serwetką od brody aż po kolana i usypia...

A boeing siedemset siedem huczał pod słońcem - i przegrzane powietrze, szybkość tysiąca kilometrów i wysokość dziesięciu tysięcy metrów: wszystko to zwielokrotniało zmęczenie podróżnych...

A potem nadszedł czas, kiedy głos z megafonu oznajmił, że za pół godziny

wylądujemy. Mój sąsiad odwinął róg serwetki i z pudełka po angielskich zapalniczkach wyjął ostrożnie samochodzik i postawił go na oparciu. Po chwili samochodzik zaczął niestrudzenie zjeżdżać do przodu, w kierunku jakiegoś amerykańskiego lotniska, ku któremu Boeing schodził z ostrożną górską ścieżką w dolinę, a potem na polepę obłoczków położył się cień „Dhaulagiri”, tak maciupenki jak miniaturowy Boeing w biurze podróży na Fosie, i nikt tego nie zauważył, tylko ja, i nikomu o tym nie powiedziałem, nikomu nie zwróciłem na to uwagi, siedziałem okryty aż po kolana serwetką i patrzyłem, jak cień staje się coraz to większy i większy, aż do ostatniej chwili patrzyłem na ten cień, był już niemal tak duży jak Boeing... a teraz „Dhaulagiri”

wbił się w chmurę i cień wsunął się pod samolot, tak jak ciało kochanki wsuwa się pod kochanka, jakby pięknie napisał piewca rozłożystych lip pod Boszynem, poborca podatkowy i poeta pan Paweł Szafr. I do iluminatorów przylgnęła mgła, pociemniało, samochodzik zjeżdżał wytrwale, kierując się niewidzialnymi znakami turystycznymi, szlakiem, jaki wyznaczały samolotowi radary, szlakiem wiodącym na ziemię, i rozległy się dźwięki wesołej muzyki.

- Ojej! - powiedział podróżny. - Pewnie na lotnisku gęsta mgła!

I twarze wszystkich stu czterdziestu pasażerów przybrały znów szlachetny wyraz, na ich czołach nawarstwiły się zmarszczki niczym muzyczne pięciolinie. Nawet ten ksiądz, który przez całą drogę czytał Biblię, dawał przykład! Nawet on odłożył tę swoją świętą księgę nad księgami, nawet ten ksiądz zamknął oczy i ssał cukierki, i tak jak wszyscy pozostali poganie nie myślał o niczym innym, tylko o tej rozkoszy przewyższającej wszelkie inne rozkosze, kiedy dotknie nogą matki ziemi.

Samolot przebił się teraz przez warstwę szarych mokrych chmur i ukazała się wilgotna od deszczu ziemia, droga, struktura dzielnic willowych, kolonii robotniczych, jezioro... a potem pasy lotniska wyznaczone fioletowymi światłami. I radary, tak jak przez cały czas trwania podróży, nadal nawijały boeinga na niewidzialną nić, tak jak dzieci ściągają z nieba papierowy latawiec. Teraz z kolei samolot uderzył stu trzydziestu tonami o betonową płytę i lądował z szybkością wieluset kilometrów, wesoły walczyk wypełniał wnętrze „Dhaulagiri” cukrową watą, a budynki i drzewa, i przedmioty na lotnisku fikały koziołki do tyłu, tak jak piłkarze robiący w powietrzu nożyce. Klapy hamujące w skrzydłach uniosły się, boeing zadrżał straszliwie i zmniejszył szybkość. Przedmioty i budynki uspokoiły się.

- O, ci Hindusi! - powiedział podróżny - oni mają już wszystko pod względem duchowym rozstrzygnięte! Dlatego też zdarza się im najmniej wypadków.

- Zgodnie z paragrafem trzydziestym - odezwałem się - jeśli spostrzeżesz coś

niewłaściwego w stroju swojego towarzysza, zwróć mu na to uwagę i doprowadź go do porządku! - i zdjąłem serwetkę z kolan swojego sąsiada.

- Dziękuję - powiedział pasażer. - Ale niech pan też zdejmie tę serwetkę. Siedzi pan tu wciąż jak u fryzjera!

I oto teraz siedzę znów już w kraju, u swojego fryzjera, pana Zamecznika, siedzę w jego razurze na fotelu, owinięty aż po szyję w przecięte na pół prześcieradło, jakbym siedział przy obiedzie w boeingu. Pan Zamecznik drepta wokół mnie drob-nymi kroczkami, ma już dobrze po siedemdziesiątce, ale nadal strzyże i goli. Nie mogę strzyc się u nikogo innego, tylko u pana Zamecznika, bo codziennie przechodzę obok jego okien, a on czeka tylko na chwilę, kiedy moje włosy będą już dla niego dojrzałe.

Kiedyś ostrzygłem się gdzie indziej i potem chodziłem pod oknami pana Zamecznika z podniesionym kołnierzem i szalikiem, i tłumaczyłem, że zaraziłem się świnką od dzieci Zumrów. Ale jego salon jest piękny. Stare lustra i puste flakony po środkach odkażających i wodzie kolońskiej wyglądają na ścianie jak opustoszały otwarty ołtarz.

- Panie balwierz - powiadam - według światowej mody strzyże się teraz włosy, tak jak pan to robi już od pięćdziesięciu lat. Przyszła pora na te pańskie nieuznawane fryzury. W Nowym Jorku moda męska każe strzyc włosy z tyłu aż do połowy czaszki.

- Holbsznyt, tak jak u nas - powiedział pan Zamecznik, a ponieważ ręka mu drżała, przytrzymał strzygącą rękę tą drugą, która dygotała mu trochę mniej, ale maszynka ani na chwilę nie przestawała szczekać.

Do razury wbiegł krawiec pan Bartak, który dał mi pieniądze na podróż, żebym mu skoczył przez Atlantyk po igły Lamertza. Przez chwilę patrzył na mnie, a że był wzburzony, strzepnął drugą połowę przeciętego prześcieradła i owinał się nią, wpychając brzegi za kołnierz.

- No i co nowego w Nowym Jorku? - spytał, siadając w drugim fotelu.

- Piękna moda męska, mistrzu igły - powiadam. - Kolor czarny uzupełniany szkarłatną czerwienią. Hiszpańska moda jak za Filipa Czwartego. Mężczyźni chodzą niczym rabini w czarnych płaszczach jak w chałatach, a na głowie płytki kapelusik niczym szabasowa mycka.

- Tak jak u nas - mamrotał pan Zamecznik.

- Ale w sklepach co interesującego, co? - dopytywał się pan Bartak i uniósł się na łokciach w fotelu.

- Sklepy nabite po sam sufit, inflacja wartości i żywności - odparłem. - Jedyne w Nowym Jorku mogła powstać ta nowa sztuka, ten popart. Taki na przykład dom towarowy Woolwortha, tam sprzedadzą panu wszystko, co pan zechce. Powie pan, dajmy na to, że chce

pan jakąś egzotyczną małpę. Jeśli akurat nie ma jej na składzie, płaci pan i już po południu przyprowadzają panu tę małpę do domu!

- Zupełnie jak u nas - westchnął pan Zamecznik.

- Ale co interesującego mają w sklepach z mojego punktu widzenia, co? -

dopytywał się pan Bartak, osuwając się w fotelu.

- Są tam sklepy z tysiącem niespodzianek - mówiłem.

- Może pan kupić sobie na przykład syfilityczną rękę. Jest z gumy, naciąga ją pan i podaje pan dłoń przyjaciołom. A może przydałyby się panu tak zwane sztuczne wymioty. Idzie pan, zaproszony, na spotkanie towarzyskie i podczas najlepszej zabawy pochyla się pan nad stołem i mówi: buuuue!, i rzuca pan niepostrzeżenie te sztuczne wymioty na stół.. I podczas gdy towarzystwo biegnie porzygać sobie naprawdę, pan śmieje się ile wlezie i podciąga pan te sztuczne wymioty na niewidzialnym sznurku i trzyma je pan - o, tak! - w powietrzu jak zegarek.

- Tak jak u nas na Józefa - cieszył się pan Zamecznik.

A pan Bartak wziął pędzel i miseczkę i zaczął rozrabiać pianę, namydlił sobie twarz, po czym pochylił się nade mną i pogroził mi pędzelkiem.

- No, niech się pan wygada do końca, żartownisiu jeden! - Śmiał się. - Ale potem szepnie mi pan coś na ucho!

I pogroził mi pędzlem, i nadal namydlał twarz, i chodził tam i z powrotem po salonie fryzjerskim...

- Czy ta fryzura spodoba się pańskiej małżonce? - Pan Zamecznik pełen był obaw. - Czy nie zamknie pana do chlewika? - zażartował.

- A niech mnie zamknie! - powiedziałem. - Ja już i tak wszystko przegrałem.

Ale, panowie, odwiedziłem tam także Harlem. Byłem tam w kościele baptystów i widziałem, jak czarnoskóry pastor, posługując się samymi tylko słowami, w ciągu trzydziestu minut wprowadził wiernych w stan hysterii.

- Tak jak u nas - zauważył pan Zamecznik, wskazując maszynką radio.

- Słusznie - przytaknąłem. - Ale, proszę ja panów, bywałem też codziennie na

Bowery, pijacy leżą tam całymi dniami, policjanci unoszą im tylko pałką powiekę i jeśli taki jeden z drugim nie jest martwy, to ci policjanci rozmawiają nadal wesoło o baseballu, a przy tym ta ulica Bowery znajduje się tylko kawałeczek od Wall Street, jedynie kawałeczek od Broadwayu! Oczywiście, panowie, najbardziej interesująca jest ta nowa sztuka w galeriach na Madison i przy Pięćdziesiątej Trzeciej. Wycięta karoseria z przodu autobusu wraz z kierownicą...

- Jak u nas - powiedział pan Zamecznik i podreptał do drzwi, otworzył je i wskazał w kierunku synagogi: stał tam w rogu placu wrak zardzewiałego autobusu.

- W porządku, tak jak u nas - zgodziłem się. - Ale w Nowym Jorku są sklepy, gdzie sprzedają takie urządzenie do samochodu, że jak prędkość przekroczy setkę albo jak pan tam sobie to maksimum nastawi, to zaczynają grać organy i chór pogrzebowy śpiewa: Pójdź do Zbawiciela... albo Anioł miłości świętej... Można też za dopłatą przymontować ekran telewizyjny, tak że gdy prędkość przekroczy ustalony pułap, zjawia się postać świętego, który przyzywa palcem, po czym tym palcem wskazuje niebo. Oczywiście panom, drodzy panowie, najbardziej podobałoby się na

Conney Island, przedsiębiorstwa rozrywkowe są już opustoszałe, ocean jest już chłodny, ale słońce świeci tam jak w Tatrach i na plaży są tylko starzy ludzie, siedzą tam w słońcu na deskach staruszki i bez przerwy łatają i cerują stare suknie, a koło nich snują się setki opuszczonych kotów... A potem po plaży szedł Murzyn, w jednej ręce niósł walizeczkę, z której prowadziły przewody do słuchawek, w drugiej ręce miał srebrny kij zakończony srebrną tarczą, do tego kija też prowadził przewód, i Murzyn badał ten piasek opustoszałej plaży metr za metrem, niósł tę tarczę na wysokości pięciu centymetrów nad ziemią i szukał tak zgubionych w piasku monet, kolczyków...

Pod belkowaniem i wspornikami drewnianych chodników i dróg tuliły się i gęstniały roje kotów, setki opuszczonych kociąt i młodych kotków, które przygotowywały się z wolna do tej pory, kiedy Nowy Jork przysypią tony śniegu, kiedy miasto stężeje pod lodowatymi wichurami i w okrutnym mrozie, w którym zamarzną nie tylko nędzarze i pijacy, ale niemal wszystkie te odcięte od świata koty, bo nikt nie przyjdzie otworzyć im klamką drzwi z drugiej strony... Zaledwie paru kocim mamom uda się przetrwać tę zagaładę. Spojrzałem w oczy jednej takiej kociej mamy - zwróciłem się do pana Barta-ka - i ogarnęło mnie przerażenie i zgroza...

- Zupełnie jak mnie teraz... - Pan Bartak podniósł się.

- Ale wie pan co? Pan mieszka tuż za rogiem, a ja mam już tego zupełnie dosyć!

A więc chodźmy po te igły natychmiast! Ja już dłużej tego nie wytrzymam! - oświat-czył i odrzucił pędzelek do golenia, i ujął mnie za rękę, wyciągnął wraz z prześcieradłem z obrotowego fotela i wyprowadził mnie z razury.

I tak - obaj w białych prześcieradłach jak diakoni - prowadziliśmy się nawzajem aż do nas, na nasze podwórko.

- Proszę pana - powiedziałem. - Żona jest w domu, jak nas zobaczy, to pomyśli, żeśmy się znów popili. Wie pan, co ona o panu mówi? Mówi, że krawiec Bartak to diabeł przebrany

za Bartaka.

Ale pan Bartak stał z namydloną twarzą, piana zaschła i odpadała mu z policzków, tak jak tynk z praskich kamienic. I wiedział już swoje, bo - jak to teraz spostrzegłem - trzymał w ręku brzytwę.

Żona siedziała w kuchni przy stole i jak zawsze, kiedy miała wolny czas, pisała do prokuratora prośbę o rozwód z powodu nieprzepartego wstrętu, bo ciągle mnie nie ma w domu.

Ukląknę przed nią jak ministrant, prześcieradło pana Zamecznika spływało aż na podłogę. Złożyłem ręce.

- Idź sobie - powiedziała żona ze wstrętem. - Budzisz niesmak!

A więc przyznałem się do wszystkiego i wskazałem przez okno, a tam na podwórku czekał pan Bartak z brzytwą, bo już po raz trzeci posłał mnie za granicę i dał pieniądze na podróż, abym poleciał po igły Lamertza dla niego, po czwórki i piątki średniej długości, i po trójki do ósemek, mieszane, dla krawców, ja jednak tych igieł nigdzie nie dostałem. I żeby teraz wyszła, i powiedziała panu Bartakowi cokolwiek, bylebym tylko ja nie musiał wyjść na podwórze i osobiście powiedzieć panu

Bartakowi, że tych cennych igieł po prostu nie mam.

- Jakich igieł? - spytała surowo.

- Lamertza - odparłem.

Żona podniosła się, po czym otworzyła szufladę w stole, gdzie trzymała przybory do szycia, szukała chwilę, po czym położyła na obrusie wszystkie numery igieł

Lamertza, wszystkie komplety w estetycznym opakowaniu po dwanaście sztuk.

A potem umoczyła pióro w atramencie i nadal pisała tę prośbę do prokuratora, kusząc w ten sposób los.

W tej chwili na podwórko wpadł drobnymi kroczkami pan Zamecznik, w uniesionych rękach trzymał grzebień i nożyczki i wołał:

- A cóż to za maniery?! Najlepszy artysta z głową ostrzyżoną do połowy! I gdzie moje prześcieradło?

---

PS

Krawiec z naszej ulicy, pan Bartak, kiedy przeczytał tę legendę i stwierdził, że to rzeczywiście on i że wszystko wydarzyło się niemal dokładnie tak, grozi mi laską i pokrzykuje na mnie:

- Obiję pana laską, żartownisiu jeden!

Natomiast pan Zamecznik, fryzjer, był wielce uradowany i na korytarzu przy wodociągu wyjaśnił mi z wdzięczności treść obrazków, które wiszą na ścianie jego zakładu fryzjerskiego.

- To, proszę pana, sen nauczyciela muzyki. Pierwszy obraz to wyznanie miłości przy fortepianie, drugi obraz to sen o niespełnionej miłości w klasztorze, do którego piękny pan nauczyciel wstąpił, nie mogąc zdobyć swojego ideału, trzeci obraz przedstawia rozmarzoną ślicznotkę, żalującą, że go odtrąciła...

A pani Zamecznikowa ze wspaniałym gestem uniesionego palca wskazującego dodała:

- A najważniejsze, że pan literat nie obraża, nie obraża!...

Ja jednak ciągle myślę o krawcu panu Bartaku i o innych obywatelach, których do swojej prozy wprowadziłem pod prawdziwym nazwiskiem i którzy podobnie jak on czują się dotknięci na honorze, i którzy są zdania, że zniekształciłem obraz, jaki każdy z nich pracowicie sobie stworzył.

Gdy kiedyś pan Bartak będzie znów szedł po drugiej stronie naszej ulicy z laską w rękę, podejść do niego i poproszę, aby tą laską trzepnął mnie między rogi, abym wreszcie dał spokój z tym wpisywaniem imion i nazwisk niewinnych ludzi do swoich szalbierczych tekstów.

A może mam je za każdym razem przekreślać?!

### **Dziadowska pieśń majowa, czyli była majowa cicha noc**

Na Połabiu wcześniej zaczęła w maju nie tylko natura, wcześniej też zaczęła się rewolucja. Rozeszły się wieści, że Rosjanie są pod Młodą Bolesławią, zrywano więc niemieckie napisy, kolejarze ogłosili strajk i orkiestra wychodziła za miasto naprzeciw

Rosjanom. Pracownicy publiczni wystąpili w cywilnych ubraniach i lampasach z konspiracji i prowadzili rokowania ze szkołą hanowerską, aby się poddała. Dowódca szkoły, von Ott, uznał wprawdzie, że lada chwila wojna dobiegnie końca, ale on nie otrzymał rozkazu, aby złożyć broń. I zdarzyło się, że podczas wciągania flagi salutowali na rynku naszemu hymnowi nie tylko tutejsi, lecz także stojąca w szyku szkoła hanowerską. A potem posłano łączników na motocyklach, aby przywieźli poukrywaną na wsi broń. Emilka Schreuera zatrzymał koło Stratowa patrol SS. Dandy



Wilczek wywiesił z okna swojego mieszkania na pierwszym piętrze sowiecką flagę.

Niemcy wpadli na parter, gdzie miał gospodę pan Hawerda.

Na pytanie:

- Czy to pański dom?

- pan Hawerda odparł z dumą:

- Tak, to mój dom!

I żołnierze zrzucili go z krzesła, sprali po pysku, a potem zdarli też tę czerwoną flagę, którą wywiesił grający na banjo instrumentalista i recytator Dandy Wilczek.

Na stacji Kostomlaty zdjęliśmy niemiecki napis i flagę Trzeciej Rzeszy w tej samej chwili, kiedy z pociągu osobowego wysiadała kompania żołnierzy niemieckich, która zapomniała wsiąść w Nymburku. Dowódca odbezpieczył rewolwer i od razu do mnie: dlaczego zbeczęściliśmy nazistowską flagę. Na szczęście stacyjny posługacz, pan Jenik, wytaszczył ją wraz z drzewcem z wpuszczonej w ziemię rury.

Powiedziałem, że jako dyżurny ruchu rozkazałem, żeby w związku ze śmiercią Hitlera flaga została opuszczona do połowy masztu.

- W porządku - powiedział dowódca kompanii. - Ale co to ma znaczyć?

A tego wystraszyłem się i ja. Dowódca chciał zastrzelić stacyjnego posługacza, który miał na rękawie czerwoną opaskę.

- Ein roter Kommissar!

Dopiero dwaj niemieccy kolejarze ze Śląska, którzy mieszkali na stacji już dwa miesiące, wyjaśnili, że ta czerwona opaska to oznaczenie każdego stacyjnego posługacza, który odbiera od pasażerów wykorzystane bilety kolejowe. Potem nadeszła wiadomość, że Rosjanie są dopiero koło Drezna i na Morawach.

Rzemieślnicy i kupcy wywiesili znów niemieckie szyldy i napisy, a działacze publiczni musieli się znów wycofać do podziemia. A przez moją stację przejeżdżały ostatnie pociągi z SS w kierunku na Libiechów, bo partyzanci zabarykadowali koło Cze-lakowic most na Pragę. Na bocznym torze pozostały mi trzy cuchnące słodkawo pociągi szpitalne. A potem telefon oznajmił, że Rosjanie naprawdę minęli Mładą

Bolesław. A potem nastąpiła cisza, tu i tam polnymi drogami przemykało galopem kilka niemieckich bryczek...

Tego wieczora zobaczyłem czerwonoarmistów i czołgi, i samochody ciężarowe.

Miasto tonęło w zachwycie, całowaniu się i toastom nie było końca, ale narzeczona

Emilka Schreuera stała pod arkadami i była smutna. Nazajutrz odnaleziono Emilka w milowickim obozie, okrutnie okaleczonego i z poobcinanymi kończynami. Do biura na

dworcu wjechał mi na koniu rosyjski żołnierz i spytał, którądy jedzie się na Budapeszt.

A kiedy pod wieczór wracałem do domu na rowerze, spotkałem czerwoną kawalerię.

Słońce zachodziło, na piersiach żołnierzy błyszczało całe mnóstwo odznaczeń niczym wystawa sklepu zegarmistrzowskiego, ze strzemion sterczały drzewce chorągwi z mosiężnymi szpicami. Narzeczona Emilka Schreuera czekała pod arkadami, ale nikt nie miał odwagi powiedzieć jej o tym nieszczęściu. W browarnianym sadzie rozlokował się rosyjski szpital polowy, pośrodku zbudowano podium, a kwitnące czereśnie obwieszono kolorowymi żarówkami i co wieczór grała tu rosyjska orkiestra dęta, cichutka jak majowa noc. Rosyjski dyrygent co wieczór ucinał gałązkę i wsparty lekko o pulpit dyrygował tą witką słodziutkie melodie. W mrocznych cieniach browarnianego sadu błyszczały bielą krochmalowe opatrunki, gipsowe ręce, nogi, gipsowe klatki piersiowe, obandażowane głowy.

U mamusi zamieszkał Kałmuk, który przyjechał bryczką z ułożonym z metalowych literek napisem „Franz Auer, Wogelgesang” na główicy koła... Bryczka ta ozdobiona była dookoła brukselskimi koronkami, a na siedzeniach leżał pocięty perski dywan. Wydawało się, że ten żołnierz jest sam sobie dowódcą, kapitanem, sierżantem i kwatermistrzem. Wieczorem siadywał przy piecu i dorzucał drew, lubił przyglądać się w lustrze i pudrować się mamusynym pudrem, a potem sypiał z nami w pościeli. Codziennie przynosił mamusi kota albo psa i głaskał mamusine ręce, bo jego mamusię zabili Niemcy. Narzeczona Emilka Schreuera chodziła po rynku zapłakana, ale miasto wciąż jeszcze nie miało dość uroczystości i zachwyty, i toastów. Drogami wlekli się niemieccy jeńcy, wynędzniali i zakurzeni. Partyzanci oczyszczali lasy.

Pewnego razu przyjechał nad Łabę samochód ciężarowy pełen czerwonoarmistów, byli ostrzyżeni do skóry i młodzi, rozebrali się do naga i wkładali różowe damskie kombinacje, i kąpali się w płytkiej wodzie, i śmiali się, i rzeli ze szczęścia. A potem wyciągnęli z ciężarówki inne łupy: wkładali na głowy rzymskie hełmy z pióropuszcami z włosów i spoglądali jeden na drugiego, i opryskiwali wodą, i krzyczeli, i śmiali się jak rzymscy gladiatorzy.

Wieczorem na ekranie zawieszonym na drogowskazie wyświetlano wojenne kroniki filmowe. Był piękny majowy wieczór, był maj, pachniały bzy i czereśniowy sad, ale na ekranie padał śnieg i to czerwone wojsko przedzierało się przez zaśnieżone

Karpaty i walczyło z Niemcami. A potem z ekranu marszałek Malinowski wygłaszał przemówienie do armii, ale zerwał się wietrzyk i wydymał ekran, tak że dwaj sumienni obywatele podskoczyli, ukłonili się marszałkowi na ekranie, po czym - jeden z jednej strony, drugi z drugiej - przytrzymywali grzmiącego generała za rękaw jedną ręką, drugą zaś mu

salutowali. A potem zaczął popadywać majowy deszczyk i dziewczeczka w jasnej sukience postawiła za drogowskazem krzesło, wspięła się na nie i nad grzmiącym marszałkiem rozpostarła jedwabną parasolkę, by Malinowski na

Połabiu nie zmókł.

Ta noc była cicha, majowa, biała noc rozświetlona kwitnącymi jabłoniąmi i śliwami, i białym bzem. Z Łysej wyjechał osobowy numer 813, Flemmenderzug, pociąg biboszy, nocnych marków... Kwitnącą drogą poruszały się ciemne, rozciągnięte na wiele kilometrów armie na wozach, telegach, furmankach z wiklinowym koszem, armia spała, jej ruch określały kłusujące koniki. Kiedy dojechali do przejazdu Na

Rozkoszy, niecierpliwy żołnierz podniósł opuszczone zapory i konie wesoło ruszyły dalej. Dróżnik wyprowadzał za uzdę konia z torów, ale jak znalazł się z nim za szlabanem, ruszył za nim następny zaprzęg. I torowisko nieustannie pełne było wozów ze śpiącymi żołnierzami. Pociąg 813 opuścił już Stratow, dróżnik wybiegł mu naprzeciw, położył na torach petardy, zataczając krąg latarnią, dawał sygnał: STÓJ!,

mimo to jednak parowóz wjechał na bryczki. Kiedy tam dobiegłem, z dwóch fur z półkoszkami nic niemal pod kołami parowozu nie zostało, dwie pary koni trzęsły się obok torów. Utracone dyszle leżały w trawie. Jakiś inspektor kolejowy krzychał na dróżnika, żeby się zastrzeżił, bo nie dopełniwszy obowiązków sprawił, że przelana została czerwona krew. Musieliśmy przywiązać dróżnika do krzesła. W blasku latarni między szynami i na wysypanym żwirem torowisku leżały obcięte buty z cholewami, ręce, nogi, tułowia. Zawiadowca nie mógł się doliczyć trupów, by móc napisać raport.

Z początku myśleliśmy, że ofiar jest sześć. O brzasku pan zawiadowca zgodnie z przepisami ułożył obok siebie najpierw wszystkie tułowia, ręce, nogi i głowy. Później zestawialiśmy z nich ludzkie ciała. Ogółem zabitych okazało się pięciu. Ale jedna noga zniknęła na zawsze.

Nazajutrz w mundurze dyżurnego ruchu wybrałem się na obchody zwycięstwa armii sprzymierzonych nad wojskami niemieckimi. Spotkałem narzeczoną Emilka

Schreuera. Już nie płakała, była w czerni i ona też szła uczcić zwycięstwo. Nad naszym miastem, tak jak nad całym zwycięskim światem, rozpościerała się balistyka weneckiej nocy, mosiężne orkiestry dęte wygrywały hałaśliwe marsze i galopy, ludzie we wszystkich językach świata wznosili okrzyki: Hura! i Niech żyje!

Nazajutrz nadszedł z dyrekcji okólnik, w którym umieszczono obok siebie zdania rosyjskie i ich czeskie odpowiedniki dla potrzeb pełniących służbę kolejarzy.

„Tego roweru nie mogę wam wydać, bo bez niego nie mógłbym wykonywać swojej pracy”.

„Tego zegarka nie mogę wam wydać, bo według jego wskazań ogłaszam czas odjazdu pociągów!”

„Ta kobieta to nie Germanka, to moja żona!”

„Ratunku!”

„Niech żyje przyjaźń czechosłowackich i radzieckich kolejarzy!!!”

„Niech żyje marszałek Stalin!”

Skończywszy czytać ten rosyjsko-czeski okólnik, pan zawiadowca poczerwieniał z gniewu.

- Że też nam nie wstyd! Toż to hańba, i to jeszcze jaka! - powiedział. A potem polizał kopertę, w której wysyłał do dyrekcji w trzech egzemplarzach szczegółowy raport o pięciu przejechanych czerwonoarmistach przy budce strażniczej numer 232

na przejeździe, tam, gdzie się to nazywa Na Rozkoszy.

### Legenda o pięknej Julci

Zamieszkałam w hotelu „Palace”. Koło północy, ledwie zdążyłam się położyć, stwierdziłam, że nad drzwiami do łazienki tyka zegar elektryczny. Ja, która nie znosiłam nawet tykania zegarka na rękę i zawsze owijałam go szalem i wkładałam do torebki, a torebkę wraz z tym tykającym czasem zamykałam do szafy, teraz oto słyszałam nad sobą mechanizm czasu umocowany jednym końcem dużej wskazówki do środka tarczy. Zapaliłam światło. Wrogo spojrzałam na zegar. I kiedy duża wskazówka zbliżała się do tej mniejszej, szybko przesunęłam stół, na stole postawiłam krzesło, otworzyłam szklane wieczko, ujęłam w palce dużą wskazówkę, ale miała taką siłę, że mi się wyrwała. Pospiesznie zeszłam na dywan, otworzyłam walizkę, wyjęłam z walizki pierwszy lepszy sznurowany bucik, wywlekłam sznurowadło, po czym szybko weszłam na stół, ze stołu na krzesło, ze sznurowadła zrobiłam pętlę, stryczek, i kiedy duża wskazówka wraz z małą wskazówką wskazywały północ albo południe, nałożyłam tę kluczkę na pokrywające się wskazówki i pociągnęłam za sznurowadło.

Po chwili w zegarze coś się sprężyło, jęknęło, zatrzeszczało, mechanizm jeszcze raz spróbował zerwać pęta i uwolnić wskazówki, ale wkrótce się poddał, w zegarze coś

poskarżyło się, zachrypiało - po czym zapanowała cisza.

Dwanaście godzin temu oponami swojej galaxie 500 przekroczyłam granicę państwa. Potem zatrzymałam się w Bajce, w tuczarni bydła, która również nazywała się „Bajka”. Stoję teraz w tuczarni bydła, czterdzieści byczków ze smakiem zajada melasę ze żłobów, oborowy twardą szczotką nabiera srebrną wodę z wiadra i szczotkuje łaciatego byczka. A kiedy ten człowiek idzie do hydrantu po wodę, widzę piękne męskie nogi w sztruksowych spodniach, a każdy z tych byczków, jeśli tylko pozwala mu na to łańcuch, liże to idące ubranie i ręce, i twarz tego rozczochranego mężczyzny, który lśni w słońcu od mokrej śliny zasychającej w kryształki melasy. I

kiedy ten człowiek tak szedł w tym szklistym ubraniu, powiedziałam sobie, że na pewno ten mężczyzna, zanim położy się spać, na pewno stawia te spodnie w kącie jak dwie zbite na krzyż deski. I mężczyzna ten podobał mi się straszliwie, tak straszliwie mi się podobał, że gdybym miała dość siły, to zbiłabym go na kwaśne jabłko, bo ja jak kogoś lubię, to od razu biłabym go, gdyż pełna względów jestem tylko dla mydłków, dla konwencjonalnych durniów, z którymi muszę żyć.

Dziś rano, po śniadaniu, odwiedziłam w pewnej kwestii prawnej mecenasa, w kwestii, dla której właściwie do Pragi przyjechałam, bo ja, Julcia Krim, pasierbica pana Samuela Krima, handlarza bydłem i byłego komisanta rzeźni praskich, ja, Julcia

Krim, przyjechałam swoją galaxie 500 do kraju po raz pierwszy od czasu, kiedy mnie

-

jedyną z całej rodziny Krimów - udało się potajemnie wywieźć w tendrze lokomotywy przez Węgry do Jugosławii, a stamtąd do Anglii, podczas gdy cała rodzina tak długo nosiła i tak długo deponowała u praskich przyjaciół handlowych perskie dywany i porcelanę miśnieńską, i holenderskie oryginały, tak długo, aż hitlerowcy ich jednego po drugim wybrali i wszyscy wykończyli się w obozach koncentracyjnych, bo nie potrafili w porę odciąć się od majątku.

Siedzę teraz w eleganckim pokoju radcy prawnego mojego ojczyma, patrzę na oryginały holenderskich mistrzów, które jako dziewczynka widywałam w willi swojego ojczyma, pana Krima, patrzę na - właściwie moją - porcelanę sewrską i miśnieńską w serwantkach, stąпам po moich perskich dywanach. Kiedy wreszcie adwokat się zjawił, spytał, czybym czegoś z nim nie przekąsiła, czy nie zjadłabym z nim drugiego śniadania. Dzięki temu zobaczyłam ponadto, jak służąca na srebrnych talerzach pana

Samuela Krima przynosi jajka z szynką, jak do moich sewrskich filiżanek nalewa herbatę - jadłam też swoimi sztucami z inicjałem S.K. A kiedy potem oświadczyłam

mecenasowi, że jestem jedyną spadkobierczynią pana Samuela Krima i że przyszedłam spytać, co pozostało z tak ogromnego majątku, mecenas nastroszył szczoteczki brwi, potem uniósł i pokazał mi obie dłonie, i powiedział, że jego ręce są czyste, że wprawdzie wszystkie te rzeczy przynosiła do niego moja matka, wszystkie te perskie dywany, tę miśnieńską i sewrską porcelanę, te holenderskie oryginały i te sztucce, i zastawę stołową, dodał, gdy spojrzałam na widelec, ale tego wszystkiego on, adwokat rodziny, użył jedynie w tym celu, aby najpierw oddać wywiezienie rodziny Krimów, potem zaś, aby przez całą wojnę posyłać całej rodzinie paczki do obozów koncentracyjnych, narażając przy tym nie tylko swoje życie, ale życie całej rodziny, i że wobec tego ma czyste ręce.

Podniosłam się, stąpałam po swoich dywanach, patrzyłam na swoje oryginały, adwokat chodził za mną i wyjaśniał mi, że w obecnej sytuacji politycznej nawet owa willa prawnie już do mnie nie należy, gdyż urządzono w niej żłobek, że jedyną rzeczą, jaka pozostała, jest jakiś niedokończony sweterek, który moja matka, Julcia Krimowa, robiła na drutach i który przed aresztowaniem zostawiła u portiera w hotelu

„Palace”... A ja uśmiechnęłam się, podziękowałam, mecenas raz jeszcze uniósł ręce i pokazał mi swoje dłonie, i raz jeszcze oświadczył, że ma czyste ręce, a ja odniosłam wrażenie, że pragnęłby, abym i ja skończyła tak jak moja mamusia. Wyszłam, wśliznęłam się do galaxie 500, położyłam ręce i głowę na kierownicy...

- Hej, wy! Hej, wy tara! - zawołałam. Ale ten człowiek z tuczarni bydła „Bajka”

szedł nadal ciężkim krokiem, niósł wiadro, ramię miał białe, ale rękę opaloną. I kiedy tak szedł, każdy z tych byczków - na ile pozwalał mu łańcuch - raz jeszcze pyskiem pełnym melasy polizał tego pastucha i każde z tych bydłał zostawało ugodzone za każdym tym liźnięciem, jakby przyjęło Świętą Eucharystię. A ja stanęłam we wrotach obory w słońcu i niemal dotykalnie oblizywałam językiem tych byczków te mokre spodnie i karmelową bluzę, tę męską opaloną szyję i twarz, niemal dotykalnie i ja stawałam się tym człowiekiem i będąc lizana - lizalam. To zresztą cała ja: cukier szczypczykami, ale jak coś mi się podoba, to od razu chaps! do ust. To takie proste:

umieć się pograżyć we wszystkim, co żyje! Ale muszę się mieć na baczności, aby gdy ktoś umiera, abym współprzeżywając wraz z nim, sama nie wyciągnęła kopyt.

A potem poprosiłam tego niesamowitego człowieka, aby był tak łaskaw i pojechał ze mną na żydowski cmentarz w lesie. Powiedział, że nazywa się Apolon. I

nad wzgórze i las wzbila się ponad okolicę czerwona rakieta, potem rozległ się wystrzał, pan Apolon wyjął straszak i strzelił w niebo, i rakieta tego samego koloru pękła i opadała w rozpryskach na ziemię.

Galaxie 500 poddawała się moim władczyim, imperatywnym rękóm.

Przejeżdżałam ulicami Pragi. Zatrzymałam się przed starymi robotniczymi domami czynszowymi, przed pięciopiętrowymi budynkami przypominającymi więzienia, gdzie do mieszkań wchodzi się wprost z otwartych ganków. Gdy zatrzasnęłam drzwi galaxie

500 i weszłam na podwórze, spychacz wściekłym czołem wywracał starą akację, akację, na którą wspinałam się, kiedy byłam mała, bo na tym podwórku bawiłam się do dziesiątego roku życia, gdyż mamusia urodziła mnie jako panna, a pan Samuel

Krim ożenił się z mamą, kiedy miałam akurat dziesięć lat, kierowca spychacza zatrzymał maszynę, wziął stalową linę, owinął ją wokół pasa starej akacji, a potem ruszył: w korzeniach drzewa zatrzeszczało straszliwie, rzuciłam się biegiem, ale przy drugim skrzydle kamienicy stanęłam jak wryta: dom nie miał już dachu, robotnicy stali z kilofami na murach, cegły spadały z łoskotem, wśród pyłu wspinałam się po schodach, minęłam pierwsze, drugie piętro, a na trzecim biegłam gankiem, po deskach, które kołysały się, poręcz już zdjęto, nieomal na oślep dotarłam do drzwi.

Sufit kuchni, w której sypiałam i w której się urodziłam, był zerwany, ściana pokoju zburzona, na murach stali dwaj robotnicy, którzy patrzyli na mnie jak na zjawę. Pod warstwami kolorów rozpoznałam nasz deseń: w różyczki, rozstawiłam dokładnie wszystkie sprzęty zarówno w kuchni, jak i w pokoju, chodziłam wśród rumowiska cegieł i tynku i pokazywałam, wyjaśniałam robotnikom, gdzie dawno, przed laty, wszystko stało, aż murarze musieli usiąść, oprzeć się o kilofy, i na przemian patrzyli to na stojącą pośrodku podwórza galaxie 500, to na mnie, i nie mogli ukryć zdumienia.

Zebrało mi się na płacz. Pobiegłam w kłębach pyłu po chwiejącym się ganku, minęłam podwórze, a obok mnie spychacz włókł na linie wyrwaną z korzeniami starą akację, która zaczepiła się korzeniami o wrota i wyrwała te wrota, drzewo nie dało się odedrzeć od starych wrót... jakby mnie wlekli na miejsce straceń, wszyscy chyba bronili się jak ta stara akacja, w której gąszczu siadywałam, jadłam kromkę chleba z masłem, siedziałam z koleżankami w gałęziach i bawiłam się lalką.

Przed osiemnastu godzinami galaxie 500 ulegała znów moim władczyim, imperatywnym rękóm, w lusterku wstecznym widziałam swoją rozradowaną twarz, oddalającą się od tuczarni bydła „Bajka”, a potem pędzącą wstecz okolicę i tę drogę, okolica była pięknie wystrojona, bo tam gdzie ja jestem, nawet szare i nudne okolice są piękne, każda okolica pięknieje dzięki mnie, a ja pięknieję dzięki tym pięknym okolicom, bo ja nie potrafię już rozróżnić: wniebowstąpienie Chrystusa to dla mnie to samo, co odpalenie i start rakiety „Atlas”, której silniki pracują z siłą ciągu stu sześćdziesięciu ton. Wczoraj skończyłam

czterdzieści lat, w lusterku wstecznym oglądam siebie wstecz aż do dziecka bawiącego się pod starą akacją w Pradze, do dziewczynki, która codziennie kupowała sobie cudowną kopertę z „dziecięcym szczęściem”, sięgam myślą wstecz i prowadzę naprzód swoją galaxie 500, i teraz, kiedy dotyka mnie kolano pana Apolona, usłyszałam wyraźnie jak zagrzmiało, i błysnęło mi w oczach.

A galaxie 500 skręca to w prawo, to w lewo, tak jak wskazuje palcem pan

Apolon, na zakrętach wprowadzam wóz w poślizg i smakuję ten poślizg jak wyższy ład, nad nami i wokół nas, i w nas... perspektywa liściastych olszyn i dębów, tunele sosnowych gałęzi, smugi popołudniowego słońca, otwarty widok ponad łąki i buczyny, błotniste zagajniki i laski.

Miałam taki jeden okres, szczęśliwą fazę życia, kiedy musiałam wszystkie pieniądze wydać koniecznie przed południem, aby po południu nie mieć ani grosza przy duszy; w londyńskim zoo przy klatce z niedźwiedziami spotkałam młodego człowieka, stało się to akurat w chwili, kiedy ten niedźwiedź polarny ustawił niedźwiedzicę przy kracie i tak śmiesznie kochał się z nią od tyłu, że oboje roześmieliśmy się na ten widok i tak oto poznaliśmy się, wydałam wszystkie jego pieniądze, było już dobrze po północy, a on mi nagle mówi, że w Chelsea jest taki mały park, gdzie pod gałęziami srebrnych świerków ukryta jest mała biała ławka, staliśmy później przy wysokiej kracie w Chelsea, przy kracie tak samo wysokiej jak ta, co otaczała polarne niedźwiedzie, pośrodku parku lśniła biała ławeczka ukryta pod gałęziami srebrnych świerków, jak na ogromnej harfie graliśmy na prętach ogrodzenia, krążyliśmy wciąż dokoła parku, w którym srebrne świerki to zasłaniały, to znów odsłaniały tę białą ławeczkę, aż wreszcie wróciliśmy tam, skąd wyszliśmy do zamkniętej furtki, do bramy, na której wisiał ogromny, wprost krowi łańcuch i łańcuch ten zamknięty był na ogromną kłódkę przypominającą budzik. Staliśmy tam zdumieni, zaskoczeni, zdziwieni, przerażeni, staliśmy tak jak wówczas, kiedy poznaliśmy się przy kracie, młody mężczyzna za mną, tak jak owe niedźwiedzie polarne w ogrodzie zoologicznym, ale w sytuacji wywróconej na nice rękawiczki, my nie mogliśmy dostać się do środka, niedźwiedzie polarne na zewnątrz, tylko to wysokie ogrodzenie było takie samo.

W foyer hotelu „Palace” czekał na mnie stary portier. Nie zdziwiłam się wcale, kiedy powiedział mi, że bardzo mu przyjemnie powitać w mojej osobie córkę pani

Julci Krimowej, która mieszkała ostatnio nie tylko w tym samym hotelu, ale nawet w tym samym pokoju co ja. Ten stary portier miał głowę i twarz przysypaną śniegiem białych włosów, trzymał klucz i przypominał mi świętego Piotra, kiedy tłumaczył mi i pokazywał, jak mamusia zbiegła na dół przed aresztowaniem, jak prosiła go, aby przechował jej



niedokończony sweter, który portier włożył do przegródki pod numerem pokoju, do przegródki na pocztę i mniejsze paczki, jak po wojnie zaniósł ów niedokończony sweter na strych, bo każdy porządny hotel i przyzwoity portier przechowują zapomniane i nieodebrane przedmioty swoich gości przez kilka lat, on jednak ma na poddaszu szafy, w których takie rzeczy przechowuje się przez lat dwadzieścia i dłużej... I stary portier wspiął się po schodach, odemknął strych, otworzył szafę...

A galaxie 500 - tak jak wskazywał palec pana Apolona - skręcała to w lewo, to w prawo, obok pożółkłych kwiatów w kwaśnych dąbrowach, w cienistych podcieniach osypujących się rozpadlin, obok jaworów i dębów, kwiatów w głębokich jarach, pod sklepieniami wielopiętrowych drzew, obok kwiatów leśnych przypominających chłodne oczy dziwożon. I pan Apolon milczał wciąż i milczał, wdzierając się w ten sposób w moją duszę, w serce.

Portier pokazywał zapomniane laski i parasole, tuziny krawatów i kamizelek, butów i bucików, trzewików i trzewiczków, zabawek. I mówił cichutko, że z każdym przedmiotem wiąże się jakieś wydarzenie, ale przyzwoity portier milczy niczym spowiednik dochowujący tajemnicy.

Siedziałam kiedyś w Paryżu w „Cafe de la Paix”, na tarasie kawiarni ulicznej, o której istnieje legenda, że co sobie tam człowiek pomyśli, czego będzie sobie w duchu życzył, to mu się spełni, westchnęłam sobie, udręczona upałem, w ojczystym języku:

- Ach, gdybyż tak kufelek pilzneńskiego piwa!

I garson, kelner o pięknych nogach, odsunął mankiet, spojrzął na wskazówki zegarka i powiedział w tym samym języku:

- Madame, ja tu kończę za kwadrans i jeśli pani sobie życzy, to tu za rogiem u

Louisa jest staroczeski kiermasz, gra orkiestra dęta, a pilzneńskiego piwa mają tam całe beczki!

Miał nie tylko piękne nogi, ale i ciało, ten garson. Stoi teraz na konsoli w kryształowej kuli mojej katedry, macha do mnie rękoma, daje mi oburącz znaki, że mnie widzi, kłania mi się jak Cassius Clay po zwycięskiej walce, jakby trzymał w dłoniach moje serce, tak jak inni mężczyźni, z którymi kiedykolwiek spałam i którzy mnie kochali, i którym jestem wdzięczna, i nie wstydzę się ich, bo wszyscy oni umilają wspomnieniami moją terażniejszość.

Stary portier wyciągnął kamasze, podsunął mi je pod nos, abym je mogła powąchać, i powiedział, że należały i należą nadal do pewnego kupca greckiego, który cały kraj zaopatrywał w przyprawy korzenne, tak że nie tylko on i jego walizka, ale nawet teraz, po dwudziestu latach, te jego buty tchną wonią egzotycznych przypraw. A

potem wyciągnął zakurzony pakuneczek, zdarł owijającą go gazetę i podał mi ten niedokończony sweter przebity dwoma drutami jak serce Chrystusa, zwinięty, niedokończony sweter. Podziękowałam mu, było to coś niby rodzima bajeczka o

Jasiu, co dostał na początku grudkę złota, a na koniec nic mu nie pozostało. Portier zamknął swoje skarby, a gdy zesliśmy na dół, do recepcji, wyciągnęłam druty i obok księgi hotelowej z nazwiskami cudzoziemców rozwinęłam niedokończony sweter. I

zaśniły tam kolczyki mamy, wysadzana drogimi kamieniami i brylantami broszka mamy, i naszyjnik, wszystko to takie, jakie znałam, jakie sama przed lustrem przymierzałam, kiedy mama szła z panem Krimem do opery albo z wizytą. Stary portier i ja staliśmy przez kilka minut zdumieni niczym Święta Rodzina nad żłobkiem, w którym leżało Dzieciątko Jezus.

- Panie portierze - powiedziałam - proszę sobie wybrać jeden z tych pierścionków na pamiątkę.

Kiedy wzięłam klucz i otworzyłam pokój, w którym po raz ostatni mieszkała moja matka, zrozumiałam, że w tym mieście i w tym pokoju nie mogę już dłużej przebywać. Zatelefonowałam, poprosiłam o rachunek, popatrzyłam na zegar elektryczny ze związanymi wskazówkami, czarne sznurowadło wisiało jak żałobna szarfa. Przysunęłam stół, postawiłam na stole krzesło, weszłam na krzesło i przecięłam nożyczkami tę czarną wstęgę, ale zegar już nie chodził, czas, który wczoraj, na minutę przed północą, spędzałam, nie miał dalszego ciągu.

Potem górską łączka z kępami karłowatych wierzb i prześwitami. Dwa pograniczne niemieckie dworki leżą w gruzach, zarośnięte krzakami malin i jeżyn.

Kiedy byłam mała, czytałam niemieckie bajki i klechdy. Gdy nadejdzie Boże

Narodzenie, na pewno nad tymi opustoszałymi domostwami w pogranicznym lesie unosić się będzie nadal baśniowy Knecht Rupert ze swoim workiem, do którego wrzuci obcięte główki dzieci, co to przykładają sobie do oka ciekawską dziurkę od klucza i podglądają, jak rodzice stroją choinkę i przygotowują prezenty, nadal nad tymi zburzonymi budynkami w lesie pędzą po nocnym niebie baśniowe srebrne sanie ciągnięte przez srebrne jelonki, a w tych srebrnych saniach siedzi Jesuskind i jedzie na polankę, aby pod patronatem świętego Huberta, przy udziale wszystkich zwierzątek, sądzić niedobrych gospodarzy, którzy w ciągu tego roku źle obchodzili się ze zwierzętami domowymi.

Później galaxie 500 zatrzymała się na brzegu sztucznego jeziora, zaporowej kałuży pośród lasów. Pan Apolon wyskoczył i ruszył swoim długim pasterskim krokiem nad ten wielki leśny staw. A ponad lasami wzbila się w niebo czerwona rakietka, potem rozległ się wystrzał i rozpryski rakietki posypały się na wierzchołki drzew. Pan Apolon wyjął z kieszeni

straszak, wystrzelił - i czerwona rakietka odpowiedziała. Stara droga prowadziła na leśny cmentarz żydowski, droga niknąca w wodzie jak ślady opon samochodu, który uniósł się w powietrze. Jakby ta droga prowadziła prosto do nieba. Żydowski cmentarz leśny, który w połowie znajdował się na lądzie, w połowie zaś pod wodami zapory. Pan Apolon blaszanym grzebykiem przyczesał włosy nasiąknięte melasą, po czym usiadł na pieńku i z gałązki wierzbowej strugał sobie fujarkę.

A galaxie 500 opuściła Pragę, wracała tam, skąd wyjechała, wracałam do Bajki, jak duża wskazówka zegara, wskazówka spiesząca się, aby pokryć się z małą wskazówką, aby wskazówki znalazły się jedna nad drugą albo nad sobą, jak o północy albo w południe. Przed Pilznem zatrzymał mnie autostopowicz, młody chłopak z zielonym plecakiem, był pijany, ale ja tego nie zauważyłam, i w miarę jak trzeźwiał, zaczynał być naprawdę pijany. Z niezwykle zapalem opowiadał mi, że w tym kraju piramida stoi do góry podstawą, że robotnicy zajmują wysokie stanowiska, a inteligenci z dwoma doktoratami myją okna. I w miarę jak trzeźwiał, zaczynał być tak pijany, że zapominał podstawowych słów, wymagało to od niego niemałego wysiłku, aby przy mojej pomocy przypomnieć sobie, jak mówi się: stół, krzesło, koń.

Zaprosiłam go na kieliszek, a kiedy napił się do syta, przestał się zataczać i znów uśmiechał się i mówił z niewiarygodnym wprost zapalem i ironią. Potem ni stąd, ni zowąd otworzył zielony plecak, przeraziłam się, bo w tym worku znajdowało się różowe wymię krowie ze sztucznego tworzywa, i młodzieniec powiedział mi, że zamiast studiować na uniwersytecie, chodzi z tym sztucznym wymieniem i uczy wieśniaków, jak najlepiej doić krowy i w ten sposób umacniać pokój nie tylko w powiatach, ale w całym kraju i w Europie, i na całym świecie, że nazywają go:

Sztuczny Cyc. I ujął strzyk, i pouczał ironicznie, że to jest prawa rączka, a to lewa rączka, a to przedni lewy strzyk, a to tylny prawy strzyk, a to znów prawy przedni strzyk, a to tylny strzyk lewy.

Boso weszłam w tę cmentarną wodę i odczytywałam hebrajskie i niemieckie napisy na pomnikach żydowskiego cmentarza leśnego, który łagodnym stokiem zanurzał się w jezioro, z brzegu odzywała się wierzbowa fujarka, dwa powtarzające się natrętne tony... Johanna Rubin, geboren Löwy, Regina Wahle, geboren Stiedry, Cilly

Elend, Emma Fischl, geboren Silberstein, Henriette Bodanzky, geboren Bejkowsky, Eli Karniol, Pauline Bondy, Clara Piesen... i w blasku słońca, które właśnie zachodziło, płyty nagrobne zstępowały w wodę i brodziły jak wojsko przepływające się przez rzekę.

Galaxie 500 minęła miejscowość o nazwie Srebro, a ja z poważną miną zwierzałam

się autostopowiczowi, który w miarę jak zaczynał trzeźwieć, stawał się przeraźliwie pijany, że ostatnio jakoś kiepsko widzę, że od czasu ostatniej katastrofy jedno oko mam tak poharatane, że widzę na nie równie źle jak na to drugie oko, któregoomalże nie straciłam, kiedy doszczętnie rozbiłam galaxie 500, tamtą, którą miałam przed tą, prosiłam autostopowicza, aby mi pomagał rozpoznawać przedmioty, mur cmentarny brałam za pasmo mgły, stojący na drodze walec parowy za strzęp obłoku, skarżyłam się, że od czasu jak przed rokiem ledwie uszłam z życiem z katastrofy, jakoś średnio mi się galaxie 500 prowadzi. I autostopowicz wytrzeźwiał, podziękował i oświadczył, że jest już na miejscu, wysiadł i poszedł, zataczając się ze sztucznym wymieniem, które sterczało mu z zielonego plecaka.

Prawie na samym końcu cmentarza spostrzegłam czarny pomnik z dwiema uciętymi złotymi rękoma, dotykającymi się kciukami i dwoma odstawionymi palcami serdecznymi. A za mną wciąż ta natrętna kwinta wierzbowej fujarki, wciąż ta wierzbowa kwinta. Zamoczyłam sobie spódnicę. Wróciłam na brzeg.

Kiedy wjechałam teraz w przygraniczny las, ujrzałam na poboczu chłopca ze szkolnym tornistrem na plecach; właśnie wyjął z kieszeni straszak, uniósł go i wystrzelił i czerwona rakietka wzniosła się ponad lasy, rozprysła się i jej szczątki opadały pomiędzy drzewa. Zatrzymałam się. Domyśliłam się, że nie może to być nikt inny, jak syn pana Apolona. I z odległego lasu wzbila się ponad wierzchołki drzew i błysnęła w odpowiedzi czerwona rakietka, i wybuchła, i opadała w rozpryskach na ziemię.

- Chodź, Apolonie - powiedziałam. - Wezmę cię ze sobą.

Usiadł obok mnie, włosy miał takie same i taką samą twarz jak ten człowiek z tuczarni bydła w Bajce. Spytałam, co robi mama, ale chłopiec powiedział, że nie ma mamy, że jest sam z tatusem, że kiedy idzie do szkoły albo z niej wraca, zawsze pośrodku głębokiego lasu daje ojcu znak, że znajduje się w drodze, i że tatuś mu odpowiada zawsze takim samym straszakiem. Gdy galaxie 500 zatrzymała się przed tuczarnią „Bajka”, chłopak podziękował i wszedł do budynku. Weszłam do obory, ale po byczkach ani śladu. Obora była pusta. Zwróciłam się do młodego człowieka, który stał oparty o futrynę wrót i czytał jakieś urzędowe pismo, czytał je już chyba po raz setny, bo papier opatrzony urzędową pieczęcią był okropnie pomięty, przeprosiłam go i spytałam, kiedy skończył czytać, gdzie jest pan Apolon. Powiedział, że pan Apolon siedzi w gospodzie we wsi Bajka i pije, bo zabrano mu byczki do rzeźni.

Powiedziawszy to, raz jeszcze zaczął odczytywać ten papier, w którym informowano go, że ma odsiedzieć jakiś wyrok. Zawróciłam galaxie 500 i ruszyłam do wsi.

Pan Apolon siedział na pniu jak faun, z łokciami wspartymi o kolana i z fujarką w

palcach. Rozpięłam guziczki stanika, zsunęłam suwak u spódnicy. A potem stałam naga, kwinta wierzbowej fujarki uderzała o łupkowy zmierzch. Wbiegłam w wodę, opryskując hebrajskie i niemieckie napisy na pomnikach wśród poziomek.

Zanurzyłam się i tak jak pływają dzieci, odpychałam się jedną nogą, wylawiałam z dna kamyczki i kładłam je na ramionach nagrobków, coraz to bliżej i bliżej tych uciętych złotych rąk na czarnym tle. A potem klęczałam po szyję w wodzie i dotykałam czołem tych złotych odciętych ramion, dłoni - i palcem namacałam imię i nazwisko na płycie:

NATHAN KRIM RABINNER

Położyłam swoje ręce na rękach złotego rabina, który pod moimi kolanami leżał w chłodnej, rozmięklej od wody ziemi, mój dziad, ojciec mojego ojczyma, rabin opętany ideą chasydyzmu, który na starość oślepl, co uważano za szczególną łaskę, niewidomy rabin, który na emeryturze zaprzyjaźnił się z katolickim księdzem dziekanem, również już w stanie spoczynku, i obaj opowiadali sobie nawzajem soczyste, pieprzne anegdoty, a pod wieczór, kiedy wracali z przechadzki, dziekan zaglądał w oświetlone okna i opowiadał mojemu dziadowi, co też on tam widzi -

dziewczyny i kobiety rozbierają się do snu i do miłości.

Zatrzymałam swoją galaxie 500 przed jedyną gospodą we wsi Bajka, gospodą, która także nazywała się „Bajka”. W kąci przy kontuarze siedział pan Apolon, wciąż w tym swoim zaślinionym ubraniu, które lśniło jak ze szkła. Siedział melancholijnie, z wyciągniętymi nogami, i tępo wpatrywał się w ziemię, wypił, zezowaty kelner przyniósł mu następną szklankę.

Wyprostowałam się i oparłam plecami o pomnik. Woda sięgała mi po pas, złote ręce rabina dotykały moich bioder. Dźwięk fujarki ucichł. Panowała iskrząca się cisza, przypominająca obmacywanie dziecięcymi paluszkami i przeczuwanie zawartości zaklejonej koperty z „dziecięcym szczęściem”.

Usiadłam na krześle i wpatrywałam się w twarz tego pięknego człowieka, do którego tu wróciłam. Kędzierzawe włosy spadały mu na twarz niczym diabelskie różki, zupełnie tak samo jak przedwczoraj, kiedy stałam naga w cmentarnej wodzie, a on patrzył na mnie. Potem zaczął się rozbierać, tak że oderwał wszystkie guziki od zgrzebnego kaftana. Miał białe, starozakonne, niedotknięte słońcem ciało. I wbiegł do letniej cmentarnej wody. Położyłam dłoń na wierzchu jego słodkiej od melasy ręki, patrzyłam w jego patrzące gdzie indziej oczy, ciągle widział to przed sobą: jak po południu wydaje rzeźnikom czterdzieści byczków, widział, jak byczki spoglądają na niego z wyrzutem, słyszał ich rozpaczliwe głosy wzywające, by pospieszył im z pomocą, ale on nie mógł, bo przecież tuczył byczki na ubój!

Mój palec dotykał wierzchu słodkiej dłoni. Stąpałam dziś po swoich perskich dywanach, patrzyłam na swoje oryginały, na swoją miśnieńską i sewrską porcelanę, jadłam swoimi sztuccami ze swoich srebrnych talerzy. Pośrodku gospody „Bajka” siedziała przy stole mała

Cyganezka i pisała litery w zeszycie, pomagała pióru języczkiem, pogrążona w szczelnym dzwonie nieświadomości. Skarb w niedokończonym swetrze mamy. I cóż z tego? A potem czułam z jednej strony chłodne ręce rabina, a z drugiej te opalone ręce człowieka z tuczarni bydła, biegnące fale omywały hebrajskie i niemieckie napisy, a moje ustokrotnione ręce jak języczki byczków wędrowały po białym cieple mężczyzny, mój język oblizywał słodkie od melasy włosy i twarz tego niewiarogodnie pięknego człowieka, i stałam się świętem, uroczystością, błyskawicą, która z grzmotem zszywa rozdarte chmury, stałam się drogą wspinającą się gwałtownie w niebo. I

nieskończoność objawiła mi się pod postacią płynącego nasienia. A potem schyliłam się, wyłowiałam z dna płaski kamyk i położyłam go na ramieniu czarnego pomnika.

Niechaj chroni mnie światło jego zasług, zasług mojego dziada, ojca mojego ojczyma!

Mój zegarek wskazywał pół do szóstej, zegar z kukułką nad kontuarem wskazywał trzy na dziesiątą, ale właśnie wykukał trzecią. A zegar na zalanej słońcem wieży kościelnej naprzeciwko gospody „Bajka” wskazywał kwadrans na drugą, ale bił dwunastą. W sionce grupa mężczyzn otaczała grających w ferbla, same rosłe chłopcy tworzyły mur ciał, tak że ci niżsi na próżno wspinali się na palce. I tak oto skazani byli na informacje, jakich udzielały im te wielkoludy. Ale te informacje wcale owych pędraków nie zadowalały. Spierali się, kłócili, a w końcu z powodu tych informacji zaczęli się bić. A potem do gospody wbiegł synek pana Apolona, krzycząc:

- Tatusiu, nowe cielątka przywieźli!

Galaxie 500 słuchała moich władczych, imperatywnych rąk, tuż przy mnie siedział synek pana Apolona, a obok niego - pan Apolon. W tuczarni bydła konwojenci i kierowcy przystawili już pochylnię. Pan Apolon otworzył wrota obory i cielątka zbiegły w dół, pan Apolon i jego synek wyciągali do nich ręce i cielątka lizały te wyciągnięte ręce, wygłodniałe - ssały palce, oblizywały dłonie. Weszłam do obory i wyciągnęłam ręce, i wystraszone zwierzątka całowały mnie, a ja gładziłam je i prowadziłam do żłobów. Pan Apolon był wzruszony, płakał ze szczęścia, popatrzył na mnie i w tuczarni bydła „Bajka” raz jeszcze objawiła mi się nieskończoność. Kurz i kamienie na podwórzu były mi drogie jak złoto. Wrota, w które i przez które wchodziły cielęta, te wrota były kresem świata, widziałam przez nie drzewa na podwórzu, zielone drzewa, które wprawiały mnie w zachwyt, a uroda i słodycz przyspieszały bicie mojego serca i uniesienie ogarnęło moje zmysły, tak niezwykle to było i

cudowne. Kilkoro bawiących się na podwórzu dzieci, dziewczynek i chłopców, wydawało mi się igrającymi klejnotami. I wcale nie chciałam wiedzieć, że te dzieci urodziły się ani że muszą umrzeć, bo w tej chwili wszystkie rzeczy pozostawały takie, jakie były i gdzie były.

Wieczność objawiła mi się w blasku tego zachodzącego dnia, za każdą rzeczą i za każdą osobą ujrzałam coś niemającego końca. To odpowiadało moim oczekiwaniom i budziło moje pragnienia. Ten budynek znajdował się w Edenie albo wzniesiono go w niebie, tak jak uczył mnie przed laty srebrnousty człowiek, Tomasz Traherne.

Niechaj chroni go światło jego zasług!

---

PS

Legenda ta powstała jako sublimacja wydarzenia, o którym mi kiedyś opowiadano. Julcia Kominikówna, córka praskiego kupca i komisanta praskich rzeźni, która na wiosnę 1939 roku studiowała w Paryżu i mieszkała w hotelu „Ritz”, w przeddzień owego tragicznego dnia w marcu 1939 roku otrzymała telegram:

NATYCHMIAST WRACAJ DO DOMU!

A kiedy zarezerwowała już sobie miejsce w samolocie, zbiegła do foyer hotelu

„Ritz” i po namyśle zdjęła brylantowe kolczyki, pierścionki i broszki i zawinęła je w niedokończony sweter, który właśnie robiła na drutach, i portier ten niedokończony sweter włożył do przegródki pod numerem jej pokoju. Julcia nie wiedziała i nie mogła wiedzieć, że samolot, którym przyleciała do Pragi, był ostatnim samolotem, że Niemcy wkroczyli do Pragi i zajęli cały kraj, że jej krewni szli kolejno do obozów koncentracyjnych, że ona wraz z matką tak długo roznosiły po krewnych holenderskie oryginały i drogocenną porcelanę, dopóki do obozu koncentracyjnego nie powędrowała jej matka, a w końcu ona sama. Po zakończeniu wojny tylko ona jedna wróciła, odwiedzała swoich znajomych i stąpała po swoich dywanach, patrzyła na swoją porcelanę, na swoje oryginały, ale nie dostała nic, znajomi bowiem twierdzili, że posyłali paczki. A potem Julcia przypomniała sobie hotel „Ritz”, poprosiła o pozwolenie. Kiedy stanęła w foyer hotelu „Ritz”, zauważyła od razu, że jest tam już inny portier. Przedstawiła mu się, wyjaśniła, o co chodzi, portier powiedział: tak, zanim stary portier poszedł na emeryturę, przekazał mu niedokończony sweter, i podał go Julci, która rozwinęła ten niedokończony sweter, i na dnie hotelu „Ritz”

zalsnił mały skarb - zupełnie jak w bajce.

I Julcia powiedziała:

- Panie portierze, proszę sobie wybrać jeden pierścionek na pamiątkę.

## **Legenda o Kainie**

### **Kain wyjeżdża**

Podszedłem na stacji do kasy i zwróciłem się do panienki:

- Poproszę bilet!

Kasjerka wyrzała przez okienko i odezwała się spokojniutko:

- No tak, ale dokąd, panie dyżurny ruchu?!

Zamyśliłem się i prawą ręką przesunąłem po brwi.

- Pojadę, panienko, tam, gdzie najpierw zatrzymają się pani oczy.

Ale dziewczyna myślała, że idzie o rozmowę towarzyską, i odpowiedziała:

- Jak to: najpierw? Dzień w dzień przecież ciągle patrzę na bilety. - I stroiła miny, i wykrzywiała się, i była ładna, choć tak naprawdę była brzydka.

Zastanowiłem się i zatarłem ręce.

- Wobec tego, panienko, proszę mi patrzeć w oczy i lewą ręką niczym jarmarczna papuga wyciągnąć mój los.

I teraz z kolei śmiałem się ja, bo i ponieważ myślałem, że ją przechytryłem.

Ona jednak była sprytniejsza niż na to wyglądała. Odpowiedziała bez wahania:

- Niech pan posłucha, panie dyżurny ruchu. Mogę nawet w nocy sprzedawać bilety po ciemku. I tak bym dała panu bilet, jaki bym chciała!

I kołysała się na krześle, i cieszyła się, że tak dobrze jej idzie. Mnie jednak przestawało to już bawić i powiedziałem surowo:

- A więc siódmy rząd, siódma kolumna i w ogóle wszystko, co zaczyna się na siódemką. Jak u Żydów.

I głos tak mi drżał w gardle, że tak od razu to nawet nie chciałem się do niego przyznać. Ale ten głos należał do mnie, bo kiedy to powiedziałem, równocześnie umilkły moje usta. I to drzenie przeniosło się na nie i tak drżała mi dolna warga, że aż jej dotknąłem. Słyszałem, jak datownik przedziurkował bilet i jak niczym piorun kulisty zbliża się do mnie ruda czupryna tej kasjerki.

- Bystrzyca koło Beneszowa - powiedziała. - Należy się sześć koron i pięć-dziesiąt halerzy. Ale jakiś pan dziś nieswój, panie dyżurny ruchu! Któraż to pana dręczy?

A ja odparłem żartobliwie:

- Kostucha...



A ona huśtała się na krześle i śmiała się, bo nie wiedziała. Wyszedłem z poczekalni.

Wyszedłem w gęstniejący mrok, w tę część dnia, kiedy wszystko staje się dziwne, kiedy wszystko jakby nigdy już nie miało zobaczyć światła, które właśnie tak tkliwie się ze wszystkim żegna. Nieomal stałem na tej linii, kiedy można twierdzić, że jeszcze jest raczej dzień niż noc, lecz także można podjąć spór, że nie jest już dzień, że jest noc. Na peronie właśnie pracownik kolei przygotowywał bagaże do wagonu służbowego, a ja przygotowywałem ostatnie przemówienie, ostatnie kilka godzin, które sam określiłem, godzin, które wymyśliłem właśnie pośród wieczności. Nikt już nie mógł zmienić mojego postanowienia, nikt już nie mógł odebrać mi wybranej przypadkowo swobody. Nigdy nie mógłbym już nic lepiej i doskonalej wymyślić, nigdy też nie chciałbym żyć inaczej niż dotychczas. A więc gdybym mógł zacząć od nowa, doprowadziłbym to znów tam, gdzie jestem, to znaczy na peron prowincjonalnej stacyjki, gdzie stoję z biletem do Bystrzycy koło Beneszowa, stacyjki, gdzie nigdy nie byłem. I wszystko to wydawało mi się dziwne. Stanie się to w hotelu, w którym nigdy nie nocowałem. Posługacz dworcowy zapalił latarnie, która chlusnęła żółtym światłem na krawędzie walizek i koszy. Ja, który nigdy już nie miałem nic sobie zapalać, rozgarniałem patyczkiem zbutwiałe liście. A kiedy spostrzegłem strzęp papieru, pochyliłem się nad tym świetlistym przedmiotem pośród ciemności, zapaliłem zapalkę i przeczytałem, co tam napisano. Brzmiało to pięknie i znalazło oddźwięk w mojej duszy. Był to skrawek partii fortepianowej ze słowami: NADSZEDŁ MIŁOŚCI

MOJEJ MAJ...

Ale oto wjeżdżał już na stację pociąg i krzak iskier wykwitał mu z komina, i z wolna wiądl i opadał, i ginął na czarnej ziemi. Czułem się tak, jakby nachyliła się ku mnie ta ruda kasjerka w okienku. Tak myślałem i wspominałem o niej, wsiadając do wagonu. Ze straszliwym trzaskiem zamknąłem za sobą żelazne drzwi i w ten oto sposób zamknąłem całą swoją przeszłość, odłączyłem się i przeciąłem pępowinę, łączącą mnie z rodzinnymi stronami. Stałem przy drzwiach i przez okienko patrzyłem, jak pociąg nabiera szybkości. Mijałem właśnie stojącego na peronie dyżurnego ruchu, który nagle z jakiegoś niezrozumiałego powodu uniósł zieloną lampkę i trzykrotnie skinął mi nią poziomo (choć tkwiłem w ciemnościach), tak jak kapłan kropiący trumnę. A zresztą przyznałem, że ten wagon to naprawdę moja trumna, przewożąca mnie na miejsce pochówku, jakie sobie wybrałem. Nikt nie udawał ani też paplaniną nie zatruwał mi ostatniej drogi. Jechałem w poszukiwaniu zwyczajnego ludzkiego szczęścia, tak jak w sobotę chłopcy ze swoimi dziewczętami i gitarami jadą na weekend, tak jak krewni rozjeżdżają się po chrzcinach czy pogrzebie. Jechałem z tym zamiarem, aby swoje rzeczywiste życie pogodzić ze swoimi myślami.

Siedziałem więc w przedziale trzeciej klasy, w płaszczu i w ciemnościach, bo toczyła się wojna. Przez chwilę myślałem także o austriackich przepisach prawnych, że samobójcy powinni być grzebani w miejscach ustronnych przy zachowaniu całkowitego milczenia. A

jednak monarchia miała zrozumienie dla opętanych cichą myślą! A jednak trochę miłosierdzia dla tych szczęśliwców, którzy tylko ot tak sobie, z rozpaczy, w imię chwały i sławy, i zwycięstwa idei, idą na rzeź, do której sami doprowadzili. Jakże prostacki wydał mi się w porównaniu z tym mobilizacyjny rozkaz! Zabijać i pozwolić się zabić - wbrew sobie! Rozdygotałem się niemal ze wściekłości na myśl, że tuzin samobójców rocznie obrzuca się w gazetach błotem i zasypuje obelgami i przekleństwami, gdy miliony zabitych podczas wojen to po prostu tylko liczba! A fe!

Cholera! I wsłuchiwałem się w coraz wolniejszy łoskot kół: pociąg hamował i zatrzymywał się.

A potem w ten mrok wpychała się kobieta w czerni i wciąż nie udawało się jej wciągnąć za sobą jakiegoś pudła czy walizy.

- Dokąd też pani jedzie? - spytałem.

Jednakże myślałem, co też ta kobieta wlecze. Pomogłem jej umieścić ten bagaż na półce, a potem powtórzyłem:

- Dokąd pani jedzie?

- Do domu, proszę pana, nie gdzie indziej, tylko do domu. Wiozę puste skrzynki po owocach. Bo ja jestem, proszę pana, sadową. W lecie zrywam owoce, a zimie to ja je rozwożę - użalał się ten głos z ciemności.

- A czy jest pani przynajmniej szczęśliwa? - spytałem.

- Jakże miałabym nie być szczęśliwa? Toż to moja radość: stać tak cały dzień na drabinie i zrywać te piękne krągłe owoce i wkładać je sztuka po sztuce do koszyczka.

To moja największa radość. Już tak od dwudziestu lat wraz z mężem zajmuję się sadownictwem - weselił się ten zatroskany głos spośród mroku.

- A czy zdarzyło się pani kiedyś spaść? - nie przestawałem wypytywać.

- Dotychczas jeszcze nie! A wspinam się aż tam, dokąd mój mąż się nie odważy, proszę ja pana. Opieram drabinę na gałązkach i witkach i poruszam się aż gdzieś w koronach. Pewnie mam anioła stróża. - I kobieta roześmiała się.

- A dokąd pan jedzie? - jakby w rewanzu spytał uprzejmie ten głos z ciemności.

I tu zły duch podszeptał mi kilka okrutnych zdań - wbrew mojej woli i naturze.

Po raz drugi zdziwiłem się dziś: któż to przeze mnie przemawia? Odparłem z szatańskim odcieniem w głosie, że jadę po brzytwy. I mlasnąłem językiem, i białym palcem

przejechałem po szyi.

- Po dwie brzytwy, jedna do ręki prawej, druga do ręki lewej, a jedna brzytwa i druga brzytwa to, proszę pani, dwie brzytwy!

A jej głos jakby już za późno pożałował, że w ogóle zadał to pytanie.

- A dokąd, proszę pana?

Ja zaś ścisnąłem dwie brzytwy w kieszeni bluzy i odniosłem wrażenie, że to harmonijka ustna.

Odpowiedziałem jednak poufnym tonem, że do Bystrzycy koło Beneszowa. A

ona, tak jakby chciała wcisnąć się i ukryć w ciemnościach albo przez ścianę przeniknąć do drugiego przedziału, szepnęła cicho:

- A po co?

- Ach, moja droga pani, bo wespnę się tam na wysoką drabinę i całych sześćdziesiąt minut będę się tam kołysać, w podmuchach wiatru! Przez całą godzinę będą gałązki i witki targać moim ciałem niczym strachem na wróble. A potem ktoś zawoła, a może nie zawoła! A potem ktoś wystrzeli, a może nie wystrzeli, ale ja polecę, spadnę z wierzchołka, ale nie w dół, moja droga pani, ale w górę, w górę, w górę!

Krzyczałem już wprost, krzyczało to we mnie, nie mogłem nic na to poradzić, byłem bezsilny. I podniosłem się. Kobięcy głos, a nie można powiedzieć, że kobięcy, ludzki głos, a nie można powiedzieć, że ludzki, odpowiedział mi niezrozumiale. A ta kobieta, która tak lubiła zrywać owoce, zemdląca.

### **Kain nie może się nadziwić**

Nad tym leżącym ciałem przyszło mi na myśl, że nie powinienem był tego robić. Wyrzucałem sobie, jednakże zamierałem ze zgrozy na myśl o nieznanym, który przed chwilą moimi ustami upomniał się o głos. Przerazało mnie to: kogóż w sobie przeciwko sobie wyhodowałem i kto mnie przerasta. Kiedy weszła konduktorka, poprosiłem, by pomogła mi sadową ocucić. Rozcierałem staruszcze ręce i chuchałem na jej dłonie. Ona jednak jęczała tylko jak przez sen i nie mogła odzyskać przytomności. Dopiero gdy konduktorka z latarką na piersiach naląła jej do ust odrobinę kawy, głęboko - jakby aż gdzieś od stóp - odetchnęła i z wolna przesuwała grzbietem ręki po zimnym czole. A ja znów się pochyliłem i błagałem, by mi wybaczyła. Nagle ta konduktorka oświetliła mi latarką twarz.

- Ojejku, panie dyżurny ruchu... - powiedziała. - A pan tu skąd?

I zapachniała kwitnąca gałązka, wywołana tym głosem, który tak dobrze znałem, łagodny i zdolny przywrócić teraźniejszości czas przeszły. Trzymałem wciąż tę sadową za rękę, ale zapomniane wydarzenie zaczęło odradzać się z taką wyrazistością, że mój mózg i serce ta natarczywość wycieńczyła, aż jęknąłem. Wyciągnąłem rękę ku latarence przyglądającej mi się z uporem, zasłoniłem ją. I natychmiast ciepła dziewczęca ręka pogłaskała wierzch mojej dłoni i nie cofnęła się, nadal spoczywała na niej cichutko, jakby to już dawno zostało postanowione. Na szczęście ta sadowa zaczęła lamentować:

- Ach, mój panie, panie mój!

Raz jeszcze pochylilem się nad nią i światło rzucało znów swój krąg na tę rembrandtowską scenę zbiorową. Ostrożnie podniosłem staruszkę, zarzuciłem jej chustę na ramiona i wziąłem tę konduktorską latarkę z piersi konduktorki, i poświeciłem sobie w twarz.

- Przecież to ja - powtarzałem raz po raz - zwyczajny człowiek, człowiek, zwyczajny człowiek, proszę mnie dotknąć! Jestem zupełnie taki sam jak pani. No tak!

A ona przestała drżeć, ja jednak widziałem i czułem poprzez dotyk jej skóry, że wciąż jestem dla niej odrażający, że boi się mnie, że nie chce mnie znać. Że chciałaby już, natychmiast, być w domu ze swoimi spokojnymi jabłkami i gruszkami, i mężem.

Spytała, czy nie zechciałbym być tak dobry i nie pomógł jej wynieść tego pakunku na korytarz, że woli stać. Wobec tego w tym mroku i ostrym świetle latarki wywlokłem te skrzynki na korytarz. Kiedy wróciłem do przedziału, pociąg wjeżdżał właśnie w ogłuszający łoskot mostu. Latarenka polśniewała wciąż w tych ciemnościach, a ja nie wiedziałem, co robić. Podszedłem więc do okna i otwarłem je. Owionął mnie gwałtownie świeży nurt powietrza... Pociąg zwalniał. Wyjrzałem i zobaczyłem ramię semafora w pozycji Stój. Za swoim uchem czułem włosy konduktorki i bezpośrednią bliskość ciała dziewczyny. Odwróciłem się, zdjąłem tę latarenkę z szyi i poświeciłem jej w twarz. Tak, to była ona.

- Panno Maszo - powiedziałem - jakże się pani ma?

I powiesiłem jej z powrotem latarkę na szyi. A potem wychyliłem się z okna i ot tak sobie wpatrywałem się we wzbraniający czerwony krąg światła, i dolna warga zaczęła mi znowu drżeć. Masza dotknęła moich pleców i powiedziała:

- Dobrze i to, że mnie pan poznał. Czy myśli pan niekiedy o tym płocie?! I w ogóle o wszystkim! Niedobry!

I przylgnęła do mnie, i czułem na plecach ciepło latarenki niczym wyrzut sumienia. Trząśłem się, przejęty uczuciem, ale powiedziałem tylko szorstko:

- Jakżeby nie!

I machnąłem ręką w mrok, bo wszystko wydało się naraz niepotrzebne. Ta

konduktorka poruszyła jednym z klocków i nagle coś w mojej budowli zaczęło się nagle chwiać, zacząłem jakby wypadać z roli, którą postanowiłem grać.

Uświadomiłem sobie, że będę musiał wszystko przebudować! A to wszystko przez dziewczynę, z którą kiedyś malowałem długi płot koło dworca! Do diabła! Czulem, że tracę siły, że słabnę, że nie dojdę tam, dokąd zamierzałem, i ogarnęła mną tak wielka nienawiść do tej dziewczyny, że chciałem ją spruć! Jak zawsze, tak i teraz zjawiała się nie w porę. Nie żebym jej nie kochał; wprost przeciwnie: wszystko w niej mi się podobało, wszystko mnie jako mężczyznę podniecało. Ale już wówczas, kiedy spoglądaliśmy na siebie przez tę siatkę ogrodzenia i poszturchiwaliśmy się nawzajem pędzłami, już wówczas narastał inny program. Ogarniało mnie inne pragnienie.

A teraz czulem jej oddech na ramieniu, słyszałem bicie serca i syczenie olejowej latarenki. W semaforze coś zatrzeszczało i zielone światło zastąpiło czerwone.

Usiadłem, pociąg z wolna nabierał szybkości.

Ot tak tylko, żeby coś powiedzieć, odezwałem się:

- Czy pamiętasz, Maszeńko, jak wykradaliśmy sobie z kieszeni fotografie?

Dziewczyna milczała i wyciągała z kieszeni bluzy rozkład jazdy spięty gumką od słoika konfitur, wyjęła stamtąd jakiś kartonik i podała mi go. Wybiegła na korytarz i za chwilę usłyszałem, jak wywołuje nazwę stacji. Zapaliłem papierosa i w smudze stojących latarni dworcowych spojrzałem na papier. Była to moja fotografia.

Wiedziałem o tym, a spojrzałem tylko dlatego, by utwierdzić się w tym, że jestem już na innym torze i w przyszłości, cokolwiek będę robić, nieustannie muszę się oddalać od tego, czego pragnąłem. Patrzyłem na to zdjęcie, z którego spoglądało na mnie dziecko o oczach na skraju płaczu, i z grzywką. A poza tym moja twarz oblana była kawą, a cała sukienka z kokardą zatłuszczona smalcem. Widać było, że często patrzyła na ten buziaczek, jakby wierzyła, że skupiony wysiłek jej mózgu mnie przywoła. I

chyba się to zdarzało. Słyszałem znów jej głosik, wywoływał, oddalał się i powracał.

Śmierć, ku której z całą stanowczością zdążyłem, jakby straciła na mocy, sprzejrzyściła... Jej poprzednią uciążliwość, gwałtowność i urok zastępowały przeciwstawności. I to ja byłem rzeczywiście oblany kawą i wytłuszczony smalcem. I

teraz moje oczy znajdowały się na skraju płaczu, a na czoło opadała grzywka. I nie udawało mi się nadażać ze zdziwieniem. Kiedy smuga światła, w którą wszedłem, zaczęła się znów rozwijać, spojrzałem raz jeszcze na tę fotografię, teraz jednak widziałem na niej dziewczynkę z kokardą. Obróciłem ją: po przeciwnej stronie nalepiony byłem ja.

I to mnie ścięło z nóg. Przeszłość, która pojawiła się pół godziny temu jako punkt,

przebiła sobie teraz otwór, przez jaki przeszedłby dorosły człowiek. I to nie wszystko! Nieustannie wyciekał ze mnie coraz obfitszy i bardziej natarczywy strumień drżenia, a pragnienie śmierci doszczętnie zbiełało. Cóż za kokieteria?! Wszystko to okazywało się silniejsze niż postanowienie, a ja po prostu inaczej nie mogłem. Taki już byłem. A zresztą wcale to nie musiała być Masza, wystarczyłby jakiś kwiatek albo zupełnie zwyczajne zdarzenie, które dokonałoby we mnie takiej przemiany! Ale co wydało mi się jasne i co w pełni już pojmowałem: że to jedynie zwłoka! I że znów starczy jakiegoś zwyczajnego zdarzenia, abym sobie przypomniał i postępował dalej, abym kończył to, czego nie przedsięwziąłem! I ocenię się jeszcze surowiej! Zawsze godziłem się na to niewłaśne wydarzenie. Zawsze mi było żal, że ktoś widzi mnie inaczej niż chciałby mnie widzieć. Zawsze składałem się w ofierze. I to był chyba najpiękniejszy rys mojego charakteru. Zawsze było dość czasu na moje życie!

Tak więc, kiedy Masza weszła do przedziału, szczypczyki jej migotały i pobłyskiwały i smuga światła wydała mi się odrażająca. Przymknąłem powieki i podałem jej zdjęcie. Powiedziałem:

- Jakie to ładne.

A kiedy wyciągnęła rękę, schwyciłem ją szybko w nadgarstku i przysłoniłem ciałem latarenkę. I pocałowałem ją. W przedziale panowały ciemności. Dopiero gdy się poruszyliśmy, wytrysnął wąski promyk światła, ale wkrótce zdusiły go znów nasze ciała. Żeby sprawić jej radość, pocałowałem ją raz jeszcze i najlepiej jak umiałem, udałem żarliwość uczucia. Rozkazałem swoim rękóm, aby ścisnęły ją mocno i zsuwały się w dół po plecach, aby mocno zamknęły w dłoniach jej drobne piersi, aby głaskały jej włosy. Starąłem się i czułem, i słyszałem, i widziałem, że nieistnienie moich uczuć wywołuje rozkosz i miłość, i drżenie. Przepływała przeze mnie jakaś boska głuchota.

Dawałem, a sam nic nie odczuwałem, niczego, prócz pragnienia, aby mu zadość-uczynić, spełnić je i ofiarować tej dziewczynie ułudę rzeczywistości. I pośród tego mroku powiedziałem sobie, że gdybym się żenił, to mogę poślubić tylko Maszę.

Głaskałem ją nieustannie, a ona ścisnęła mi rękę, jakby chciała wpompować we mnie swoje życie. Kiedy pociąg zaczął zwalniać, przypomniałem jej czule:

- Niech pani idzie wywoływać stacje, Maszeńko. Żeby sobie ktoś po ciemku nie złamał nogi!

Ale ona nie posłuchała mnie. Lgnęła do mnie stale i aż do Pragi obdarowywała mnie trzyminutowymi pocałunkami. Zapaliła znów lampkę (przed chwilą ją zgasła) i powiedziała mi:

- Niech pan poczeka na mnie przy głównym wejściu.

I wybiegła na korytarz, i znów było ją słychać, jak otwiera i zamyka przedziały, i woła:

- Praga! Proszę wysiadać! Praga! Proszę wysiadać!

Głos ten oddalał się i nie sprawiało mi to przykrości.

Kiedy wchodziłem w praskie zaciemnienie, wcale nie wydało mi się to nieprzyjemne. Tramwaje jeździły spowite w błękit, a przechodnie sprawiali wrażenie nierzeczywistych. Stałem naprzeciwko głównego wejścia i patrzyłem na to otwieranie się i zamykanie drzwi wahadłowych, na krążenie stłumionych świateł i na podróżnych, którzy byli błękitni. Jakby to przeciąg otwierał i zamykał te drzwi! Jak ogromne serce, wtryskujące i wytryskujące krew. Czulem się tak, jakbym znalazł się w zatopionym statku, gdzie wir otwiera drzwi, przez które wpędza potem potworne ryby i topielców!

A potem zjawiała się ona i była naprawdę ładna. Bardziej niż mogłem się tego spodziewać. Może dlatego, że obok przejeżdżał właśnie tramwaj i oblał ją kolorem bursztynu i ultramaryną. Spozrzegłem wcześniej, niż mnie zobaczyła, że ma czysty kauczukowy kołnierzyk i że się rozgląda. Skinąłem jej całym ciałem i nikłowe guziki zbiegły w dół i jej zapał, i przyjemność, z jaką patrzyła na moją twarz, skłoniły mnie, że uśmiechnąłem się i powiedziałem, że ślicznie wygląda. I rzeczywiście wyglądała ślicznie! Przed wszystkim dlatego, że była taka czyściutka, uczesana, że bluza tak dobrze na niej leżała. W ręce nosła kuferek i niebieską bańkę na kawę, jaką noszą pracownicy kolei. I kiedy szła, miała taki piękny chód, że poprosiłem, żeby szła kilka kroków przede mną. Ale ona myślała, że śmieję się z niej, albo wrodzony wstyd nie pozwalał jej być oglądaną za własnym przyzwoleniem, zatrzymała się i rumieniąc się, kołysała bańką, że chcąc nie chcąc, roześmiałem się szczerze. Wziąłem ten kuferek, a ona poprosiła mnie jeszcze, bym przytrzymał lusterko, aby podkreśliła szminką kształt ust. Jakby wiedziała, że to lubię. Zwracała na mnie oczy i patrzyła na moją drżącą wargę. Wziąłem ją pod rękę i spytałem:

- A teraz dokąd?

A ona wskazała mi palcem zaciemnioną Pragę i powiedziała:

- Tam!

I szliśmy, i przy każdym kroku dotykała mnie biodrem. Uśmiechała się nieustannie i dołeczki na jej twarzy nie znikały. Wiedziałem, że będę musiał powiedzieć coś ładnego.

Powiedziałem jej:

- Kocham panią, Maszo!

A potem najczulej jak umiałem ścisnąłem jej usta i powiedziałem:

- Moja ty mordeczko!

I pocałowałem ją, patrząc, jak przymyka oczy i jak drży mi w rękach.

A potem gdzieś w mroku leteńskich błoni wskazywała mi tam w dole gęste ciemności i wyjaśniała:

- Ta ciemność to Teatr Narodowy, tamta znów to pomnik poległych za wolność, a tamto jaśniejsze to pewnie będzie Zamek...

I paplała, a ja z całą szczerością cieszyłem się, że ona się cieszy i jest szczęśliwa.

Przerazało mnie tylko to, że tak jawnie wlecze mnie do domu, jakby mnie znalazła albo wygrała. Ale wchodziliśmy już do kamienicy i słyszałem, jak jej bije serce.

Milczała uparcie i z podniecenia nie mogła nawet oddychać. Dopiero gdzieś na piątym piętrze zatrzymała mnie, szukała kluczy. A potem otworzyła drzwi i podbiegła do okna, i opuściła zaciemnienie.

- Niech pan zapali światło.

Wymacałem kontakt i przekręciłem go.

Pokoik okazał się taki, jakiego się spodziewałem. Maszyna do szycia, witryna z wypchanymi żółwiami i kuną niosącą w pysku ptaszka. I jeszcze stół, bujany fotel i promieniejący obraz Najświętszego Serca Jezusowego, z rozdartą skórą, lecz z wnętrzem pełnym żółtych promieni, z płomieniem u góry i koroną cierniową dokoła.

Usiadłem w tym bujanym fotelu i mimo woli ścisnąłem te dwie brzytwy. Ścisnąłem je i zrozumiałem, jak bardzo się od nich oddaliłem. Myślałem o swoim charakterze, a

Masza słała łóżko. Kiedy rozłożyła pierzynę, jej róg wytrącił z ciszy i spokoju ten czerwono-złoty obraz z Chrystusem. Masza zdejmowała bluzkę. A potem z opuszczonym wstydliwie wzrokiem powoli, jakby to oznaczało jej śmierć, podchodziła do kontaktu i ze straszliwym wysiłkiem zgasiła światło. Znalazłem się w mroku i słyszałem, jak Maszeńka się rozbiera. Na ścianie poruszał się też cicho obraz Jezusa niczym jakieś wahadło umierającego czasu. Przez szparę w zaciemnieniu wdzierало się błękitne niepokalane światło nocy: nie zdołałem się powstrzymać i podszedłem, i uniosłem tę płachtę. Z dymu i mgły wypłynął właśnie księżyc i spoglądał na mnie niemądrym okiem, tak że aż ogarnęło mnie przerażenie. Opuściłem zaciemnienie i znowu stała się ciemność. Obraz poruszał się już tak cicho, jakby ktoś pisał chwiejnie ołówkiem. Zdjąłem z siebie wszystko i wśliznąłem się do łóżka obok Maszy.

Ofiarowałem tej dziewczynie wszystkie swoje soki i siły, myślałem bowiem, że chce tą miłością popełnić samobójstwo. Dałem jej samego siebie, bo ona tego pragnęła.



## **Kain zostaje wierny samemu sobie**

Przed świtem zostałem sam i poranek prowokował mnie swoją rzeźkością.

Stawałem się skłonny do wzruszeń. Masza spała jak zabita. Wielki bąbel pod nosem świadczył, że żyje. Pęczniał, to znów wiotczał, w miarę jak oddech nadymał go czy spłaszczał. Jeszcze przed brzaskiem podniosłem zaciemnienie: miałem zamiar patrzeć, jak rodzi się dzień. Teraz już w pełnym świetle mogłem dostrzec jej prawą nogę, przewieszoną przez krawędź łóżka, i błękitną żyłę, doprowadzającą krew do czulek, które wydały mi świadectwo. Prawa pierś także zdawała się pęcznieć i ciągnąć ciało ku ziemi. Tylko ten bąbelek pod nosem nieustannie kipiał i zamierał. Nie mogłem już leżeć dłużej. Wstałem i ubrałem się bezszelestnie.

A serce Jezusa bezsilnie promieniało z kolorowego oleodruku: ciernie i krew wydawały się jakby świeże. Nad całym tym nieładem porzuconych ubrań i bielizny królował stroniący od przemocy Syn Boży i nie ośmielił się wzbronić ani jednego pocałunku, ani jednego jęku, ani jednej pieśczoły. Widocznie czekał tylko na tych, którzy przychodzą sami, z pokorną twarzą i z serduszkami cichymi. Wisiał tam u

Maszy na tej ścianie jak strażnik, który nie ma ze skazanym nic wspólnego. Jedyne ten Jego jaśniejący ogródek z płonąca wiechą jakby zdolny był przyjąć zarówno uśmiech, jak płacz. I tak podczas gdy zapinałem pasek, zbliżał się do mnie coraz to wyraziściej, a kiedy zawiązywałem krawat przed służącym za lustro szkłem Jego obrazu, zbratałem się z Nim, a On nie mógł się temu sprzeciwić. Zrozumiałem w tej chwili, że pogodził się ze swoim losem, że przyjął go, że dokładnie znał swój koniec i nie starał się go uniknąć, bo potrzebował Ukrzyżowania jako dowodu swojego istnienia. Przejmowało Go tylko grozą, gdy wyobrażał sobie, że naród żydowski odmówi Jego ukrzyżowania. I oblał mnie pot, gdy to sobie wyobraziłem. Przecież On położył się na torach i wiedział, że nadjedzie pociąg. Wiedział, co zgotują mu za to, i nie cofnął się. Z całą rozważą popelniał samobójstwo, aby udowodnić jedność swoich myśli. Gdybym był wówczas Szatanem, podszeptałbym narodowi, aby ukrzyżował

Barabasa. I wszystko stanęłoby w miejscu.

Ale patrząc w to lustro, uświadomiłem sobie także swoje posłannictwo. I z taką siłą zapragnąłem siebie samego, że aż zaszczękały mi zęby. Jakby to było niezbędne oddalenie, wzmocnienie. Aby teraz z tym większą siłą podążał za swoim marzeniem.

I już prześcigałem się aż do Bystrzycy koło Beneszowa, gdzie nigdy nie byłem. Masza

jakby wyczuła to nawet przez grubą ścianę snu. Szepnęła coś i bąbel pod jej nosem pękł.

Pospiesznie opuściłem pokój i zszedłem tych kilka pięter. Drzwi domu okazały się jednak zamknięte! Otwarłem okno na podwórze i prześliznąłem się przez nie bez podniecenia, bo gdybym miał te drzwi wyłamać, wyłamałbym je, gdybym miał rozwalić mur, nic by mnie nie powstrzymało. I znalazłem się na podwórzu, na które padał ostry cień, przelazłem przez białuśki murek i już nic nie stało mi na drodze.

Czułem, jak we wszystkie części mojego ciała wpływa wola. Byłem nią wypełniony bez reszty! Mogłem wyrazić się, używając matematycznego wzoru. Nie byłem smutny ani wesoły. Tylko mój umysł okazał się chłonnniejszy i z każdą chwilą coraz bardziej odrąbywałem od siebie to, co było. Stawałem się samą tylko terażniejszością ze słodkim końcem w czasie przyszłym. Kiedy dobiegłem na dworzec, przypomniałem sobie, że bilet leży na stolicku u Maszy. Kupiłem nowy i odjechałem pierwszym pociągiem. Z brzytwami w pudełkach takich, jak harmonijki ustne. Siedziałem w kurteczce i patrzyłem na znikające słupy telegraficzne, oczekując tych, które wybiegały mi nieustannie naprzeciwko. Z zegarkiem w ręku sprawdzałem zgodność biegu pociągu z rozkładem jazdy, a najbardziej chciałem mieć wszystkie stacje za sobą i znaleźć się tam, dokąd unosiło mnie serce. Przez całą drogę dręczyła mnie jedna jedyna myśl: czy będą tam mieli łazienkę? I o niczym innym przez całą drogę nie myślałem.

Łazienkę tam mieli! Natychmiast kazałem napalić w piecu i zszedłem do biura, aby zapisać się w księdze hotelowych gości. W rubryce cel pobytu napisałem:

odwiedziny braci. Bez zwłoki zapłaciłem kierownikowi i powiedziałem mu, że podróż mnie okropnie wyczerpała, że pójde się wykapać, a potem odrobinę pokrzepić snem.

Otworzyłem pokój oznaczony numerem siódmym, rozebrałem się i położyłem na łóżku. Z dworu - nawet przez zamknięte okna - dobiegał szmer padającego deszczu, podczas gdy z łazienki docierał nasilający się nieustannie plusk wody. Leżałem, obrócony tyłem do okna, ale widziałem w lustrze odbijające się szyby, zmętniałe od spływającej wody jesienno-dżdżowej. W lustrze tym widziałem też swój kapelusz, kurtkę, spodnie i wierzchołek stojaka. Było to tak smutne, że wstałem i poszedłem do łazienki.

Zakręciłem krany z wodą i z kieszeni płaszcza wyjąłem te brzytwy. I ni stąd, ni zowąd zacząłem gwizdać walczyka z „Hrabiego Luksemburga”. Oстрыm nożem wyrzynałem w schodku wąski otwór i wcisnąłem weń jedną z brzytw, a drugą położyłem obok. Potem ni stąd, ni zowąd ogarnęły mnie wątpliwości i słuchałem tylko tego walczyka z „Hrabiego Luksemburga”, który sam przez się wydobywał się samotnie z moich ust. Spostrzegłem też, że powtarzam ten sam motyw. Nie bez przerażenia przyłapałem się na tym, że cieszę się, że ta

pieśń jest tak długa! Kiedy umilkłem, stałem się naraz tak biały i cichy jak niezapisany papier. Choć powinienem być już w gorącej wodzie, wciąż jeszcze się wahałem. A kiedy wziąłem tę brzytwę do ręki, spostrzegłem, że obie ręce drżą mi wprost niewiarogodnie. Właściwie to nie ręce, ale skądś z głębi trzewi rozlewał się ogromny, przerastający wszystko strach i niepokój, który wprawdzie kończył się w palcach, lecz zaczynał się gdzieś daleko poza ciałem. Ani te trzewia, ani serce, ani dusza, ale pewna rzecz poza mną! Jakbym był igłą, w której uszko nawleka się nieznana nić! I wtedy dopuściłem się jeszcze jednej niedorzeczności. Wyrwałem sobie włos i wypróbowałem na nim ostrza brzytwy, chociaż wiedziałem, że są wyostrzone! Kiedy przyjrzałem się sobie w lustrze, dostrzegłem, że to pogwizdywanie i próbowanie brzytwy wymyśliło moje bojaźliwe ciało. Znowu byłem tym małym chłopcem z grzywką i oczyma u kresu płaczu.

Widziałem siebie i ani jedno tchórzliwe, pełne winy spojrzenie nie umknęło mojej uwadze. Było to dla mnie straszne.

Odłożyłem brzytwę i wyszedłem na korytarzyk, aby się uspokoić. Upokorzenie samego siebie i strach mający źródło poza mną zawęzły moje kiszki. Czułem blade twarz i swoje całkowite wykolejenie. Stałem tak z zamkniętymi oczyma i nieustannie wyczekiwałem, kiedy odezwie się mój ton, moja barwa. Kiedy moje żagle pochwycą wiatr i popłynę w wyznaczonym przez siebie kierunku. Nieustannie powtarzałem sobie:

- Musisz! Musisz! Musisz!

I ten szmer słów naprawdę mnie uspokajał. Otworzyłem oczy i dopiero teraz spostrzegłem, że niżej, na zakręcie schodów, jakiś stary człowiek pomarszczoną ręką wypełniał zaprawą murarską otwór w ścianie z wbitym hakiem, a obok niego leżała gaśnica marki Minimax. Widok ten mnie pokrzepił i wpatrywałem się w niego rozmiłowanym wzrokiem, ale on mnie jakby nie dostrzegał. Wciąż tylko kładł warstwę zaprawy murarskiej wokół haka i wygładzał ją kielnią, gładził. Tak mi to dodało sił, że wsunąłem się na powrót do pokoju i cicho przyknułem drzwi. Po chwili uchyliłem je znowu szerzej, aby raz jeszcze móc spojrzeć na tego starca, on jednak, który przedtem przez cały czas ani razu na mnie nie spojrzał, teraz uważnie mi się przyglądał. Patrzył na mnie swoim głębokim nieludzkim wzrokiem, jakby znajdował się zaledwie kilka centymetrów przede mną. Nieustannie wpatrywał się tylko we mnie i na pewno wszystko wiedział. Nieustannie zbliżał się do moich oczu, tak że zatrzasnąłem gwałtownie drzwi i wbiegłem do łazienki.

Pospiesznie zrzuciłem płaszcz kąpielowy i pospiesznie zanurzyłem się w gorącej wodzie. Bez namysłu ująłem prawą ręką brzytwę i rozpocząłem ten koncert śmierci. Ten pierwszy ból przyprawił mnie niemal o utratę przytomności: zrobiło mi się słodko, trupio

słodko, ale jak tylko zanurzyłem krwawiący przegub w wodzie, nastąpiło uśmierzenie. Było to raczej zmęczenie niż ból, raczej sen niż wzmożone czuwanie. Nie miałem nawet sił, aby przycisnąć drugi przegub do zakitowanego noża.

I naprawdę nie miałem powodu, aby tak pospiesznie stąd uciekać. Było to tak piękne, że uniosłem rękę, by przekonać się, że to prawda. Tak, krew buchała, tak jak tego pragnąłem, i rzeczywiście uciekałem - centymetr po centymetrze. Ani przez chwilę mojej myśli nie zaprzętały jakieś wyrzuty czy odległe wspomnienia związane z literaturą. Stwierdzałem, że staję się sednem poezji, muzyki, malarstwa. Nie zjawiała się nawet twarz Maszy, by mi coś wypominać i czegoś życzyć. Należałem teraz do innej rzeczywistości - i ten strach i przygnębienie uleciały. I nie pragnąłem nawet:

„Ojczy, jeżeli chcesz, przenieś odemnie ten kielich...”<sup>1</sup> Byłem samą modlitwą i odradzałem się w pięknie. I ani ojciec, ani matka, ani zawiadowca stacji nie przyszli do mnie, aby utrudnić mi tę przemianę. Nic nie zakłócało tej wielkiej chwili, ku której od lat zdążałem, tej chwili, do której miałem pełne prawo, bo wyhodowałem ją sobie, żywiłem w sobie i w końcu doprowadziłem do niej. Woda wprawdzie ciemniała nieustannie od przybywającej krwi, mnie jednak wydało się to tak piękne, że mógłbym porównać to tylko do słońca zachodzącego w krwawym jeziorze. Sprawilem, że nawet czas przestał istnieć, bo wiedziałem, że już nigdy nie będę mógł uczestniczyć w bardziej przejmującej uroczystości... Dlatego też, kiedy zacząłem zbliżać się do linii dzielącej świadomość od nieświadomości, całą swoją istotę skupiłem na tej sekundzie, która wprawdzie jeszcze nie nadeszła, ale z całą pewnością przyjść musi, kiedy przeszłość i przyszłość zostaną pochłonięte przez zwyczajną i nieustanną teraźniejszość, z którą się w końcu połączę.

Ale sekunda owa albo minęła już moją wannę, albo jeszcze nie nadeszła, albo, o zgrozo, nigdy nie nadejdzie, bo nie istnieje. I nagle w tej gęstej kąpieli zostałem wbrew swojej woli przywrócony pierwotnemu drzeniu, które było kubek w kubek podobne jak u Hrabiego Luksemburga. A nawet jeszcze gorzej! Jakby wyrastała ze mnie pępowina, która wciągała mnie z powrotem w nieczyste łono. Wiem, że siłą ducha trzymałem się jakiejś krawędzi, ale ssanie okazało się tak gwałtowne, że musiałem zwolnić uchwyt rąk, puścić się... Nie nadążyłem za sobą samym i te dwie czy trzy sekundy, które sobie uświadomiłem, były obrzydliwe. Oczy miałem otwarte szeroko, wielkie jak talerze, ale nie widziałem, chciałem zawołać, ale połykałem jedynie gęstą krwawą breję. Chciałem uśmiechnąć się do kogoś, ale maska na mojej twarzy zastygła.

Żarówka albo słońce zgasło.

## Kain w szpitalu

Doktor Gali wpompował we mnie krew trzech krwiodawców, po maksymalnych cenach według taryfikatora. No i nie umarłem. Nowość i zasadnicza zmiana stały się wprawdzie rzeczywistością, ale ja byłem już kimś zupełnie innym.

Trudno mi przychodziło wyjaśnianie panu doktorowi Gallowi, jak się to wszystko

1 Łk. XXII, 42, przekł. ks. J. Wujka.

mogło zdarzyć, skoro już nic a nic z tej swojej przeszłości nie pojmowałem. Zdawało mi się raczej, że czytałem o tym w powieści, jakby zdarzyło się to komuś innemu. A

także sam z siebie zaczynałem o tej sprawie mówić, zacząłem zdradzać zainte-resowanie tym, co też się w hotelu wydarzyło. Przyłapałem się na tym, że jestem nawet zgorszony i wstydzę się za sprawcę, co do którego nie miałem żadnych wątpliwości, że to ktoś inny, nie ja. Kilkakrotnie nawet szepnąłem:

- To, proszę pana, wyjątkowo śmiali ludzie, ja bym tego nie potrafił!

Jednakże widok obwiązanej ręki i jej bezwład z wolna przekonały mnie w końcu, że i ja także zostanę w to jakoś wplątany. Ręka ta nieustannie leżała obok mnie jak szczenię białego bernardyna, a ilekroć próbowałem nią poruszyć, natychmiast odzywał się ból i szczekał, tak że nie mogłem powstrzymać łez. W końcu naprawdę zgodziłem się, że chyba w tej Bystrzycy koło Beneszowa to byłem ja. Ale nic mi nie wzbraniało, aby nadal ten czyn mnie nie zdumiewał, abym tego nie krytykował.

A więc ciągle miałem swoje imię i nazwisko wypisane kredą na czarnej tabliczce nad głową, ale pewnie krew tych trzech krwiodawców splukała wszystkie sadze z moich żył i wytapetowała mój mózg zupełnie innymi pomysłami. Gdyby nie ta rana na przegubie, naprawdę przyjąłbym, że te brzytwy, jeśli idzie o związek ze mną, nie istniały. Wciąż nie rozumiałem, jak mogłem, wiedziony tylko prościutką żądzą, wpakować sobie nóż w nadgarstek. Potrafiłem wyrazić to jedynie literacko, jedynie w formie romantycznej rady dla innych. Znalazłem nawet jakieś estetyczne uzasadnienie takiego czynu, lecz ilekroć konfrontowałem siebie z tą przygodą, nie mogłem przełknąć, moje wnętrzości ścisnęły się, jakby chcąc uniemożliwić wstęp nawet samej tylko myśli. Pewnie przetoczono mi krew samych roztropnych i spokojnych obywateli. Dlatego też doktor Gali siadywał przy moim łóżku i długo spoglądał na mnie przez okulary w rogowej oprawie, jakby chciał wtargnąć w głąb mojej czaszki. Pewnego dnia powiedział mi, że odwiedzi mnie jakaś konduktorka, która

mnie ponoć uratowała. A to dopiero niespodzianka! I tak powoli, kawałeczek po kawałeczku, dowiadywałem się, jak się tu znalazłem i co to poprzedzało. No i dopiero teraz uświadamiałem sobie, że w moim dawnym życiu istniała jakaś dziewczyna w błękitnej sukni ze srebrnymi guziczkami! Nawet twarz zaczęła mi się wytaczać niczym na obrabiarce, jednakże nie widziałem ani oczu, ani noska, nie pamiętałem też koloru włosów. Jedyne pusta twarz, gotowa, by wypełniła ją rzeczywistość. Z radością wyczekiwałem więc pory odwiedzin. Utkwiłem wzrok w drzwiach i czekałem cierpliwie, aż jej oczy odnajdą mnie i odwiedzą.

Kiedy wreszcie weszła, patrzyłem na nią jak na zjawę. Miała jasnoniebieską jedwabną sukienkę, granatowy beret i przewieszony przez ramię zakiet. Niepewnie przyglądała się naszej salce i rzucało się w oczy, że się boi. Kiedy w końcu odważyła się skupić spojrzenie na łózkach, popatrzyła w moim kierunku i uśmiechając się, szła po czerwonym kokosowym chodniku do kącika z moim łóżkiem, prowadzona spojrzeniami pozostałych chorych. Skinąłem jej tą wolną ręką, dawałem jej sygnały oczyma i sprawiało mi przyjemność to, że ją widzę, i znajdowałem upodobanie w pogrążaniu się w jej miłym wyglądzie. Ale ona zatrzymała się przy sąsiednim łóżku.

Pochyliła się nad nim i pocałowała bladego chłopaka, który wyciągał do niej rękę! A ona płakała i śmiała się, jakby sama śmierć go jej zwróciła! Raz po raz powtarzała jego imię:

- Loleczku!...

I wręczyła mu przewiazaną błękitną wstążką bombonierkę.

A więc to nie moja wybawczyni. Zamknąłem oczy i płakałem do wewnątrz.

Nasłuchiwałem tylko, jak tych dwoje cieszy się w niepojęty sposób, że już po operacji i że wszystko będzie znów w porządku, i że nie mogą się wprost doczekać chwili, kiedy wrócą ze szpitala do domu.

I naraz dotknęła mnie ciepła ręka, a kiedy otwarłem oczy, ujrzałem nad sobą najpierw czapkę z daszkiem i srebrnym sznurem, potem biały kauczukowy kołnierzyk, szereg błyszczących guzików, a w końcu miłą dziewczęcą twarz. Nachyliła się nade mną jak nad kołyską, i powiedziała:

- Oto jestem, panie dyżurny ruchu!

I z kieszonki wypadł jej czarny gwizdek na srebrnym sznurze i uderzył mnie lekko w usta. Powiedziałem:

- Zechce pani usiąść, bardzo proszę.

A ona, zmieszana, usiadła mi na tej bolącej ręce!

Krzyknąłem i łyzy uniosły jej postać, i skrzywiona twarz zniekształciła mi całą salę. I ból sprawił, że przypomniałem sobie wszystko, przypomniałem sobie podróż pociągiem, pokój Maszy i Chrystusa, który ofiarowywał mi serce z płonącym wiechciem tam u niej, nad łóżkiem. Poznałem ją właśnie w tej chwili, kiedy jej nie widziałem. Jakby wypłynęła mi w głębi ciała i usiadła przy łóżku, aby różkiem chusteczki ocierać łyzy i głaskać policzek. Kiedy otworzyłem znów oczy, siedziała na krześle z nogą założoną na nogę i tą wolną nogą kołysała. A że miała podciągnięte nogawki, widać było drobne kostki u nóg. Chciałem powiedzieć jej coś ogromnie miłego, ale tam, na drugim końcu sali, wybudzał się z narkozy motocyklista, któremu amputowano obie nogi. Oparłem się na zdrowej ręce i tak samo jak inni pacjenci patrzyłem na to krzyczące łóżko. Słysząc było:

- Maksiu, puść tę kierownicę! Puść, Maksiuuuu!

Nieszczęśnik usiłował wstać, ale był przypięty pasami i rzemieniami do łóżka.

Masza patrzyła i nie mogła oderwać wzroku od tej potężnej klatki piersiowej, która napinała się i szarpała pasy. Nagle wyzwolił prawą rękę, sięgnął pod łóżko, chwycił szklaną kaczkę i cisnął ją ze straszliwą siłą ponad czternastoma łózkami. Pełen moczu nocnik przeleciał przez całą salę i roztrzaskał się o ścianę tuż nade mną. Odłamki szkła spadły na białą poszewkę i lśniły w blasku słońca. Masza była blada, a kropelki moczu błyszczały w jej włosach jak bryłki bursztynu. Ale już pielęgniarki przywiązywali motocyklistę, a siostra prosiła gości, aby wyszli. Masza pocałowała mnie, wyjęła z torebki owiniętą w papier książkę i powiedziała:

- Do widzenia.

Będąc już w drzwiach, przesłała mi buziaka. I stało się, że po raz pierwszy jej zapragnąłem, po raz pierwszy chciałem mieć ją zawsze przy sobie. Odeszła, ale wyobrażenie jej tu pozostało, by mnie uszczęśliwić.

### **Kain staje się literatem**

Ale częściej niż inni odwiedzał mnie doktor Gali. Siadał na krawędzi łóżka i kazał mi wciąż od nowa opowiadać o wszystkich szczegółach moich przygotowań.

Myślałem, że nie może spać, że nudzi się albo że zamierza napisać jakąś rozprawę naukową o moim przypadku. I dlatego nie opuściłem ani jednego meandra. Wprost przeciwnie! Szereg drobiazgów wymyślałem, byleby tylko sprawić mu radość. Były to absolutne wariacje na mój temat. Ta pocziwa Masza przyniosła mi „Krzyż nad potokiem”

Karoliny Svetlej, skracałem więc sobie czas tą niewinną bukoliczną opowieścią. Dzisiaj wieczorem wezwano mnie do doktora Galla, choć dotychczas zmieniał mi opatrunek w ambulatorium. Ale pomyślałem sobie, że zamierza jakoś uczcić to wielkie wydarzenie: że po raz pierwszy przeszedłem się po korytarzu. Krew tych trzech krwiodawców słuchała poleceń mózgu i to kielkujące życie zaczynało mi się podobać, więc z radością usiadłem w fotelu u doktora Galla. Kiedy odbandażował mi ranę, po której została już długa fioletowa blizna, zastygł nagle w bezruchu z opatrunkiem w ręku i spytał mnie:

- Tak czy inaczej, nie mieści mi się w głowie, że nie miał pan żadnego powodu do tego samobójstwa! Że popełnił je pan z desperacji. I zaczął nawijać bandaż na palec. - Niech pan popatrzy choćby na mnie - ciągnął. - Życie mnie nie bawi. Mam powód, by popełnić samobójstwo. I dlatego nie mogę tego zrobić. Byłoby to tchórzostwo. Ale ja go pragnę! Przyzywam je. Codziennie je wabię. Jestem obrzydliwie tchórzliwy, bo nigdy życia nie kochałem. Gdybym sobie palnął kulkę w łeb, byłoby to ostatnie ogniwo w łańcuchu innych okropieństw. Dla mnie na razie najtrudniej jest trwać na tym świecie. A więc zostaję tu! Codziennie wstawać, tą samą szczoteczką myć śmierdzące zęby, dzień w dzień wkładać ten sam biały fartuch, codziennie siadać do wstrętnych posiłków, dzień w dzień kłaść się i czekać, czy miłosierny sen ugniecie duszę w znośną kulę. Dzień w dzień wszystko na jedno kopyto i nie ma dokąd przed tym uciec. Leżę w wannie, kolego, już od piętnastu lat i krew z wolna ze mnie wycieka! - Zwijał bandaż w kłębek, a kiedy spojrzał na mnie, wydawał się taki malutki. Coś tak pięknego kryło się na dnie jego oczu, że wziąłem go za ręce i chciało mi się śmiać. Wszystko leżało teraz przede mną, daleko za mną, ostatecznie ukształtowane, dokładne i klasycznie doskonałe. Nic mnie już nie ograniczało, nie musiałem się jąkać i wydzierać z siebie zdania, ale mówić spokojnie, jak profesor, który już od trzydziestu lat wyklada ten sam przedmiot.

- Panie doktorze - mówiłem, kołysząc kapciem - oto widzę właśnie przed sobą całą tę szczęśliwą przyszłość ludzkości! Ludzkości zdrowej nie tylko fizycznie, lecz także moralnie. I stąd wytryśnie to niewysychające źródło śmierci. Mówię panu, przyjacielu, że samobójstwo stanie się miernikiem etycznym i estetycznym nie tylko jednostki, lecz także rodzin, narodów. Będzie kulminacją kultury, a tworzyć ją będą artyści i estetycy. Myślę, że nawet Pan Bóg będzie się kiedyś modlić do tego człowieka, nowego człowieka, który przezwycięży własną wolą prawo strachu i w ten sposób znajdzie się w sercu samego Boga. Nikt w przyszłości nie będzie pragnąć się powtarzać! Nikt w przyszłości nie będzie życzył sobie stać się maszyną matematyczną!

Wprost przeciwnie! Pragnienie jakościowej przemiany będzie wpajane już w szkole



średniej. Każdy już jako młody człowiek będzie miał wyobrażenie, które zresztą można stale udoskonalać, jak skończy się jego ziemską wędrówka. I życie, dopóki będzie, będzie jedynie radością i przytakiwaniem! Wszak trzeba będzie wymyśleć też inne niebo! Czekają nas wielkie, a przede wszystkim nowe zadania! Ale koniecznie trzeba mieć i stworzyć historię, nauczycielkę samobójstw! Ale nie samobójstw z głodu czy nieszczęśliwej miłości, które nam tylko szkodzą, ale tych rzetelnych i pięknych samobójstw ze znudzenia, tych samobójstw, których przyczyn nigdy nie poznamy, popełniono je bowiem ot, tak sobie! Niech pan posłucha: jako dzieci bawiliśmy się w chowanego i mój kolega powiesił się w kominie na potrójnym drucie, będąc bez reszty opętany myślą, jakie też miny będą mieli ci, którzy odnajdą go w tak niezwyklej kryjówce. Znałem usposobionego religijnie człowieka, który tak łaknął świętości, że w nocy w kościele, uniósłszy w krypcie wieko grobowca i owinąwszy się w te szaty i skamieniałe kiszki i kości jakiejś błogosławionej niewiasty, strzelił sobie w łeb, zasuwając jednocześnie wieko trumny, tak że znaleziono go dopiero po wielu latach!

Stał się niemal podobny do tej błogosławionej, której pożądał! Proszę bardzo! I nie jest to i nie był zły przykład. Jeśli już, to zawsze pomysłowo! Spotęgować ten czyn.

Nadać mu postać, która nie obraża poczucia piękna. Właśnie! I odejść w pełni sił, skryć się w krzyżówce okoliczności! Dopiero teraz, panie doktorze, kiedy patrzę na ten swój czyn, czerwienię się! Wstydzę się! A fe! Nie było to przecież godne człowieka ze średnim wykształceniem! I na domiar złego postanowiłem, że będę obserwował siebie aż do tej chwili, kiedy dusza opuszcza ciało! To już lepiej skołał mój brat stryjeczny, który skoczył z wieży kościelnej i zanim spadł na ziemię, przez cały czas wykrzykiwał imię swojej ukochanej i z ogromnej papierowej torby sypał confetti, tak że kiedy runął, jeszcze przez pięć czy sześć minut sypały się nań te papierowe kwiaty, tak że wyglądał, jakby usnął pod majową jabłonią. I tak oto ci niepozorni są tylko prekursorami tego wieku, który nadejdzie. Czasów, kiedy zamiast wojen będą samobójstwa całych grup narodowych, tych górnych dziesięciu tysięcy! I będą koncyptowane na przykład na wzór obrazów z *cinquecento*! Jako próbki będą wymieniane samochody spedytorskie á la piękna Zanona i bestialski doktor Quartz!

W uniwersytetach będą prowadzone wykłady z tej dziedziny! Duch i fantazja nie będą już włączyć się w podcieniach mózgu! Ale staną się rzeczywistością! Proszę pamiętać, panie doktorze, że tylko w ten sposób upokorzymy Pana Boga i przekreślimy w ten sposób grzech naszych prarodzców!

Tak oto dałem się unieść i pozwoliłem swoimi ustami spławić to, co już zostało zmiecione moim czynem. Sam podjąłem próbę, sam się spełniłem. I Bóg wie, że nie z własnej woli uszedłem cało, ale że zostało mi odmówione! Dlatego także i dziś przypadek ten

wydawał mi się niepowtarzalny, wyjątkowy i odległy. Już mnie to nie dotyczyło i dlatego potrafiłem tak pięknie o tym mówić, jako że krew tych trzech krwiodawców uczyniła ze mnie człowieka ostrożnego, bojaźliwego i - wreszcie -

znakomitego narratora. Jakbym naprawdę opowiadał o kimś, kto może żyje, a może też nie żyje. I długo potem milczałem, wpatrując się w deseń dywanu. Kiedy spojrzałem na doktora Galla, ujrzałem go w niezwyklej masce. Jakby jego twarz została obrócona na nice. Patrzyłem i wbijałem wzrok w to oblicze, i chciałem odgadnąć, co też sobie myśli. Nie okazało się to trudne. Myślał o swoim końcu, zastanawiał się pewnie, jak go uczynić jak najpiękniej.

- A więc, panie doktorze - powiedziałem - ja już sobie pójdę! Życzę szczęścia!

Ale on mnie nie słyszał. Położyłem się na łóżku i spoglądałem na zachodzący dzień, kiedy można powiedzieć, że jest już wieczór. Jednakże ten prawdziwy, najprawdziwszy głos przekonywał mnie, że to zbędne, a więc że doktor zrobi to kiedy indziej o wiele tchórzliwiej i bez polotu. Nieustannie myślałem o twarzy doktora Galla i jakiś głos mnie ostrzegał, że powinienem wtrącić się, póki czas. Zamknąłem oczy i marzyłem o Maszy, marzyłem o tym, że będę znów jeździć do pracy i że może się ożenię, i będę szczęśliwy, bo jestem już kimś innym. Słyszałem, jak zegar na wieży wybija dziesiątą, potem jedenastą. Przy oknie pobłyskiwały w mroku ogniki papierosów moich towarzyszy szpitalnej niedoli. Chciało mi się pić. A potem otworzyły się drzwi i ktoś z latarką w ręku rzucał sobie biały klin światła na noski butów.

Wiedziałem, że te kroki zmierzają do mojego łóżka, i usiadłem, i włożyłem na nogi kapcie. Ręce dygotały mi znów tak obrzydliwie jak wtedy, kiedy się bałem. Okazało się, że to administrator szpitala; poprosił mnie, abym z nim poszedł. I znów gdzieś od wątroby zaczęło mnie ogarniać przerażenie. Jakby ktoś obcy nawlekał w moje uszy nitkę. Znałem to, tak, to ta chwila, zanim człowiek potwierdzi tę granicę określającą zmianę stanu skupienia. Było to owo napięcie, kiedy dopytuje się o formę, w jaki sposób coś się stało. I kiedy schodziliśmy do piwnicy, wiedziałem już, że oczekuje mnie coś niezwykłego, coś, co - według życzenia doktora - miało się stać historią, przykładem. Ledwie administrator otworzył drzwi, już to wiedziałem i widziałem.

Koło pieca centralnego ogrzewania leżała czarna skurczona kukła. Była nadpalona i prawe oko, które wskutek żaru wypadło z oczodołu, uparcie się we mnie wpatrywało.

Kiedy zszedłem o kilka stopni niżej, pękło i wypływało bezgłośnie na ziemię. Wokół tej ofiary w pozycji skurczonej, stali kręgiem trzej mężczyźni o bladych twarzach, przejęci grozą, bo wciąż zastanawiali się, czy i oni mogliby tak postąpić. Wysoki mężczyzna,

widocznie przewodniczący komisji i chyba sędzia powiatowy, odwrócił się właśnie i splunął. Przy trupie stał wachmistrz żandarmerii z założonymi do tyłu rękoma i dowodził, że morderstwo nie wchodzi w grę, jako że denat sam zawiązywał sobie ręce.

Ten wysoki mężczyzna głosem, który wypełniał pomieszczenie widmem żaloby, powiedział:

- No dobrze, ale jak zawiązał ten ostatni supeł...

I pochylił się nad doktorem Gallem, i przez lupę przyglądał się jego wciąż mocno spętanym opalonym rękoma.

Patrzyłem w milczeniu i nie przeszkadzałem im. Lecz także nie współczułem, bo każdy jest tak nieprzewyciężenie niedostępny we wszystkich swoich chwilach!

Powiedziałem sobie na tych schodach, że znów i na nowo, gdyby chciał ktoś popełnić samobójstwo, zawsze jestem gotów mu pomóc, w czym tylko zechce. Jednakże przede wszystkim niech każdy wybierze odpowiednią dla jego wykształcenia formę.

Wyobraziłem sobie nawet i to, jak doktor wpycha się do pieca. Ale ból się we mnie nie odezwał. Powiedziałem sobie jedynie:

- Doktor Gall to zuch!

I zabrzmiało to dość głośno, tak że wszyscy się odwrócili.

Ten wysoki mężczyzna był, jak się domyślałem, prezesem sądu.

- A więc ma pan tu kolegę - powiedział głucho.

A potem wypytywał mnie, a protokolant to powtarzał za nim: jak się nazywam, ile mam lat, a przede wszystkim: kiedy po raz ostatni rozmawiałem z doktorem i czy był wzburzony.

- Wprost przeciwnie - odparłem. - Był zimny jak gład!

A kiedy po wszystkich tych niezbędnych formalnościach wychodziłem, posłałem doktorowi całusa.

### **Kain już się nie odnalazł**

Jakbym wyszedł z panopticum. Tak widziałem normalny, naturalny świat. Nie narzucali mi się ani ta moja przeszłość, ani doktor Gali. Wyszedłem ze szpitala z węzełkiem bielizny i krew tych krwiodawców wypełniała mnie żarliwością.

Dziwowałem się wszystkiemu i spokojnie stanąłem na szeroko rozstawionych nogach pod włócznią świętego Wacława i spoglądałem na zbliżające się i oddalające twarze.

Tylko ja nie miałem ciągle pewności, że to jestem ja. Pytanie to z taką siłą napierało mi na mózg, że kiedy ścisnąłem rękę w kieszeni, niezwłocznie musiałem się przekonać, czy to nie ktoś inny zwarł moje palce w swojej dłoni. Nieustannie odnosiłem wrażenie, że jestem rozrzucony na powierzchni kilku kilometrów kwadratowych. Dopiero patrząc własnymi oczyma, nabierałem pewności, że to ja, że moja ręka nie jest ode mnie oddalona o kilkaset metrów. No i ludzie dziwili się, dlaczego wkładam rękę do kieszeni, a potem otwieram ją - uniesioną - przed oczyma.

Ale ja nie dziwiłem się, bo jak tylko włożyłem rękę do kieszeni, w tej samej chwili odnosiłem wrażenie, że zapomniałem gdzie swojej ręki niczym laski albo parasola. I

tak kroczyłem placem Świętego Wacława i pierwsza zmarszczka wyryła mi się na czole. Ale zabawiałem się w ten sposób, że spoglądałem w szyby wystaw i cieszyłem się swoim odbiciem, które przeskakiwało z jednej wystawy na drugą i ślizgało się po kwiatkach i po butelkach, i ubraniach. Ale kiedy minąłem lustro, zatrzymałem się i przerażenie sprawiło, że rozdygotała mi się aureola... Odniosłem wrażenie, że jeszcze nie przechodziłem albo że już dawno przeszedłem. Coś pojawiło się przede mną w takich przeciwieństwach, że nie pragnąłem nawet ustalić własnej tożsamości.

Wróciłem z opuszczonym wzrokiem przed lustro i spojrzałem w nie raz jeszcze. Byłem to ja, ale i teraz się nie poznałem. Patrzyłem na tę zjawę i ani drgnąłem, bo wciąż jeszcze miałem nadzieję, że to nie ja. Że to ktoś inny, ktoś, kto za chwilę poruszy się i zniknie. Jednakże ten, tam, naprzeciwno, był stałe nieruchomy jak ja, stałe na mnie patrzył, jakbym budził w nim przerażenie. Zdobyłem się więc na odwagę i uniosłem rękę. Ten tam też podniósł rękę. Otwarłem pięść i ten tam otworzył ją również. A więc ponad wszelkie wątpliwości byłem to ja - i lzy rozczarowania skapywały na węzełek bielizny. Tam, w szpitalu, wśród bladych i umierających, niczego nawet nie podejrzewałem, myślałem, że wszystko jest w porządku, ale teraz ten mężczyzna o spiczastym nosie i odstających uszach mnie obrażał. To, że wymieniałem niemal duszę, było mi serdecznie obojętne, ale utrata wyglądu fizycznego mnie zasmucała. Tak bardzo lubiłem te swoje osiemdziesiąt kilogramów. Tak lubiłem wachać swoje ręce, tak lubiłem głaskać nogi i tułów, i szyję. Teraz dopiero zrozumiałem, że jestem na dobre zgubiony, że jestem wymieniony i że już nigdy nie będę mógł żyć zgodnie ze swoim wyobrażeniem. Teraz pojąłem także, iż będę odpowiadać za krew, którą mi - wbrew mojej woli - wstrzyknięto. Moje życie, które świadomie doprowadziłem aż poza skraj, zostało mi zwrócone w innej formie i w innej treści, choć imię i nazwisko pozostało.

Jestem w pełni odpowiedzialny za krew, która teraz płynie w moich żyłach. Moja

dawna dobroć może być zastąpiona zbrodnią i ja zostanę postawiony przed sądem, mimo iż umarłem prawy i uczciwy. Czuję tu w lustrze i przed lustrem, że zostałem oszukany.

Czego brakowało mi w tej chwili - to jedyne paluszka Maszy, jedyne jej spojrzenia, które zdolne było widzieć mnie inaczej, niż ja sam siebie widziałem.

Ukloniłem się sobie w lustrze i opuściłem ten amalgamat. Zatrzymałem się przed wystawą z maszynami do szycia i patrzyłem na Maszę, jak pochylona nad maszyną szyła sobie jakąś sukienkę. Jej kark był tak silny, a jej ruchy zachwycające.

Wpatrywałem się w tę wystawę z maszynami do szycia i lękałem się dotknąć zjawy

Maszy. Ale jej zjawą dodała mi sił: uspokoilem się. Odetchnąłem głęboko i zacząłem widzieć bez strachu. Oceńłem na oko, że straciłem od dziesięciu do dwunastu kilogramów. Trzeba będzie wszystko uzupełnić, bo - skoro nie ma powodu, by nie żyć

- musi się żyć. A jeśli już - to jak najprzyjemniej. Podjąłem stanowcze postanowienie, że ożenię się z Maszą, że będę miał ogródek, w którym będę hodować róże i warzywa, że będę miał dziecko, że będę miał szczęśliwy dom rodzinny. Że stworzę sobie nowe życie. Spokojne, tandetne, drobnomieszczańskie. I nagle szło mi się z tym węzełkiem bielizny tak lekko! Widziałem przed sobą swoją przyszłość, witałem ją. I ni stąd, ni zowąd krzyknąłem do idących mi naprzeciw ludzi:

- TAK!

Podążający naprzeciwko mnie tłum nie wiedział, co mi odpowiedzieć. Jedyne zbliżający się strażak odbijał w swoim lśniącym hełmie moją postać. Kiedy mijaliśmy się, spostrzegłem, że ten mężczyzna niesie na ramieniu gaśnicę przeciwpożarową marki Minimax i jest podobny do tamtego staruszka z hotelu w Bystrzycy koło

Beneszowa, który tak uparcie się we mnie wpatrywał. Naprawdę wyglądał jak przebrany Pan Bóg. A i teraz jakby mnie wybrał i chłodnym i surowym spojrzeniem dał mi do zrozumienia, że wszystko o mnie wie. Szedłem dalej i zatrzymałem się o spory kawał drogi od miejsca tego spotkania. Szczerze mówiąc: musiałem się zatrzymać. I odwróciłem się. Szczerze mówiąc: musiałem się odwrócić. I naprawdę ten strażak w lśniącym mosiężnym hełmie patrzył na mnie surowo, ten Minimax oparł o słup i skręcał sobie papierosa. Właśnie podniósł go do ust i polizał bibułkę.

Wyjął pudełko zapalek, potarł jedną z nich i lekko się pochylił, i w stulonych dłoniach niósł w górę jej płomyk, który docierał tu z dali świetlicie i rozjaśniał te stare drżące ręce. A potem patrzył na mnie i palił, oparty plecami o słup. Nie wytrzymałem i odwróciłem się. Pojąłem już na zawsze, że przeszłości się nie pozbędę. Stale i nieoczekiwanie będzie mi wybuchać wprost pod nogami jak nadepnięta mina.

Wszyscy strażacy, jakich spotkam, wszyscy wrzucą mnie z powrotem do tej krwawej brei, choćby mieli mnie wyciągnąć z mojego ślubu. Zresztą i ta moja blizna kilkakrotnie w ciągu dnia przypomina mi ten nieudany dzień. I ta moja przeszłość -

zamiast słabnąć - będzie wzmagać się i rozkwitać, będzie coraz to bardziej intensywna, bo znikną szczegóły, a pozostanie tylko mit. Wystarczy nieznacznie zawadzić o daleką metaforę, a natychmiast na przeciwległym krańcu zapali się neonowa ręka z brzytwą.

Powiedziałem:

- Moje uszanowanie. Muszę być dla siebie uprzejmy.

I zamknąłem oczy, i przechodnie wpadali na mnie.

### **Kain to zły omen**

Pod koniec kwietnia ruszyłem znów na rowerze do pracy. Ważyłem siedemdziesiąt osiem kilogramów i naciskałem pedały, tak że aż się zdyszałem.

Mijałem już blaszany krzyż, kiedy obudziło się we mnie pragnienie pogłębienia przyjaźni, jaką nawiązałem z Chrystusem. Zeskoczyłem z roweru i podszedłem bliżej, aby powiedzieć temu rozpiętemu na krzyżu człowiekowi:

- Dzień dobry.

Jednakże On ani drgnął. Wisiał i z gwoździ ciekła mu rdza. Na biodrach jakiś litościwy mistrz lakiernik namalował mu coś w rodzaju gatek w barwach narodowej flagi, a On, pocziwina, godził się na to. Naprawdę zeskoczyłem tylko po to, aby się z

Chrystusem przywitać, ale te gatki tam, pod lipami, zaczęły mnie bawić, tak że wybuchnąłem śmiechem, a On, Syn Boży, nie mógł mi nawet dać parę razy po gębie ani kopnąć w twarz, bo był porządnie przybity. A zresztą i tak pewnie by mnie nie sprął. Będąc już daleko, odwracałem głowę i te gatki nawet na odległość błyszczały niczym znak.

Kiedy wjeżdżałem na stację, zegar wskazywał właśnie trzy na siódmą.

Pracownik kolei przyklepał do roweru numer i prowadził go do przechowalni. Serce biło mi straszliwie, kiedy zastąpiłem mu drogę i zaśmiałem się spazmatycznie:

- Dzień dobry.

Wyciągnąłem do niego rękę, on podał mi swoją, ale od razu spostrzegłem, że jego oczy zahipnotyzowane są wprost blizną na moim przegubie. Ukłonił mi się i nie zdążywszy spuścić wzroku, powiedział:

- Dzień dobry panu. Jak się pan czuje? Zdrowy? Zdrów?

I zaczerwienił się. Na pewno widział mnie, jak ciacham brzytwą swój nadgarstek. Zresztą, miał prawo tak mnie widzieć, nie gniewałem się za to.

Powiedziałem mu:

- No i znów będziemy razem pracować.

I wszedłem do biura, gdzie stuknęło pięć telegrafów i podzwaniał tuzin telefonów. A że od tak dawna tu nie byłem, wydawało mi się to tak głośnie, że raz po raz odwracałem głowę. I natychmiast wyjąłem z szafki swoją czerwoną czapkę, pokrytą warstwą kurzu. Stopki mysich nóżek wydeptały tam kilka ścieżek. Wziąłem więc szczotkę i wyszczotkowałem tę czapkę, i myślałem, co też na to powiedzą inni.

Pełniący służbę dyżurny ruchu, który wbiegł do biura, chwycił mnie za łokieć i przez ramię patrzył na mój przegub. Czułem to spojrzenie i obróciłem się gwałtownie.

- Ojej - odezwał się. - Cześć! Jak się masz? Jesteś już zdrowy?

I aby wyjaśnić to spojrzenie na moją bliznę, dotknął zegarka na mojej ręce i spytał obłudnie:

- Która godzina, kolego?

A ja podwinąłem rękaw i podsunąłem mu tę bliznę pod same oczy i powiedziałem:

- Nie obawiaj się, natychmiast przejmę służbę!

Włożyłem czerwoną czapkę, podpisałem raporty i przekazanie dyżuru i zawiadomiłem zwrotniczych, że przejmuję służbę. I że im życzę dobrego dnia. Oni, niewidzialni, odpowiadali mi przez telefon tym samym, ale od razu wyczułem, że najchętniej popatrzyliby na moją bliznę. Zacząłem wydawać się sobie ofiarą wypadku, zabitym, którego zobaczyć, zanim zabiorą go kostnicy, zjeżdżają się zewsząd ludzie.

Myślałem, że wszyscy z pewnością bardzo by się ucieszyli, gdybym odrąbał sobie rękę i mógł pokazać im ją w spirytusie, wiedziałem, że gdybym miał protezę, poprosiliby mnie, gdyby się nie wstydzieli, abym ją sobie odpiął i dał im się nią pobawić. Nie inaczej, gdy zadzwoniłem, używając telefonu szlakowego, do dróżników, aby ich zawiadomić o spóźnieniach i pierwszeństwie transportów wojskowych. Gdy później meldowali jeden po drugim, że zrozumieli, wiedziałem, że pragnęliby rozumieć mój przegub. A co do mnie, to naprawdę nie wiedziałem, czy jestem dla nich bohaterem, czy tchórzem. Raz jeszcze spojrzałem na swoją bliznę i raz jeszcze powtórzyłem, że już bym się na to nie zdobył. Jednakże dla całej stacji to stało się właśnie teraz, dopiero teraz to oni przejmowali władzę nade mną, dopiero teraz budziłem w nich niepokój.

Teraz, kiedy odzyskałem jaką taką równowagę i usiłowałem skupić swoją uwagę na przechodzeniu poniedziałku we wtorek, wtorku w środę i tak dalej, oni naraz wpychali mnie

do krwawiącej wanny i wciskali do rąk brzytwę, abym zrobił to raz jeszcze.

Hołota! Z pewnością puszczają sobie mój film przy śniadaniu, przy obiedzie i przy kolacji. I teraz, kiedy zjawił się autor, chcą raz jeszcze usłyszeć to na własne uszy. I

widzieć! Nawet podróżni, wsiadając i wysiadając z pociągu, spoglądali na mnie jak na mordercę. Wiedziałem doskonale, że widzą mnie jako kogoś, komu z przegubu tryska krew! Chciałem krzyknąć:

- A pocałujcie się żeż w dupę!

Ale przyszedł mi na myśl Chrystus o poranku, w tych swoich narodowych gatkach, i uznałem, że to złoszczenie się nie ma sensu. I już spokojnie dałem znak odjazdu. Twarze w oknach poruszyły się. I usłyszałem znajomy i miły głos:

- Panie dyżurny ruchu!

I Masza, trzymając się prawą ręką żelaznego uchwyty, lewą podawała mi jabłko. I teraz miała czysty kauczukowy kołnierzyk, i dołeczki w jej policzkach ani na chwilę nie zniknęły. Trzymałem jabłko, które mi podała, i patrzyłem, jak pociąg uwozi ją i znika za zakrętem. Dopiero gdy straciłem go z oczu, wysłałem raport, a ten jej uśmiech tak mnie przepełniał, że przenosiłem go na przejeżdżające pociągi, na plecy podróżnych i na wszystko, co mnie otaczało.

A przez stację przejeżdżały ostatnie transporty z uciekinierami i pociągi sanitarne, bo Rosjanie zbliżali się nieubłaganie. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, że toczy się wojna. Że właściwie dobiega już końca. Dla mnie jednak nie miało to znaczenia, bo dotychczas byłem na świecie sam.

### **Kain się boi**

Powiedziano mi, żebym wrócił do pracy, stałem więc przy torach, a że miałem oczy, patrzyłem na wagon pełen płowowłosych chłopców o opalonych twarzach, z automatami w ręku. Kiedy było ciepło, zazwyczaj w południe i po południu, z wagonów przez otwarte drzwi wystawały nogi w butach z cholewami i widać było, jak ręce unoszą do ust kęsy wieprzowiny. Widać też było, jak lśnią w słońcu błyszczące kilowe konserwy. Można też było przyglądać się przejeżdżającym transportom pułków śląskich: niektórzy żołnierze mieli włosy splecione w warkoczyk, a w uchu - kolczyk.

Wszyscy byli opaleni, mieli podwinięte rękawy i śmiali się do mnie, bo wiedzieli, że chyba już nie polegną. A ja stałem i zapewniałem im bezpieczeństwo w drodze do domu,



choć w biurze wisiała klepsydra kolegi z Rovenska pod Troskami, w którego towarzysze tych, którzy właśnie przemieszczali się w spokojniejsze regiony, władowali cały magazynek. I my wszyscy służyliśmy wspólnie tym diabłom wcielonym, ustawialiśmy we właściwej pozycji zwrotnice, zapalaliśmy sygnały świetlne semaforów, dla nich odzywały się dzwonki telefonów, byleby tylko jak najszybciej opuścili ten kraj, którego mieszkańców nienawidzili. Po raz pierwszy uświadomiłem to sobie, po raz pierwszy w życiu pojąłem, że robię coś okropnego. Nigdy się tym nie przejmowałem, ale myślałem, że przejmują się tym inni ludzie! Wierzyłem, że ktoś rzeczywiście działa przeciwko nim, bo ta paplanina i tchórzliwe gędzenie nie mogły się nigdy przemienić w czyny. Myślałem, że ktoś przyjdzie i powie:

- Słuchaj, opuście szlabany i chodźcie wszyscy z nami. Niech robią to sobie sami!

Może bym i nie poszedł, bo się bałem, ale pojawiłaby się możliwość, by iść.

I tak oto niepokoiła mnie bezustannie myśl, że ci Niemcy widzą we mnie wasalę, który chociaż ich nienawidzi - służy im do ostatniego wagonu! Wasalę, do którego mogą, ot tak sobie, dla zabawy, postrzelać. Założyć się, choćby o litr rumu, że trafią go wprost w oko! Bo łajdactwo i okrucieństwo patrzyły każdemu z oczu! I

ogarniał mnie wstyd, kiedy musiałem wychodzić do tych transportów, salutować im i opuszczać wzrok, podczas gdy oni śmiali się i tryskali obrzydliwie zdrowiem. Już i mnie zdarzało się często tracić apetyt, kiedy widziałem tych mężczyzn na parowozach, siedzących w skórzanych spodniach, z automatami na kolanach. Rzucano się w oczy, że bez wahania wystrzelaliby pół wsi, zanimby ktoś zdążył wymierzyć w nich z rewolweru. A wśród nas nie mieliśmy nikogo, kto mógłby się im przeciwstawić! Aż to tego popołudnia, którego nigdy nie wolno mi zapomnieć: do biura weszli dwaj mężczyźni w kolejarskich mundurach i powiedzieli mi prosto z mostu:

- Zgłoszono przejazd transportu SS. Rozmontujemy tory.

- No i co? - spytałem.

A oni na to:

- Rozkręcimy szyny! Przyszliśmy cię o tym zawiadomić!

Wtedy im powiedziałem, że to strasznie miłe z ich strony, że bardzo się cieszę, ale ja tu przy tych torach pełnię służbę i muszę tu być, niechże więc te szyny rozkręcą raczej gdzieś dalej, pomiędzy stacjami. A oni, że tak, że oczywiście, że mogę na nich polegać, ale radzą mi, żebym raczej się ulotnił. Oczywiście, nie miałem w tej sprawie żadnego rozkazu z góry, a nie byłem aż tak głupi, żeby dopytywać się o to w zarządzie kolei. A więc zupełnie spokojnie przyjąłem do wiadomości, że pociąg z SS zostanie wykolejony. Na wszelki wypadek nadzorowałem pociąg, wypytyując dróżników. A oni meldowali mi, że właśnie przejechał tędy,

że ma w składzie wagon z narzędziami i szynami do wymiany oraz dwoma trupami. A potem wolałem już wychodzić na peron i nadzorować pociąg własnymi oczyma. Pełznął cicho i powoli, jakby wszystko przewidział. Zbliżał się już do semafora, kiedy się nagle zatrzymał.

Pomyślałem sobie:

„To z was naprawdę nie byle jacy partyzanci. Prawdziwe chwaty! Wy sobie zabieracie szyny z samej niemal stacji, byleby się tylko nie przemęczyć! Wy bierzecie nogi za pas, a ja mam tu zostać...” I głos wewnętrzny radził mi, żebym i ja stąd umknął. Ale takiego rozkazu nie otrzymałem. A zresztą: kto by ustawił semafor w pozycji wjazd wolny? Wziąłem więc przynajmniej lornetkę i obserwowałem, jak

Niemcy układają szyny, które przywieźli ze sobą. Patrzyłem tam nieustannie jak zahipnotyzowany. Aż do chwili, kiedy pociąg ruszył i ostrożnie wjeżdżał na stację.

Powiedziałem sobie:

„Niech się dzieje wola nieba!”

I podszedłem z chorągiewką do torów.

Zwrotniczowie na pewno poukrywali się gdzieś w sianie, nigdzie ni żywego ducha. Słońce i kilka kur wzmagalo pustkę popołudnia, kiedy wpełzła obwieszona esesmanami lokomotywa. Spostrzegłem, że wszyscy mieli na sobie skórzane spodnie, że mają podwinięte rękawy i że wszystkie te zbrodnie i okrucieństwa jakby ich orzeźwiały. Byli opaleni i pogodni, jakby wracali z nadmorskich uzdrowisk. Łapska w podwiniętych rękawach prężyły się i obrażały moją prawdę tu, niżej! I znów, jakby im się nudziło, jedli wieprzowinę z kilowych puszek. Nagle poczułem, że wpatrują się we mnie surowo i że jestem widziany zupełnie inaczej, niż ja sam siebie widziałem. I

stawałem się zerem. Pociąg zatrzymał się i naprzeciwno, w dworku, ktoś uniósł blaszane wieko dachu, a oni natychmiast wymierzili tam karabin maszynowy. Jakiś człowieczek wylazł na cynowy dach. Kapitan wrzasnął - i wtedy ten człowieczek spojrzął w tę stronę, na stację, i jakby mu kark zdrętwiał. Uniósł ręce i zastygł w bezruchu. Stał tam niczym kurek na dachu, jak komin. Chciałem spojrzeć w górę, ale oślepił mnie blask broni i parowozu. A potem zeskoczyli dwaj w skórzanych spodniach i patrzyli na mnie, jakbym to ja rozmontował te szyny. Wyjaśnianie nie miało sensu. Z parowozu zeskoczył jeszcze kapitan i ruchem brody dał znak tym dwóm, żeby mnie wzięli ze sobą. Byłem trupio błądy i czułem, jak mimo woli staje się bohaterem. Niczym nie zawiniłem, a mimo to poszturchiwali mnie kółkami pistoletów w żebra, gdy wspinałem się po stopniach do lokomotywy. A potem pociąg ruszył i ten człowieczek na rozpalonym dachu wciąż jeszcze tam stał. Stacja oddalała się powoli wstecz: i pompa, i ustęp dla kobiet. Położyłem rękę na gorącej maszynie i rozejrzałem

się cicho i lękliwie. Przez okienko parowozu widziałem kilku żołnierzy siedzących na przedzie maszyny ze wzrokiem wbitym w nasyp. Obok mnie stał wysoki młody mężczyzna o potężnej klatce piersiowej, ale o smutnych oczach, i przez lornetkę obserwował pobliski zagajnik. Niekiedy spoglądał na mnie - bez nienawiści, lecz także bez współczucia: widać uznawał mnie za umarłego. Jedyne kapitan, stojący przy okienku, śledził mnie spod przymkniętych powiek. Ten kapitan był jedyną moją nadzieją, bo wyglądał jak szatan. I tylko on jeden - pośród wszystkich tych regularnych i zdrowych twarzy, które tak doskonale maskowały bestie - mógł mnie ocalić. Jego wąskie wargi jakby szukały w ostatniej chwili, kiedy wszystko będzie już stracone, jakiegoś przedmiotu, który mógłby sprawić, że zostanie mu odpuszczone.

Czuł, że mogę to być ja. Czułem, jak liże mnie swoim jęzorem jego zwyrodniała dusza!

Ale było mi dobrze, było mi jeszcze lepiej, kiedy na mnie spojrział. Wiedziałem już, że widzi mnie właściwie! Widzi, że pozostałem tam z głupoty. Że nie jestem wrogiem, ale że jestem jego szczęśliwym trafem, jego dobrym uczynkiem, który, być może, opatrność zważy na swoich szalach. Zresztą, nie byłoby to dziś przyjemne: splamić tak przyjemny koniec wojny. I kiedy przymknął znów oczy, wiedziałem, że pod jego powiekami rozstrzyga się mój los. Nie spuszczałem wzroku z tych opuszczonych powiek i nie myślałem nawet o Maszy ani o bohaterstwie. Tylko i wyłącznie o tym, jak by się stąd za wszelką cenę wydostać. Nawet gdybym musiał wyrzec się swojego narodu, opluć swoje godło państwowe, bo chciałem nadal trwać na świecie i światłość dnia wydawała mi się czymś najcenniejszym. I godziłem się z tym, że dzięki mojej niedopełnionej ofierze kapitan zostanie zbawiony. Po prostu chciałem żyć - i to wszystko. Oficer otworzył oczy i stało się jasne. Czekałem tylko, kiedy wyda rozkaz, by zatrzymać pociąg. Chwilę wpatrywałem się w tę jego pomarszczoną twarz, ze śladami blizn po cięciach szabli, i powiedziałem sobie:

- Jestem ci, diable, wdzięczny, bo z twoich rąk przyjąłem życie. Jestem zmuszony uznać cię za swojego anioła, jesteś moim Bogiem!

I bez słowa podszedłem do żelaznych drzwiczek i opuściłem nogę na pierwszy stopień. Dwaj żołnierze wymierzili we mnie swoje automaty, ale ja byłem już znowu sobą. Pochwyciłem w swoje żagle wiatr kapitańskiej duszy i śmiało spojrziałem w jej głąb. Tak jakby odpędzał owada, oficer dał ręką znak, by przestali we mnie celować. I

skinął na maszynistę, aby zatrzymał. Zszedłem jeszcze niżej, aż na ostatni stopień, i ziemia, choć to tylko żwir torowiska, wydała mi się tak miła i droga. Pociąg stanął.

Zeskoczyłem, a nade mną wznosiła się pocięta bliznami twarz kapitana. Uśmiechnął

się. Jego okrutna dusza otrzymała pierwszy okrucuch słodczy i własna szlachetność ją upoiła. A przecież, skoro darował mi życie, jakież to mogło mieć znaczenie!

Pomachałem im ręką i pociąg drgnął. Rzucili mi jeszcze papierosy i uśmiechali się do mnie, bo zresztą dlaczegóż by mieli żywić do mnie gniew, skoro ich dowódca go nie żywił? Dlaczegóż by mieli mnie zabić, skoro dowódca nie chce się - przewrotnie -

dopuścić zbrodni? Ale w moich żyłach krążyła krew tych trzech dawców i byłem szczęśliwy. Kiwałem ręką odjeżdżającej załodze jak oddalającym się krewnym, jak ukochanej dziewczynie. I tak - podczas gdy ci na parowozie oddalali się - mijały mnie inne, surowsze twarze. Ale niemal kropka w kropkę podobne do tych pierwszych.

Kilka markietanek siedziało w otwartych drzwiach jak na łące i zapewne myślało o stronach rodzinnych. Żołnierze niespiesznymi ruchami rąk znów unosili do ust kęsy nadzianego na bagnety mięsa. Dopiero na samym końcu minął mnie wagon z narzędziami i dwoma żółtymi trupami w budce hamulcowej. Obejmowały się te trupy wół, jakby tańczyły trzęsionego. Jedna ręka jakby zwolniła uścisk i opadając, kreśliła niespiesznie nieregularną elipsę. Nagle przypomniałem sobie, że nie przesłałem meldunku i na pewno ktoś do mnie dzwoni. Ruszyłem w stronę stacji. Koło semafora odwróciłem się jeszcze, bo myślałem, że to nieprawda. Pociąg wyglądał jak małe pudełeczko i te dwa trupy rysowały się jaśniej niczym zaciśnięte zsiniałe wargi.

### **Kain się żeni**

A potem nadeszła rewolucja, ale ja nie miałem dla niej czasu, bo w ciągu jednego roku musiałem dwukrotnie stawić czoła śmierci. Ta kąpiel w Bystrzycy koło

Beneszowa wydawała mi się dziś cudem! Mimo iż dobiegła końca i nigdy już nie mogłem jej powtórzyć, to jednak musiałem powiedzieć, że byłem wówczas uosobieniem absolutnej wolności. Opuszczałem ziemię, w pełni się na to godząc i przy aprobacie wszystkich funkcji swojego ciała! Wszystkie to pojmowały, wszystkie wyrażały swoje TAK w tej pełnej krwi wannie. A ja byłem królem, królestwem i poddanymi w jednej osobie. A jednak w zeszłym tygodniu trząsałem się ze strachu przed tąże śmiercią! Skamlałem, błagałem, składałem ręce! Wyprosiłem życie u niemieckiego oficera! Podczas gdy wtedy każdy ubywający decylitr mnie uszczęśliwiał, teraz doprowadziłby mnie do szaleństwa. Nie pragnąłem już śmierci! Chciałem żyć!

Chciałem się ożenić! Chciałem mieć dom i dzieci! Nie wybrałem sobie śmierci, a

jednak była tak blisko mnie, mimo iż nie dano mi wolności. I straszliwe pytanie powykrecało mi nawet palce. A jeśli w wannie powinienem był zachować się jak w lokomotywie? Że moja wolność nie była niczym więcej niż przypadkowym pójściem swoją drogą. I nagle zjawił mi się przed oczyma Chrystus z pokoju Maszy i nie interesowało mnie Jego udręczone serce ani aureola, ale Jego ręce. Przypomniałem sobie, że palec wskazujący Jego prawej mierzył wprost w niebo. A palce Jego lewej ręki odgarniały skórę, aby lepiej było widać serce. To Jego serce nie mogło mi pomóc ani trochę więcej, co najwyżej uprzyjemnić mi to, co przyjść musi! Wszakże nie jako ja chcę, ale jako ty... Tak, módl się, módl się, gotuj się tak, byś pojął i przyjął to, co musi się stać! A więc bądź wolny! I nie było już we mnie gniewu na nikogo na świecie. Ani na Chrystusa. Robił, co mógł, i robił to najlepiej, jak mógł. Wprost przeciwnie: stał się naraz dla mnie bardziej sympatyczny niż kiedykolwiek przedtem. Bał się tak samo jak ja w tym parowozie, pocił się, bo i Jemu rozpacz ścisnęła gardło. Różnica polegała tylko na tym, że On wybrał. Że On pragnął! On nie chciał żyć. Przypominał raczej mnie - w wannie! A kiedy skaleczył się o gwóźdź, to Go zabolalo. Pojąłem także w owych dniach rewolucji, z której dobiegały mnie tylko jakieś strzały na tej mojej stacji, koło północy, pojąłem więc w owych dniach, że kiedy leżałem wówczas w tej wannie, że mogłem robić wiele rzeczy - prócz tej jednej jedynej - nie być w wodzie! Że skoro wrzucono mnie w tchórzliwy świat, mogłem robić wiele rzeczy prócz tej jednej - nie być tchórzliwym, a w końcu, kiedy będę martwy, będę mógł robić mnóstwo rzeczy, prócz tej jednej jedynej - nie być martwym. Telegraficzny przekaźnik rąk Chrystusa!

Ta lewa odgarnia skórę serca, a ta prawa z kolei wskazuje wzwyż. Nie jak ja, ale...

Dość! Bo co i po co? Dziś wieczorem przyjedzie do nas Masza i po raz pierwszy przedstawię ją rodzicom! A także opowiem im na dodatek, jak to było w tym parowozie. Podpisałem raport i powiedziałem, ile jest przewidzianych pociągów, jeździło ich teraz tylko parę, i wskoczyłem na ten swój rower, i wyjechałem ze stacji.

Na skrzyżowaniu minąłem Chrystusa przepasanego kolorowymi gatkami, ale myślałem o ślubie i opuszczeniu domu. Nie zeskoczyłem nawet, tylko tak podczas jazdy zasalutowałem i powiedziałem:

- Cześć!

I jechałem dalej, nieustannie myśląc o przyszłości. Najpierw chciałem, aby

Masza miała tylko zwyczajny kostium, ale teraz zapragnąłem jej w białej ślubnej sukni, życzyłem sobie i pragnąłem wszystkich tych ślubnych obrzędów, i postanowiłem, że ich nie zabraknie. Kawał starego, dobrego świata, który wpompowano mi pewnie z tą krwią po maksymalnych cenach, był chyba autorem tych symboli. Na rozdrożach, kiedy minąłem

patrol, poczułem powiew białego skrzydła ślubu i śmiałem się tylko z tego patrolu, że szuka dwóch oblubieńców. Tego tam na krzyżu i mnie. I kiedy tak jechałem drogą, nie spostrzegłem nawet, że przednią oponą przejeżdżam widokówki, listy, bandaże, bluzy, kamizelki, laski, sprzączki i tak dalej. Dopiero po kilkudziesięciu metrach zatrzymałem się i znalazłem się w tak straszliwej atmosferze, że z przerażenia odjęło mi oddech. Wszędzie na drodze kartki pocztowe, torby, ubrania, jakby przeszła tędy zagłada, jakby przemknął orkan, który powyrywał zawartość portfeli. Jakby pędzono tędy jeńców, dla których nawet list stanowił zbyt ciężkie brzemię. Kiedy spojrzałem na pole, spostrzegłem leżących nieopodal drogi dwóch zabitych żołnierzy. Jakby przewracali się na łóżku. Leżeli tak na zielonym, pełnym nadziei polu z twarzami w glebie. Zbliżał się wieczór i raz jeszcze owionęły mnie skrzydła mojego białego ślubu. Zeskoczyłem z roweru i już się nawet nie zdziwiłem, gdy dobiegły mnie z rowu jęki. O ucieczce nie było już mowy i biała kula poczęła się toczyć pochyłą równiną. Nie mogłem postąpić inaczej, spojrzałem i popatrzyłem na to, a właściwie sprawdziłem to, co sobie wyobrażałem. Tak, leżał tam niemiecki żołnierz, widocznie śmiertelnie ranny i nieustannie maszerował, poruszał nogami, jakby miał rozkaz dojść dokądś, zanim umrze. Wyglądał ten żołnierz jak nakręcona zabawka. Miał wyłupiaste niebieskie, wodniste oczy i łysinę, bo pewnie dobiegał już pięćdziesiątki. Obszedłem raz jeszcze rannego i nieustannie maszerującego, choć tułów leżał, a palce wpijały się w glinę rowu. Postrzelono go w brzuch. Rozpiąłem mu rozporek i na białym brzuchu ukazały się trzy otwory, przez które wyciekało trochę krwi pomieszanej z kałem. A więc śmierć nie była daleko i żołnierz maszerował uparcie, jakby chciał przekazać gdzieś komuś pozdrowienie, i ciągle coś wykrzykiwał. Pochyliłem się nad nim i usłyszałem, jak woła:

- Mutti, mutti, mutti.

I nie wiedziałem, czy przyzywa matkę swoich dzieci, czy swoją mamę, wobec tego głaskałem go przynajmniej po rękę i mówiłem mu, żeby się tak nad sobą nie użalał. Nad tymi wytrzeszczonymi oczyma pojąłem jednak, że nie ma już na świecie żadnej sprawiedliwości. Znajdował się w takiej samej sytuacji jak ja na początku w parowozie, jak Chrystus na krzyżu. Ale właściwie to nie jak ON, bo Jego śmierć ukoronowała Jego naukę, a ten żołnierz w rowie chciał żyć, chciał swoim życiem udowodnić dzieciom i matce, że przetrwał taką wojnę. A teraz tak nikczemnie postrzelono go w brzuch, nie wiadomo, kto i jak, i nie wiadomo, kiedy. Dlatego nie przestawał maszerować, dlatego marszem tym chciał uniknąć śmierci, trafniej powiedziane: uniknąć niesprawiedliwości. A ja siedziałem nad nim w kucki i nie mogłem mu pomóc. Mogłem jedynie wezwać patrol, aby skrócił mu to cierpienie.

Chciałem też zawołać Chrystusa z rozdroży, lecz On i tak kazałby umierającemu odwołać się do Wszechmogącego, zagwizdałem więc na patrol, jakiegoś wystraszonego chłopka, który za nic w świecie nie chciał strzelić. Nie pozostało mi nic innego, jak wziąć od niego ten karabin. Nigdy do nikogo nie strzelałem, pomyślałem wobec tego, że najlepiej będzie wymierzyć wprost w serce. Wziąłem je więc na cel i strzeliłem. Ale on niezłomnie maszerował dalej i ciągle coś mi zarzucał tymi swoimi wytrzeszczonymi oczami, i ciągle pokrzykiwał:

- Mutti, mutti, mutti.

Wymierzyłem raz jeszcze, ale ręce już mi drżały, między oczy i nacisnąłem spust. I oczy zamknęły się natychmiast, jakbym go smagał biczem, a nogi, te przeraźliwe nogi zrobiły ostatni krok. A potem jeszcze jeden, jakby zmieniły zamiar. A

świat, jaki nosił w głowie, wyciekał mu niewielką dziurką. Usiłowałem położyć martwego na wznak i rozewrzeć wbite w ziemię palce. Gdy otwarłem mu prawą rękę, wypadł z niej łańcuszek, na którym wisiał medalik z napisem: BRINGE GLUCK!

Powiedziałem sobie: „Skoro tobie nie przyniósł szczęścia, może przyniesie je mnie!” I włożyłem sobie ten medalik na szyję. Oddałem karabin chłopkowi, podniosłem rower z teczką i nacisnąłem na pedały. Chciałem znów myśleć o Maszy, chciałem, by trwało nadal to, co zostało mi przerwane, ale nic z tego. Myślałem o tym maszerującym żołnierzu, któremu nie przysądzałem już ani munduru, ani narodowości, i troską przejmował mnie tylko los człowieka. Słońce zachodziło i cień, bo słońce zachodziło za mną, biegł przede mną, tak że przednią oponą nieustannie wjeżdżałem sobie na głowę. Z oddali zbliżał się nowy transport jeńców. Ten biegnący przede mną cień radził mi wprowadzić, abym zawrócił, ale ja jechałem dalej, chociaż nie chciałem. Ciągnęło mnie w przód i niemal mechanicznie naciskałem pedały. Gdy transport zbliżył się na sto metrów, wiedziałem już, że przestaję panować nad sytuacją, że los mój został już dawno postanowiony - niczym wikliny, z której ktoś wplecie fotel. Że przez całe swoje życie, łącznie z tą wanną i parowozem, żyłem tylko dla tej ciasnej drogi. Kiedy minąłem pierwsze szeregi, odniosłem wrażenie, że wszyscy śpiewają. Ale nie spojrzałem na nich i mknąłem, ile sił w nogach! Nie dotykałem już nawet siodełka, byle tylko jak najszybciej zostawić za sobą ich odór. Robiłem, co mogłem, ale z całą pewnością wiedziałem, że to zbędne. Te szeregi za mną ścierały się, a mnie już brakowało sił. Między nimi spostrzegłem broń automatyczną patroli, idących po drugiej stronie. A potem kilka metrów przede mną padł żołnierz, kilku zatrzymało się, a inni uciekali w pole. Okrzyki, trzask broni automatycznej i ból szyi, przeleciałem nad kierownicą i bezgłośnie runąłem do rowu. Krew buchała mi z tętnicy. Wszystko, co mogłem, to przycisnąć ranę ręką i patrzeć, jak nade

mną biegał truchtem przerażeni jeńcy. W biegu odrzucali wszystko, co się dało i co im ciążyło.

Kiedy opadł kurz wzbity butami ostatniego z nich, pozostałem sam. Nikt nie mógł wyświadczyć mi tej przysługi i dobić mnie. Leżałem tylko i czułem, że koniec ze mną i że muszę samotnie mierzyć się z bólem. Z bólem, na który nie zasłużyłem i którego nie pragnąłem. Każdy powiew wiatru sprawiał, że sypał się na mnie okwiat śliw, a ja wpijałem palce w ziemię jak ten żołnierz i wrywałem kłęby trawy. Nie przychodziła mi już na myśl ani Masza, ani ślub, czułem się bowiem tak, jakby ktoś przeciągał mi przez gardło zwój drutów kolczastych. Tylko to samobójstwo w Bystrzycy koło

Beneszowa okazywało się takie miłe i słodkie. Wszystkie inne śmierci wydały mi się okrutne i nieludzkie. Wdrapałem się na skraj drogi, ale przekonałem się tylko, że nikt nie nadchodzi. Krew zaczęła mi znów dławić usta, leżałem więc i tłukłem głową w skraj chodnika. Kiedy uniosłem wzrok, widziałem w oddali rozpiętego na krzyżu

Chrystusa i chciałem wezwać Go do siebie, aby dodał mi otuchy. Wiedziałem, że gdybym to zrobił, On by przyszedł, ale pozwoliłem Mu tam wisieć, bo teraz ukazał mi się jako dróżnik, urzędnik pocztowy, który segreguje listy. Gdyby tych ramion i ogródków wokół serca miał nawet sto tysięcy, i tak nie zdołałby mi pomóc.

Wskazywałby mi jedynie palcem wwyż, w górę. Nie tak jak ja, ale jak chce tego szef. A jednak w tej chwili przytomności powiedziałem sobie:

- Wierzę w Ciebie, Jezu Chryste, bo byłeś takim samym żebrakiem jak ja.

Przemawiałbym do Ciebie głucho, a Ty z taką samą głuchotą podążałbyś do głuchego

Ojca. Zupełnie tak samo, jakby policjant ruchem zgiętej pod kątem prostym ręki przepuszczał samochód z jednej ulicy w drugą. Wierzę w Ciebie, mój biedaczku w rdzy, bo z Ciebie krew tak samo chlustała i nikt nie mógł zachwiać Twoim wyobrażeniem, że cierpisz niewinnie. Nie jak Twoja wola, ale... Ale to już niedorzeczne przelewanie z próżnego w puste. I ja też chciałem cieszyć się z życia, chciałem mieć Maszę i tak dalej, ale dym mojej ofiary snuje się nad ziemią. I nie wiem, dlaczego i za co. A więc raczej pozostanę znów sam, znów zachowam dystans i będę w spotkaniu z wartościami zachowywał się z rezerwą.

A wtedy już zaczęły mnie nawiedzać spirale i kręgi. Skatulałem się w dół aż na łan koniczyny, która przyjemnie mnie chłodziła. Nie przytrzymałem już nawet tej rany. I naprawdę, kiedy tak leżałem, poczułem, że ta rześka zielona ziemia, która nigdy nic nie obiecywała i nic nie narzucała, mogłaby stać się moją najmiłą towarzyszką. I leżąc, słyszałem pociąg, który gdzieś w oddali opuszczał stację. Był to pociąg wiozący Maszę, którą dzisiaj wieczorem zamierzałem po raz pierwszy przedstawić rodzicom, i na dodatek chciałem



im opowiedzieć o tym, jak zajrzałem śmierci w oczy. I dym mojej ofiary snuł się tuż nad ziemią.

---

PS

Początek tej tragedii tkwi w tym, że dwaj bracia składali Panu Bogu ofiarę, On zaś z niepojętych względów jedną z ofiar sobie upodobał, a drugiej nie zaszczycił nawet jednym choćby spojrzeniem. Tak oto Pan Bóg uczynił z Kaina bratobójcę, tułacza i zbiega z piętnem na czole, aby wyrzutami sumienia zabijał się tylko Kain, on i tylko on. Można przypuszczać, że od tego czasu Kain żył w permanentnej sytuacji sprzeczności między wolnością a niewolą, determinizmem a indeterminizmem swojego istnienia. Jeśli wraz z Kainem przechodzimy z terażniejszości w przyszłość, musimy podzielać z Kainem jego wolność, a więc indeterminować jego oburzenie na

Stwórcę jako na intelektualnego sprawcę bratobójstwa. Jeśli jednak na sytuację Kaina patrzemy z punktu widzenia władcy wszech czasów, Stwórcy, pojmujemy nie bez oporów, iż życie Kaina zostało już z góry zdeterminowane przy składaniu ofiary, bez względu na to, co Kain uczynił, a nawet wprost przeciwnie: został napiętnowany na czole już w sytuacji, gdy składał niewinnie ofiarę.

Tę opowieść z punktu widzenia młodego pracownika kolei napisałem w 1949

roku, włożyłem do szuflady, tam gdzie inne teksty; po latach legendę tę splotłem w warkoczyk z innym tekstem, który zatytułowałem „Pociągi pod specjalnym nadzorem”. Teraz tę legendę przedstawiam z pietyzmem, wiernie i bez poprawek, aby czytelnik wiedział, co mnie przed laty interesowało. Mój Kain dokonał bratobójstwa na sobie samym, popełnił samobójstwo.

### *Pieśń dziadowska o królowej nocy*

Chłodny, dżdżysty dzień, chwilami zacina deszcz, to znów pada śnieg. Mam zamiar wziąć się za pranie, wychodzę na podwórze i spoglądam na drogę - i kogóż to ja widzę? Kroczy żołnierz w mundurze powstałych w Rosji legionów czeskich, spieszy się, niemal biegnie. Poznaję go natychmiast. Wraca brat Józef, bohater, jeden z legendarnych rycerzy. Ileż było łez i żalu, bo brat Wojciech nadal zaginiony bez wieści.

Przez całą noc nie mogłam spać, przejęta losem legionisty Firszniera, który zmarł w porcie Singapur, pogryziony na śmierć przez - rekina...

Właśnie wróciłam od krawcowej. Szyję sobie suknię na bal maskowy, pewnie wybiorą

mnie królową nocy...

Mamy dziś świniobicie, ręce pełne roboty. Przyjechali goście, ale ja z nimi nie rozmawiam, pracy jak w ulu. Muszę przyszyć do sukni całe mnóstwo gwiazdek.

Wreszcie nadchodzi wieczór. Stroję się na bal, który właśnie dziś odbywa się na Górcie w Nowym Bydżowie, Franek szarmancko czyści mi buciki pastą. Coś mu się należy.

Nie powiedział, ile. Może koronę? A on by chciał buziaka, tak mi się wydaje. Już idę.

Siostra stawia mi karty: co mnie czeka na balu. Wchodzę do sali. Sala pełna masek i nie-masek. Widzę, że ktoś się mną interesuje. Słyszę głos:

- Noc. Królowa nocy.

I znów:

- Co za włosy!

- Kto to?

A oto jaką mam fryzurę.

Trzecia część włosów upięta nad czołem, aby gwiazda mogła w pełni jaśnieć, reszta włosów swobodnie opada na ramiona, a że zwijają się w pukle, są coraz to krótsze i krótsze, co wygląda wprost ślicznie. Świetnie mi się rozmawia z niektórymi spośród panów, bo ta ich ciekawość: kim jest ta władczyni nocy? Każdemu mówię co innego i wysyłam go, aby spytał o mnie kogoś innego: kim właściwie jestem. Młody

August nie opuszcza mnie ani na krok i prowadzi mnie do cukiernika, i raz on gryzie tort, raz ja, i stara się uchylić koronkę z mojej twarzy. Całuje mnie w rękę, to znów w karczek, opuszczam go więc, a on woła:

- Jak zdejmiesz maskę, maseczko, powiem ci więcej!

Wcale mi na tym „więcej” nie zależy. Stoję w sionce i spoglądam w głąb sali tanecznej, tańczą kadryla i wszyscy myślą kroki. Od tańczących dobiega mnie głos:

- Czemu nie tańczysz, piękna nocy?

W pobliżu mnie przygląda się kadrylowi młody mężczyzna, wysokiego wzrostu, brunet o żywych oczach (później przekonam się, że też żywego usposobienia).

Odpowiadam w dwu słowach, a on nawiązuje rozmowę. Potem tańczymy, tańczy znakomicie, rozplywa się w pochwałach, że tańczę wprost mistrzowsko. Czas, kiedy spadają maseczki z oczu. On pospiesznie nachyla się nad moimi oczyma i mówi:

- Ładna z ciebie dziewczyna.

Tańczę, a on zachęca mnie, bym usiadła, i już mówi:

- Piękna nocy...

A głos jego szemrze jak nurt rzeki.

Pogoda dziś wprost nieznośna. Dostałam kartkę od znajomego. Píše, że w duchu będzie ze mną na balu maskowym. Czyżby mnie jego duch strzegł?

Przypomniałam sobie, jak wczoraj podczas kadryla jeden z moich partnerów powiedział mi, że go oczarowałam i tym podobne głupstwa, ale odpowiedzi ode mnie nie usłyszał. A potem usiadł obok mnie mężczyzna i przez chwilę się nam przysłuchiwał, po czym włączył się do naszej rozmowy. Przypomniałam sobie, że ten pan podczas polki mocno uścisnął mi rękę. Spytał, dlaczego jestem taka smutna? i dodał, że przygląda mi się od początku.

- Skoro mi się pan przygląda - odpowiedziałam - to...

Poprosił szybko, abym dokończyła zdanie.

- No to powiem panu, dlaczego jestem smutna.

Chciałam powiedzieć: „... skoro się pan mną interesuje...”

Powiedziałam mu jednak:

- Jestem smutna, bo już dawno nie napisałam nic w swoim dzienniczku...

Pisał też do mnie Sławek Cichy, taka jestem zarozumiała, że chce mi się śmiać.

Píše, że czekał na mnie zeszłej niedzieli w Jiczynie. Bardzo się co do mnie pomylił. Ja miałabym do niego jechać?! Całe ciało mnie dziś boli. Mamusia myśli, że to grypa, ale wczoraj gimnastykowałyśmy się w sali „Sokoła”. Dziś muszę pójść na wesele. Jeśli będzie tam ten z balu, zniknę. Jakże ja go nie cierpię! Odważył się mnie pocałować, kiedy wybrał się ze mną i moją przyjaciółką do teatru. Krzyknęłam, że aż ściany zadrżały. Jeszcze dzisiaj, wspominając tę bezczelność, drzę na całym ciele. Ze złości.

Ach, ci mężczyźni! Nie mogą iść spokojnie z młodą dziewczyną. Właśnie w tej chwili przebiegło mi przez myśl wspomnienie o Orlicy, która w Gródku wpada do Łaby. Ta rzeka stała się moją ulubienicą, upodobałam w niej sobie i często muszę ją wspominać. Jeśli przyjeżdżam do Gródka, za każdym razem idę na most koło młyna i długo wpatruję się w rozbijające się fale, które pienią się dziko, toczą i bryzgają. I ten huk, szum. Wpatruję się zawsze w tę zieloną topiel i przyglądam się temu biegowi w zawody, tej pogoni wód... I nigdy nie mogę rozstać się z tym miejscem, i często myślę o tym, jak wraz z falami płynę w dal... Jeśli idzie o naturę, jestem do głębi przejęta urodą Orlicy i Chlumu, porośniętą mchem ławeczką, która ukryta jest przy rzadko uczęszczanej ścieżce i którą odkryłam przed dwoma laty. Ta ścieżynka w letnie wieczory! Księżyc płynął wśród chmur i jego promienie tylko tu i ówdzie przenikały poprzez gałęzie na ścieżkę. Mimo to jednak niebo było jasne i wiele gwiazd spoglądało ciekawie na tę moją steczkę... Któż chodzi dziś tamtędy? Ja i chłopak, który dla mnie wędruje tu godzinę z hakiem. Mogę go znieść, ale o miłości nie może nawet

być mowy.

Zależy mi tylko na jego towarzystwie, aby bez lęku przejść się tą moją dróżką i zachwycać się widokiem z tej mojej porośniętej mchem ławeczki. To będzie wprost cudowne, kiedy w taką letnią noc odwiedzę te miejsca ze swoim chłopcem, którego będę kochała. Czy zdarzy się to jeszcze w tym roku? Widzę ten wieczór! Pogodny, bardzo pogodny...

Wracalam z Jiczyna i w restauracji rozmawiałam z żołnierzykiem... Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat. Mówił, że jedzie do Horzyc, spytałam go, czy zna

Hnojila, a on od razu zaczął podejrzewać, że to mój chłopak. Potem, jadąc pociągiem, rozmawiałam z „Milankiem”, żandarmem, to taki ładny młody chłopak, marzący o przygodzie, oczywiście - miłosnej. Radziłam mu, aby dla rozproszenia nudy zajął się wykryciem jakiegoś morderstwa na tle rabunkowym. W niedzielę tańczyłam u nas z nauczycielem Łysą, który napisał mi na wachlarzu takie oto słowa: ŻYCIE SKĄPI DNI

MIŁOŚCI...

Jutro koniec karnawału. W niedzielę słońeczko świeciło tak pięknie, że nie zdołałam się oprzeć: poszłam do Chlumu. Towarzyszył mi pies myśliwski, Asik. Jak cudownie jest na łonie natury. W lesie radowałam się tą swoją zieloną ławeczką, wysoką i pięknie porośniętą mchem. Odgarnęłam z niej liście i spędziłam tam chwilę w zadumie - siedząc na niej i opierając się, z rozkoszą zanurzyłam rękę w mchu.

Chlum stanie się celem moich niedzielnych wycieczek. Tymczasem do widzenia, zapada zmrok, nie widzę pisma. Dziś znowu próba. Wystawiamy „Kandydatów do ożenku”. Gram zakochaną. Dziewczyna od nas, której nie lubię, jest w sztuce moją siostrą. Nie chciałabym, żeby była naprawdę moją siostrą. Obluda! Po co kłamać, gdzie to zupełnie niepotrzebne? Dziś zdjęłam chochoły z róż. Zbliża się wiosna...

Pogrzeb pani Ciepłej... Sporo ludzi. Brat dopytywał się, jak długo po tej zabawie w lany poniedziałek chodziłam z panem adiunktem? Że ponoć pan adiunkt miał kłopoty w drodze powrotnej i że upadł, słowem, że się... Straszne! Dlaczego mężczyźni są tak bezwzględni? Och, w jakież sposób dowiedziałam się o tym, a on chciał mnie całować i właściwie pocałował mnie kilka razy. Był piękny wieczór, las pachniał, a my dwoje, młodzi ludzie, staliśmy na skraju lasu, a ja wpatrywałam się w dal... Kwiecień, prima aprilis. Życie to prima aprilis, zart... Boże, jakże ja się dziś czuję? Jakże los igra sobie każdym. Dokąd idę? Być może - szlakiem losu? Ach, dlaczego tyle o tym wszystkim myślę?...

Józef się ożenił. W niedzielę występowałam w teatrze. Byłam w Bydżowie, padał deszcz, miałam płaszcz nieprzemakalny. Cichy zaprosił mnie na odpust tam, u nich. Wzruszający list, szczery i otwarty. A jednak nie pojadę! Tak mi żal ciebie, Sławku, że tęskni

pan za mną - a ja nie kocham pana, bo do pana nie przywykłam. A

ja idę dalej szlakiem losu i niosę odpowiedź na list Trhlika, który przysłał mi kartkę.

Domyślałam się, że mnie kocha. Piszę do niego z ufnością. Byłam na majówce. W

sobotę wieczorem K.D. powiedział mi, że mnie kocha, ale że może żyć beze mnie. Co za zuchwałość!... Śmiałam się z tego i przez całą drogę do domu nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Czekam wciąż na karę za wszystkich chłopców, czekam!...

Szliśmy drogą do lasu, a w ślad za nami kroczyli bracia, jeden z nich chyba mnie kochał. Pojęłam, że mu to nie na rękę, ale prawdziwego powodu jednak nie znałam. Po południu powiedział mi, że bym nie dawała wiary, gdybym usłyszała coś o tym, że ludzie przypisują mu niejaką Zimównę.

W poniedziałek rano jeden z braci przyszedł na pole i w obecności matki odezwał się w takie oto słowa:

- Spytaj go, co porabia Zimówna!

Krzyknęłam w ślad za nim:

- Wiem o tym!

Nazajutrz odbywał się jarmark, poszliśmy tam z mamą. Na placu zawołała do mnie praktykantka ze sklepu, gdzie i ja się uczyłam, w te słowa:

- Panno Maryniu, proszę wpaść do nas na chwilę.

Poszłam. Obie ekspedientki uściskały mnie, a jedna z nich, M. Sz., spytała:

- Chodzisz jeszcze z tym adiunktem? Przystojny to on jest, bardzo się nam podoba, ale jak zachowywał się wobec ciebie na zabawie?

Nie chciały mi powiedzieć nic więcej, w końcu je uprosiłam:

- Coś obrzydliwego, Maryniu! On nastaje na Zimównę! Całował się z nią w ogrodzie, a podczas odpustuomalże jej nie zjadł! I jak się, Maryniu, chełpił!

Ponoć bardzo ognisty z niego kawaler... i pani ze sklepu śmiała się, że i z dwiema by sobie poradził. Mamusia przyglądała mi się potem i nie mogła zrozumieć, dlaczego nie mogę usiedzieć w miejscu, przekonywała mnie, że bym się tak tym nie przejmowała...

Wczoraj, w czwartek, wieczór był prześliczny. Byłam u krawcowej i z pewnym młodzieńcem szłam w stronę kapliczki. Śmiał się i powiedział mi:

- Widzisz, z ciebie to taka kotka, co bawi się z myszką, a potem ją zagryza!

Wieczór był wspaniały, niebo pełne gwiazd. Dowiedziałam się też, że ten, z którym tylko śmierć może mnie rozdzielić, jak mnie zapewniał, chodzi do Zimów na kolacje. Tego wieczoru miałam na sobie czarną sukienkę i biały fartuszek; i co dalej?

Stałam koło szkoły i patrzyłam na gwiazdy, ten chłopak obejmował mnie wpół i

całował mnie w usta - i szeptał mi słowa:

- Przyjdę do was w sobotę...

Nie powiedziałam: nie przychodź - kocha mnie - a kiedy spytałam go, co znaczą wszystkie te pocałunki, nie odpowiedział. Wczoraj byłam we wspaniałym nastroju.

Wesołym! Adiunkt Trhlik przysłał mi widokówkę Czcirad i Szarka. Pisze:

„Szanowna Pani, proszę o wybaczenie: nie mogę zjawić się podczas świąt w miejscu, które wyznaczyliśmy. Wkrótce poinformuję panią o dniu naszego spotkania”.

Chciał, żebyśmy mówili sobie po imieniu, i tak się też dzieje, ja jednak z zasady nie zmieniam barw; nie zmieniam barw jak kameleon. Ja nie mogę być Szarką. A ty

Czciradem? Nigdy! Wiesz, jaka jestem harda...

Mamy już niedzielę lipcową i pada... Tak pożądany deszcz zaskoczył mnie właśnie w niedzielę, kiedy mam najwięcej planów.

Po pierwsze: zanieść do kapliczki koło leśniczówki narwane niezapominajki, a po drugie: pójść do miasta. A potem wybrać się na jagody. Wieczorem poszliśmy z panem K.L. na spacer, a kiedy doszliśmy do kuźni, nie wypuścił moich rąk ze swoich i zmusił mnie, abyśmy razem przechadzali się po drodze. Cisnęły mnie buty. Jeszcze dziś nie mogę ich włożyć. Poprosiłam go, aby mnie puścił, ale nadaremnie. Chłopak ścisnął mi rękę tak mocno, bym mu, jak mówił, nie uciekła, i prosił, abym mu pozwoliła skraść sobie buziaka. Ale jego trwające całe godziny prośby okazały się daremne. A potem ktoś nas mijał, musiał mnie puścić, uciekłam do domu, a on za mną na podwórze, ale ja zamknęłam i powiedziałam:

- Do widzenia!

Żebyście wiedzieli, chłopczkowie, na żarty nie mam ochoty!

W kapliczce ktoś mi ukradł dzbanek na kwiaty.

W tym tygodniu pojechałam na jarmark do Siekierzyc. Sporo tańczyłam na zabawie i cała byłam poobtlukiwana i podeptana. Ktoś tam miał moją fotografię. Skąd ją wziął? Już w poniedziałek wróciłam do domu. Ledwie zdążyłam znaleźć się pod dachem, a już zerwała się burza... Nazajutrz zaniósłam do kapliczki kwiaty i dzbanek.

Jakież było moje zdumienie, kiedy zobaczyłam ten pierwszy skradziony dzbanek na swoim miejscu, a w nim kwiaty... Kto to zrobił? Wyłożyłam kapliczkę gałęziami modrzewia i spędziłam tam chwilę w zamyśleniu. W domu zastałam kartkę od młodzieńca, którego poznałam podczas podróży na jarmark. A to dobre! Chce, żebym przyszła w niedzielę na rynek w Bydżowie. Na razie jestem wolna w sercu swoim. Te pocałunki, Trhliku, to zadośćuczynienie. Całowałaś inną, a więc nie chcę być ci wierna. Jesteś, Trhliku, gamoniem, jesteś gamoniem, kapitalnym gamoniem! Ale -

cóż mogę zrobić? Nikt mi na świecie nie może poradzić! Nikt. Być może będę w życiu dosyć nieszczęśliwa, może byłoby lepiej, gdybym umarła, a śmierci nie boję się ani trochę, tylko najpierw musiałabym zniszczyć ten dzienniczek...

W sobotę żęliśmy żyto i dwa razy przemokliśmy do suchej nitki. Poznałam dziewczynę, która jest idealna i romantyczna w znacznie większym stopniu niż ja.

Zgadzamy się we wszystkim. Śpimy razem w spichlerzu i śmiejemy się do późnej nocy. Fredek, który nie ośmiela się powiedzieć, że mnie kocha, śmieje się razem z nami, siedzi na progu i przysłuchuje się, jak w spichlerzu chichoczymy z byle powodu.

Młodość...

Jest piękny, miły dzień październikowy. Noce są przejmująco chłodne. W

sobotę pojechałam do Kuklen na odpust, a nazajutrz poszłam na tańce „Pod Koniem”.

Po dłuższym czasie znalazłam się w miejscu tak miłym moim wspomnieniom.

Przekroczyłam próg i już porwano mnie do tańca. Jakże wspaniale mi się tańczyło!

Lekko, muzyka była tak cicha i przyjemna. Pod wpływem nowych wrażeń mój zły humor zniknął bez śladu. Kiedy wracałam na ławkę, mój wzrok zatrzymał się nagle na twarzy tak mi kiedyś drogiej, lecz tylko chwila zaskoczenia, nagle wydała mi się obca i pospiesznie spojrzałam gdzie indziej. I znów ruszyłam w tany. I nagle on odbija mnie komuś innemu. Oboje przez cały taniec nie odzywamy się ani słowem. Potem spacerujemy, obojętne zdania: co tam u mnie? Odpowiadam mu w tym samym tonie.

Po chwili mówi, że coś dziwnego dzieje się z jego sercem. Udaję, że nie rozumiem, i mówię, że niedobra jest ta osoba, która go dręczy. Mówi, że nie chcę zrozumieć. Bada grunt pod nogami! Wiem. Znowu zaprasza mnie do tańca, nadepnęłam mu na nogę, a on spytał, czy to z miłości, choćby tej dawnej. Zostałam na tańcach do godziny czwartej. Bawimy się, nie bawiąc, siedzimy i milczymy, i przeżywamy chwile nowej przyjaźni. Jestem szczęśliwa, że niesnaski minęły. Wychodzimy razem; ledwie znaleźliśmy się na ulicy, zaczyna mnie całować i zanurzamy się w chłód nocy. Jego długie pocałunki mówią za nas oboje, bo skądinąd nie mamy sobie nic do powiedzenia...

W sobotę skończyłam dwadzieścia cztery lata. Czas ucieka. I świat mnie nie cieszy. Wcale bym nie żałowała, gdyby przyszło mi nagle umrzeć. Bo cóż tutaj? Jakie radości? Nie mogę myśleć o tym, że nigdy już nie zjawi się mój brat, drogi, kochany...

zbyt bolesne wspomnienie...

Jakże to? Tak długo? Dziewiątego stycznia byłam na tańcach w Starej. Dawna historia. T.Z. zjawił się po mnie, poszłam z nim. Jakież to wszystko nudne!

Rozgoryczenie. A potem nadszedł czwartek i poszłam z nim do lasu zbierać gałązki na

strój na bal maskowy i chodziliśmy całymi godzinami, i miałam sposobność porozmawiać o tej naszej miłości czy jak tam nazwać tę naszą znajomość. Zrozumiał, że go nie Kocham. Teraz rozmawiamy ze sobą jak szwagier ze szwagierką... I tak jest dobrze...

W lutym brałam udział w balu maskowym na Górcie w masce: leśne drzewko...

I znów wywołałam sensację, i moja maska - naturalna - okazała się najlepsza.

Bawiłam się bardzo dobrze z wielu panami, z którymi spotykałam się przez półtora tygodnia na przedstawieniach teatralnych w Bydżowie. A potem zaczęły się tańce.

Jiresz to bardzo ładny chłopiec, Felgr także. Felgr odprowadził mnie aż do przejazdu kolejowego. Zostawiam wszystko w rękach losu. Pohorzak chętnie by się ze mną ożenił. Mam dwadzieścia cztery lata, muszę mieć odrobinę rozsądku. Dam mu znać, że wyjdę za mąż w przyszłym roku, nie wcześniej. Chce oprócz pracowni krawieckiej otworzyć sklep z dodatkami, ale ani mi w głowie stać za ladą. Czyżby mi było sądzone być zawsze czyjąś służącą?

Mimo iż deszcz nie pada, wszystko teraz w kwietniu zaczyna się zielenić, brzozy przystroiliły się już w nową szatę. A jak pięknie i miło jest w lesie! Minęły święta

Wielkiej Nocy. W środę świecił właśnie księżyc w pełni, a ja wyszłam boso przed furtkę, obok przechodził J., a ja byłam bosa i rozkudłana. Potem spacerowaliśmy około dwóch godzin, oczywiście włożyłam pospiesznie trzewiczki, a nazajutrz umówiliśmy się na randkę koło „szlabanu”. Przyjdzie tu, jak tylko zdarzy się okazja.

Oczywiście wie, że nie myślę o nim poważnie, ale mimo to przyjdzie. Potrzebna mi zmiana. Kupiłam pełne taczki róż...

Jeżdżę teraz na porębę po karpy, a tam w lesie jest cudownie i sarny tu są, pewnie przebiegły z sadowskich lasów. O czym pisać? O swoim wewnętrznym spokoju? Odwiedził nas J., ale poszedł do domu, kiedy byłam w lesie. A potem zjawił się znowu, ale powiedziałam mu, że stara się o mnie rzeźnik, i rzeźnik przyszedł i spytał, czy mógłby wpaść i poprosić o moją rękę. A ja postanowiłam napisać do niego.

W zasadzie jestem obojętna na wszystko, moje uczucia jakby otępiały, nic nie budzi we mnie podniecenia, nic mnie nie zajmuje, to życie wydaje mi się takie pospolite.

Radość sprawiają mi tylko kwiaty, które mam w ogródku i za oknami. Jak będzie?

Jak? Pewnie tak jak teraz, żadnych zmian, które choć w najmniejszym stopniu mogłyby wstrząsnąć moimi podstawami. Maj nie skąpił pięknych dni, niemal codziennie chodziłam z Anusią Koszykówną do lasu aż do Olszyn i śpiewałam wszystkie piosenki, jakie znam i jakich prawie nie znam, i serce wypełniała mi radość z tak bliskich związków ze wszystkim, co mnie otacza. W ciągu dnia było mnóstwo pracy, suszymy już siano na łąkach.



Przy pracy zapomniałam o wszystkich chłopakach. I to dobrze. Odsłonięte pomnik poległych i na tym w kamieniu wyryte jest imię mojego brata. Nie widzę przez łzy. Piękna uroczystość, jako członkini stowarzyszenia „Sokół” miałam tam też jakieś zadania, a wieczorem odbył się wieczorek taneczny...

Wczoraj odpust dobiegał końca. Tańczyłam, przyszedł mój nowy znajomy, ten od szlabanu, zjawił się też następnego dnia. A ja obiecałam, że w jego towarzystwie pójdę w przyszłą niedzielę do kina. Chłopak dość mi się podoba, ale jakież bym miała pożytek z jego ładnej buźki? A potem sąsiadka wspomniała mi o jakimś Bouczku, ponoć doskonałej dla mnie partii. Boże, za kogo wyjdę za mąż? Kogóż naprawdę pokocham?

Pani Krasieńska wsunęła niczym zakładkę palec między kartki dzienniczka, który od dawna uznała za zaginiony, a który dziś przypadkiem znalazła. Czowała się tak, jakby czytała wieści, które napisał zupełnie ktoś inny. Z wolna zapadał zmierzch, a ona nadal siedziała w zadumie. Przesuniętym okiem kartkowała wstecz swoją przeszłość i nie zwróciła uwagi, że przez ściany rodzinnego domku dociera z podwórka niezwykle dźwięk, dźwięk, który kiedy indziej sprawiłby, że by się podniosła i bez zwłoki próbowała dociec jego przyczyny. I zamiast wybiec na podwórko, pani Krasieńska siedziała nadal w rozmarzeniu i nagle spostrzegła w swoim dzienniczku pewną groźbę, która ją jako dziewczynę nappełniała lękiem. Po chwili otworzyła okno, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. I wtedy usłyszała z podwórka charkot i mlaskanie. Wybiegła przed dom i przerażona cofnęła się. Przed nią otwierała się kloaka, pokrywa zawałiła się, a ze śmierdzącego dołu rozlegało się rżenie wieprza, którego tuczyła.

- Karolu! - zawołała w gęstniejący wieczorny mrok. - Karolu! - wzywała swojego męża, gdziekolwiek był: w ogródku, w szopie, w kuchni.

A później ujęła w drżące palce latarkę, uklękła koło dołu, a kiedy nacisnęła guzik, rozblysnął przed jej oczyma przerażający widok. Wśród desek rozwalonej pokrywy gnojówki ostatkiem sił pływał jej wieprz i rozpaczliwie wpychał pod siebie jej męża, którego twarz widziała przez krótką chwilę i który zniknął znów pod wściekłymi nogami wieprza. Pani Krasieńskiej ze zgrozy zaczęły drżeć ręce i w odchody spadła zapalona latarka, a później w tę breję runęła głową w dół nieszczęsna kobieta wraz z dzienniczkiem, który rozpostarł swoje kartki niczym postrzelony biały gołąb skrzydła.

Spadła wprost na wieprza, a potem ześliznęła się w tę maź, która się nad nią zamknęła; czuła obok siebie bezwładne ciało swojego męża, obracane nieustannie ratkami stopięćdziesięciokilogramowego wieprza, który usadowił się na jej ramionach i swoim

ciężarem wcisnął ją w to łajno, gdzie świeciła zapalona latarka i lśnił bielą jej otwarty dzienniczek.

---

PS

Dzikie kaczki i mewy wybierają pasożytniczy tryb życia, zamiast cieszyć się prapierwotnym życiem, ogromne niedźwiedzie grizzly dopraszają się czekolady, zebrząc w rowach przy amerykańskich autostradach i pozwalają się sfotografować ze swoimi młodymi, zamiast żywić się, korzystając z darów przepięknej przyrody. Zające wolą narażać się na rozwałkowanie kołami samochodów na drogach, zamiast wymienić światła reflektorów na ciszę pól i lasów. Kuropatwy i bażanty wyprowadzają swoje kurczątko na skraj asfaltu i torów kolejowych, a prawdziwki najliczniej pojawiają się przy uczęszczanych ścieżkach i leśnych drogach. Ale autorka tego dzienniczka karmiła się marzeniem, że człowiek jest na tyle doskonały, na ile potrafi wracać do natury, którą zwierzątka i ptaszki tak chętnie opuszczają. Ten dzienniczek wiejskiej dziewczyny otrzymałem z komentarzem, że gdyby mnie coś w nim zainteresowało, abym z tego skorzystał. Kiedy skończyłem czytać ten zapaćkany zeszyt, szkolny kajet, w jakich pisywały dziewczęta w szkołach miejskich, kiedy dowiedziałem się o tragicznym losie tej wiejskiej ślicznotki, nie mogłem się oprzeć, by pewnych pasaży nie przepisać i bez zbędnych poprawek opublikować na dowód tego, że każdy człowiek jest genialny, tylko nie każdy człowiek ma dość powodów, aby te swoje niezwykle spotkania opisywać i zapisywać. Wszakże każdy człowiek, gdy po raz pierwszy otworzy oczęta, jest i będzie otoczony inną kulistą przestrzenią, bo każdy człowiek ma wewnątrz swojej przestrzeni kulistej inne diamentowe oczko, w którym każdemu odbija się zupełnie inny świat. Jednakże nie każdy człowiek zdaje sobie sprawę ze swojej wyjątkowej urody i nie każdy ma dostateczny powód, by dać ręce rozkaz, aby zapisała pewną drogę, której pierwsze kroki powstają wraz z pierwszym napisanym słowem. Kłaniam się nisko, czapką do ziemi, dziennicznikowi tej wiejskiej ślicznotki!

### **Legenda zagrana na strunach rozpiętych między kołyską a trumną**

Ma ojczyma, który mieszka z matką na północy. Drzewko w ręku.

Franciszkanin. Chodzący po rozżarzonych węglach. Salvator ab Horta. Wietrzy paralitycznie martwe figury i tak oto kroczy szczęśliwym tropem. Tryumf optyki.

Alabastrowy krzyż. Anielski ogród. Napisał dwie książki: „Jak za pomocą uwięzowanego balonika nauczyłem kota skojarzeń, tak że w płamie na ścianie widział mola i usiłował dosięgnąć go łapką” i „O wpływie palenia, luster i kina na zawieranie związków małżeńskich przez osoby o takich samych rysach twarzy”. Włodzimierz. Biskup zażywający kąpieli słonecznych na słońcu. Orzeł go wachluje. Serwacy. Mimo że od szkolnych lat utrzymuję z oskarżonym znajomość, nie doszło między nami do kontaktów płciowych, prócz jakiegoś tam buziaka. Pewnego razu wpadł aż po szyję w gówno, a przy tym robił sobie wymówki, że rano nie wyczyścił zębów. Całowanie, które oznacza w praktyce skłanianie do niemoralnego życia. Benedyktyn. Wskazujący mieczem swój wyrwany język. Miecz. Placidus. My, oczywiście, tam, u nas w domu, lubimy królika, smażonego królika. Ale tylko roladę. Smażymy królika, ogryzamy powłokę, potem mięso panierujemy znów w jajku i bułce tartej. Dzięki temu jednego dnia jemy tego samego królika siedem razy. Mansarda na Awentynie. Arkusz papieru widzieć - śmierć kogoś z krewnych. Pochodzę z porządnej rodziny, w której oboje rodzice pracują, matka nawet na zmiany. Orzeł. W ręku płonące serce, jedną lub dwiema strzałami przebite. Augustyn. Wielka sobota, zwana Białą. Biała szczeka.

Biała trąbka pocztowa. Są tacy, co srogą zimę przepowiadają, kiedy po raz drugi kwitną kasztany albo w listopadzie ponownie stokrotki. Ale ja, kiedy przekopuję ogródek i nie znajduję dżdżownic. Ja, proszę panów, wierzę w dżdżownice. Piorun porażający innego człowieka widzieć - lubieżna niewiasta. Czy ta sytuacja nie wydaje się pani beznadziejna? A jednak nie ma powodu do narzekań. Oczy, dwoje oczu na dwóch kartach książki. Ksieni. Otylia. Skądinąd także tłukła głową o roletę zakładu pogrzebowego, aby wezwać pomocy. Manko nie zostało z wymienionym uzgodnione, bo umarł przez utopienie. Biały precelek. Biały jelonek. Dreptać - nie dojdiesz do niczego. Opat albo biskup. Nad nim słup ogniasty. Obsługiwany przez wydry. Łabędzie.

Guberthus. Mówił, że jest wikliniarzem, ale że znajdzie sobie pracę jako koszykarz.

Tak oto przeoczył głębokie związki przyczynowe. Błogosławieństwo Boże. Założył się o dwadzieścia halerzy, że wniesie na czwarte piętro trzy worki cementu. Na trzecim powiada: dajcie mi jeszcze jeden worek. Potem wsiada do tramwaju, wyrwał uchwyt i zemdlął. Oczy swoje wylupione w misce albo na książce. Patronka oczu. Rany na szyi.

Miecz. Łucja. A podpisywał się: Niech żyje pokój! Brnąć w błocie i nieść zmarłego - stawiać czoło chorobom. Oko Boże. Mimo że kierownictwo szkoły zwracało matce uwagę na częstą nieobecność syna na lekcjach. Leżący w łóżku. Gaszący ogień modlitwą. Germanus z Paryża. Rodzice pochodzą z robotniczej rodziny ze względu na brak środków finansowych. Dzięki temu jego optyka niezwykle się wyostrzyła. Czarny bażant. Czerwony

jeż. Czerwona gwiazda. Patronka filozofów. Roztrzaskane koło zębate. Korona. Miecz. Katarzyna z Aleksandrii. I w niewłaściwy sposób obmacywał ją po całym ciele. Centymetrem miłość mierzyć - osiągniesz powszechny szacunek. Na

Kozim Placyku przy ulicy Hasztalskiej tłusta gospodyni w nakrochmalonych spódnicach. Kogo spotkała, tak go ofuknęła, że cały spuchł. Inżynierowie zapalili świece. Tłusta gospodyni świece zgasła i wzięła panów we dwa kije. Pewna kucharka lubiła się sztafirować i prasowała sobie fartuszki. Koło północy buch buch buch buch! Kucharka-strojnisia schowała się. Straszdyło szeleściło spódnicami, tak jak kiedy na młyńskie koła leje się woda. Wyzwolona. Tłusta gospodyni dręczyła służące, musiały bez przerwy prasować. Za karę ta gospodyni wstawiała z grobu. Teraz kichnęła, jakby wiatr powiał. Teraz cisza. Czerwone okiennice. Czekoladę robić -

zaręczyny. Sięgnąłem jej między nogi, żeby znaleźć tam kuropatwę, którą przedtem zastrzeliłem. Przykładający palce do ust. Johannes Silenciarius. Diabelska karczma.

Król się może skryć, mat nie może krzyć! Nie ma pozytywnego stosunku do naszego stroju, bo posiada 0,67 ha sadu. Czerwony lis. Wzmiankowany obiecał, że jeśli małżonka nie będzie go drażnić, nigdy więcej takiej rzeczy nie uczyni. Następuje teraz inny etap kryzysu. Podwójny paraliż. Dzień i noc. Dziekana martwego widzieć -

przemiana. Siekiera w głowie. Jozafat. Mam ponoć dobre serce, płuca, dobre nogi - doktor mówi, że takiego siedemdziesięciolatka jeszcze nie widział. Mogę śmiało dożyć dziewięćdziesiątki. Czyż to nie pech? Wszystko mnie już na tym świecie brzydzi, mam w urnowym gaju opłaconą urnę, właściwie urnę. Co ja komu zrobiłem złego, że muszę tu jeszcze tak długo straszyć? Dziurka. Demartynka. Dławić się, rzygać - niegroźna choroba. Miecz między zębami. Juwenalis. Spytałem ją: „Gra pani w totka?” A ona powiedziała, że tak. Odpowiedziałem jej: „Niech się pani potknie o mój dolny pedał i będzie pani mieć szczęście!” Stryczek w rękę. Dezyderiusz z Wiednia. Dwa klucze niebieskie. Obora - zmiana w miłości. Dwie kamienne kolumny. Darń przepięknie zieloną zbierać - pieniądze. Dwie dziewice. Morda jakiegokolwiek zwierzęcia - szkoda.

Nie zdążył powstrzymać pary wołów prowadzonych przez członków rolniczej spółdzielni produkcyjnej. Prawego wołu prowadził jednak świadek Szczepan

Szymaczek. Niosący uciętą głowę, z której szyi wyrastają gałązki palmowe. Ursinius z Rawenny. Sprzątał miejskie wychodki. Czasami wpadał w gówna, leżąc spoglądał na swoje dłonie i filozofował: „Ludzie sobie srają, a ja za nich muszę to wynosić w szafliku”. Dlatego przepijałsub specie tej aeternitatis pieniądze w gospodach. A potem pijany załadował pościel na taczki i wywiózł ją za miasto. Chodził po poręczy mostu.

Stawał na rękach na krużganku wieży. Tłukł bochen i rozmawiał z tym chlebem: „No i jak? Będziesz skakać czy nie będziesz?” Zdarzało się czasem, że skopał nawet rower.

Do kobiet pracujących pokrzykiwał: „No, i co jesteście warte?” I nie czekał na odpowiedź, lecz sam odpowiadał: „A gówno!” Teraz, na starość, w inny sposób gorszy się pod wrażeniem tego swojego wywożenia przez całe życie miejskich wychodków.

Stoi pijany przez trzy godziny w oknie, obok niego jego fotografia z czasów, kiedy był za Austrii kapralem ułanów. Pokazuje odznaczenia na piersi fotografii, aby sąsiedzi widzieli i mogli porównać: takie piękne początki, a koniec jakże żalony. Ołowiany drąg. Mówiący bez języka. Euzebiusz z Rzymu. Prowadzi teraz porządne życie, bo jest pod pantoflem. Strzelec padł, bo zły swobodny pionek zagraża. Koń wisi w powietrzu i sam sobie wykopał grób swoją chciwością. W stanie wskazującym na spożycie prowadził swój motorower i swoją jazdą bezpośrednio zagrażał pieszym, na których pokrzykiwał: „Z drogi, bo cię przejadę!” Trzy kwiaty w ręku. Biskup. Kartuz. Łabędź.

Anioł go chroni przed ogniem błyskawicy. Elżbietańskie łaźnie. Żono, gdyby dobry

Pan Bóg miał któreś z nas powołać do wieczności, niech raczej wybierze ciebie. Tak jak bym ja cię oplakiwał, ty byś mnie nie oplakiwała nawet jedną dziesiątą kwarty moich łez. Figowy liść - nieudana randka. „Ryczy? Niech ryczy! Więcej za to wypije!”

Korona cierniowa i płonące serce w ręku. Karmelitanka. Blizny. Hostia. Maria

Magdalena de Pazzis. Zostawiła u mnie tylko jedną pierzynę i kilka łąszków dla płci żeńskiej. Poza tym nic ważniejszego u mnie nie zostawiła. Ruch jednak przemyślany jest dzięki sile właściwej optyki. Działo się to wieczorem i on mi na stojąco wyznawał miłość, a przy tym klęczał. A stało się tak chyba dlatego, że on nie mógł normalnie spółkować. A potem szedł zapić to piwem. Leżący wśród okruszków w więzieniu.

Kielich na piersiach. Lucianus z Beauvais. Dom Fausta. Folimanka. Z modnisią rozmawiać - poniesiesz niemałe koszta. Czytający brewiarz. Łabędź. Kościół.

Ludgerus. Dziadunio z miłością opowiadał swoim wnuczkom bajki dopóty, dopóki nie dostał ataku podagry. Po czym bił wnuczęta bez miłosierdzia. A potem znów był czuły.

W wiosce nazywali go „Zły dziadunio”. Miał usta pełne bajek, pięści pełne kuksańców i pudełko pełne cukierków, które rozdawał dzieciom dopiero potem, gdy zbił je bez litości. Korab z jego zwłokami płynie pod prąd. Wypędzający diabły Melanius z

Rennes. Golczowski dwór. Granat wybuchający widzieć - zła wieść pozbawi cię całego szczęścia. Kto wpadł na to, że czeskie drzewo to lipa? Bass ujął to trafniej. To, panowie, wierzba! Im więcej ją rznąć, tym gęściej rośnie. A poza tym: sadząc wierzby, umacnia się brzegi. - Panie doktorze, taki jestem smutny, naprawdę smutny -

powiedział pacjent Szoltys, który nieustannie się śmiał, śmiał i klepał po udach. - Naprawdę jestem tak strasznie smutny, naprawdę smutny, że aż strach - śmiał się pacjent Szoltys. Węża na małżonce swojej widzieć - urodzi syna. Aktorska knajpa.

Głowę mieć uciętą - wolność. Dom U Aleksandrów przy ulicy Pływackiej. Na cmentarzu. Mężczyzna bez głowy chodzi tam szukać swojej głowy. Kobiety bolały zęby. Chłop w koszuli idzie jej naprzeciw. Ci bez głów są na baby zawzięci. Mały

Jezusek przelewający morze do jamki. Biskup. Serce. Augustyn. Proponował mi, żebym mu małą motyczką, tak zwaną gracką, naznaczyła nos. Chorąży potem robił sobie z kamfory ajerkoniak. Kapitan przychodził do niego i pił ten ajerkoniak. Miewał później wizje, a kiedy grał w kapeli, tak nastroił trąbkę, że grał wszystko o tercję wyżej. Miał na imię Makary. Po tym picciu ajerkoniaku z kamfory nazywano go

Makakamfor, a niekiedy nawet Jakamarus. Własną krwią pisał credo na piasku i został przy tym ścięty. Dominikanin. Miecz albo szabla w głowie. Petrus Męczennik.

Oskarżony przegrywa wypłaty w totolotka, bo myśli, że urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. W toku dochodzenia dowiedziono, że tak jest w istocie. Jego matka, kiedy nosiła go w swoim łonie, pomyślała w dziewiątym miesiącu, że musi załatwić większą potrzebę, ale jak siadła na wiejskim wychodku w Odrzypsach, oskarżony wpadł jej jako niemowlę w gówna. Przybiegli sąsiedzi i wyciągnęli oskarżonego na pępownie.

Naprawdę ma szczęście, bo na złocie się urodził. Tymczasem, oczywiście, wypłaty ciągle przegrywa, zagrażając w ten sposób rodzinie i porządkowi w wiosce. Straż garncarska. Arlekinem być - od dłuższego czasu szalejesz. Dominikanin. Trzeci generał zakonu. Płyń po morzu w swojej szacie. Raymundus z Penaforte. Harfiarkę obdarować - nie szafuj majątkiem. Pożar powstał wskutek niedbalstwa leśnika, który nam podpalił starą trawę w lesie. Chciał pokazać w ten sposób robotnikom leśnym, jak szybko pożar lasu się rozszerza. W wyniku powstałego tak pożaru spłonęło około czterech hektarów lasu. Hiacynt widzieć - miłość. Gnojówkę obchodzić - zamożność.

Gniady konik. Teraz nie bez powodu popada w nędzę. To ostatnia szansa czarnego strzelca. Głęboka piwnica. Swoje burżuazyjne zachcianki oskarżony zaspokajał w ten sposób, że korzystał ze swojego majątku, aby być cztery razy młodszy. Za pierwszej republiki w ciągu dziesięciu lat przeżył czterdzieści wiosen. Zimą spędzał wiosnę w

Prowansji, potem podążał w ślad za wiosną na Sycylię, potem na wiosnę zjechał do Rzymu, a czeską wiosnę zostawiał sobie jednak na koniec. I jeszcze chełpił się tym, wywołując wzburzenie ludu pracującego, bo zachęcał, aby go naśladowano. Garnek.

Kapelusz albo kaptur zawieszony na promieniu słonecznym. Pustelnik. Trzy łąnie.

Diabeł na barkach. Goar. Pacjent nieustannie domaga się papierosa. Jeśli jego życzenie nie zostaje spełnione, kopie w drzwi. W ataku wściekłości potargał na strzępy kapę i pasek tkaniny zawiązał sobie na kutasie w ozdobną kokardkę. Świcznik jerozolimski. Jelenia bielizna. Trująca chata. Kiszczę smażyć - upodobanie w dobru.

Krwawe iskry - płacz. „Tu, w biurze, przyjmujemy zlecenia na podlewanie grobów. Są tu pozwolenia na używanie konewek cementarnych. Strzeż się cementarnych złodziei”.

Napisał na tablicy oskarżony grabarz, który dzięki temu miał najpiękniejszą kolekcję georginii. Kasieńka. Koniczynka. Konwalia. Ze względu na właściwy mu spryt i wyrachowanie trudno określić jego stosunek do naszego ustroju. Anioł przynosi mu ryby, co nieraz się powtarzało. Opat. Rozpalony kamień w rękę. Comgallus. Jeszcze raz to samo, a ten drugi padnie trupem. To jest klęska, ale kolejny pionek jest śmiertelnie zagrożony. Przytułek Świętego Wojciecha. Chodzić o drewnianej nodze -

zmiana sytuacji. Odziany listowiem. Łączący na czworaka. Ścigany przez myśliwych i psy. Onufrius. Mówiła do mnie w kółko, jak do chorego konia. Ale na Ozerowie pod

Słowianami, dom Pod Dziesięcioma Dziewicami. Sodomia. Najbardziej dokazywała tam pewna Żydówka. Czarny chłop i bykowiec Żydóweczkę wysmagał. Od tych czasów biada temu, kogo Żydówka zmorduje tańcem na ulicy! W domu U Pokrzywów. Po klasztornych dziewicach przyszły potem te świeckie. Sprawcą obrażeń nad prawym okiem i zwichnięcia nogi w biodrze okazał się oskarżony, a to dlatego, że jego małżonka jadła jabłko podczas wykonywania powinności małżeńskich. Anioł stróż w przebraniu diakona. Zakonnica. Przed monstrancją, której promienie przeniknęły jej serce. Franciszka Rzymianka. Dom inwalidów wojennych. Informacja o jej opinii jest tego rodzaju, że w swoim miejscu pracy należy do organizacji Związek Młodzieży

Czechosłowackiej. Mimo to jej stosunek do dzisiejszego ustroju jest pozytywny, cechuje ją bardzo dobra moralność pracownicza i ze względu na to, że zapadła na gruźlicę kości, stawiana jest za wzór innym pracownikom. Młyn Karpelesa. Kaczora w wodzie ustrzelić - stosunek płciowy. Kędziory umarłego - nieszczęście. Kocia nora.

Rozebrali się do naga i udawali razem orchidee. Wypadający z okna. Serapion.

Bystrość nie do naśladowania. Najwyższym wysiłkiem optyki chce ożywić swoje myśli.

Kobyłę bez ogona widzieć - bądź ostrożny. Konfiskowane czasopisma - twoje podejrzenia są uzasadnione. Najdroższy, jeśli kochasz inną, ładniejszą ode mnie, to napisz. Dwie róże zerwij, jedną mi daruj. Niech cię Bóg broni dwie kochać naraz. B+Ł

= O. Buziak, łapka to obłapka! Królewska Wytoń Magazyny solne. Kamienny zegar.

Trolejbus zatrzymał się nie dlatego, że był przepełniony, ale że trzech chuligani napadli na konduktorę, gonili ją wokół trolejbusu i oskarżony Hemelik wołał: „Chono tu, ty klucho, już ja cię przedziurkuje!” Grad zbił z nóg pomocników kata. Koła z nożami i hakami zniszczone. Święta. Pierścień. Katarzyna z Aleksandrii. Gorzałkę pić - radosną wiadomość otrzymasz. Piękna Najświętsza Panna Maria. Trzeba jednak przyznać, że skazany Stanko, mimo iż był prawosławnym proboszczem, nie inklinował ku reakcyjnej polityce Watykanu. Proporzec i cesarskie jabłko. Niekiedy w zbroi.

Stłuczony w mózdzierzu. Odcięta noga. Wiktoryn. Azbuka, panowie, to meble do góry nogami. Lato i zima. Łaźnia joannitów. W klasztorze Marii Magdaleny praczka spogląda w noc księżycową. W ogrodzie jakiś człowiek zbierał pieniądze, które dojrzewały. Potem spuścili producenta pomp w głąb studni. Siedział tam mnich z barankami na kolanach. Piękna aktorka Laura. Zamierzała uciec, ale mąż odciął jej głowę i posłał panu hrabiemu. Kiedy najemnicy wynosili posągi ze zlikwidowanej kaplicy, dwie praskie damy na ten widok skamieniały. Najemnicy wynieśli je tak jak inne posągi, niczego nawet nie spostrzegłszy. Mierzyć miłość milimetrem -

nieskończoność. Łabędek. Malinówka. Mała koteczka. Oskarżeni sporządzili sobie tak zwane upajadło. W wyniku dochodzenia okazało się, że upajadło to podgrzany wermut owocowy za jedenaście koron z cukrem i cytryną, co ponoć ma tak upojną siłę, że Rosjanie rzekomo napędzają tym upajadłem rakiety. „Wczoraj krowa się nam goniała. Kiedy wyprowadzałam ją z obory, przekonana, że jestem bykiem, nadepnęła mi na brzuch!” „Szedłem, Wysoki Sądzie, aby dopomóc małżonce w trudnej sytuacji:

stała na niej krowa”. Podwójny atak, czegoś takiego trudno się spodziewać. Partia skończy się chyba remisem. Komu niewinność z oczu patrzy, ten zawsze zyskuje. Młyn na łódkach. Ministra widzieć - masz niewielu przyjaciół. Jako pracownik

Czechosłowackich Kolei Państwowych dość często bywam na dworcu. Umarłemu gieżło dawać - ogromne straty. Jako że koń jest płochliwy, Szeps, nim zabrał się do ładowania, odpiął go od łańcucha. Nieszczęśliwym przypadkiem koń ugryzł go w lewe ucho, nie zdając sobie nawet sprawy. Mierzwa i bierwiono. Monachijskie wapienniki.

Małmazyjka. Miasto Londyn. Siedziałyśmy potem przed kantyną na belkach i deskach. Ja w kryminale zajmowałam się szklarnią. Mówię: „Panie strażniku, przydałaby mi się ta belka”. Ale strażnik zaczął krzyżeć: „Niech się wam to, kobito, nawet w nocy nie śni. To rozebrana szubienica!” Mysia nora. Modra kaczką. Katownia

- nieszczęsna miłość. Szubienicę obok siebie widzieć. Przerwany łańcuch w ręku.

Wybłągał życie skazanego na szubienicy i chciał, aby go zamiast tamtego powieszono.



Ale strycalek kilkakrotnie się z nim zerwał. Feriolus. Kułak Huszek wkradł się do tworzącej się Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej, oczywiście po długim namawianiu.

Pozwalał leżeć odłogiem nawet niezoranym gruntem. Znalazł się w domu wariatów dlatego, że na wystawie gołębi komisja nie uznała mu jego gołębi siodlatych. Napisał jednak dziełko, które świadczy, że nie jest z niego taki wariat. Dziełko to nosi tytuł:

„Biada wam, ci na przedzie, wyprzedziliście wszystkich, a na dodatek wypięliście się na tych, co zostali w tyle. Biada również i wam, ci w tyle, którzy pozwoliliście się wyprzedzić tym, co na przedzie. Błogosławieni bądźcie ci, co pośrodku, którzyście nie zostali ani na przedzie, ani w tyle”. Kiedy w ogrodzie zakładu przepisywałem z mocy prawa tytuł tego dziełka, dwaj chłopcy tak kopnęli piłkę, że przeleciała przez płot, i zza bramy wołali do mnie: „Panie wariat, czy nie zechciałby pan podać nam tej piłki?”

Kiedy ich zidentyfikowałem, oskarżony ojciec, Hildebrandt, uderzył mnie ze słowami:

„A tu masz po pysku!” Tak że doszło do rozchwiania dwóch zębów, które są bardzo ważnym organem służącym do rozdrabniania pokarmu. Dzięki temu jednak zaczyna się powtórny stan konieczności i wymarzone bramy stają otworem. Dama w stanie zawinionym zostaje przyciśnięta do muru. Mniszka franciszkanka. Przez dziewięć lat była rozpustnicą i nawróciła się, gdy prowadzona przez psy swoich kochanków znalazła ich pomordowanych w parowie. Margharetta di Cortonna. Wspomnianemu psu oko zostało wybite przez psa, z którym to psem ten pies się gryzł. Tak wielka optyka nieodzownie wywołuje Los. Widzi odległy stan zawężlonych rzeczy. Na straconym posterunku. Natka jakiegokolwiek warzywa - niepotrzebnie się zdenerwujesz. Narzeczoną mdlejącą widzieć - a to mi niespodzianka. Brat Bogusław

Wesoły zabił psa mojemu ojcu, którego zjadł. Na niebie ryby łowić -

nieskoordynowaność myśli. Oskarżony jest kułakiem, dlatego też nie ma najmniejszego prawa narzekać na ustrój państwowy. Nogi połamane - szczęście w podróżach. Przy ulicy Podskalskiej stoi dom. Ongiś święty Waclaw polował tu na jelenie. Knieje. Na uświęconej ziemi powalił jelenia, którego tu pochował. Poroże przybił do leśniczówki. Co noc jelen przychodził po to poroże. Teraz jest tu dom z obrazem tej leśniczówki. Poroże jelenie jest *au naturel*. Co noc ten jelen przychodzi po to poroże. A potem idzie napić się do źródelka. Jeszcze dzisiaj nad ranem wskakuje na ścianę, opiera się kopytkami o ramę obrazu i z powrotem umieszcza poroże nad drzwiami namalowanej leśniczówki. Widać tylko, jak poroże rusza się, nim spłynie się z obrazem. Na fajce z porcelanową główką. Oskarżony o popełnienie kradzieży we wspólnocie łowieckiej w rogu sklepu załatwił większą potrzebę (wysrał się). Jeśli idzie o niego, zeznaje, co następuje: „Jestem jedynym swoim

rodzeństwem”.

Franciszkanin. Pięć ran Chrystusowych. Lilie w ręku. Skrzydlaty krucyfiks. Franciszek z Asyżu. W wyniku spoliczkowania przeszła mu ochota do dalszej zabawy. Osiecka bielizna. Osioł przy żłobku. Wpadłem do wanny z wrzącą wodą i oparzyłem sobie genitalia, to znaczy dupę i całą resztę. Krople świętej Agnieszki nazywano jaskółczą wodą. Wynałazła je polska arystokratka, klaryska, która mieszkała w domu Pod

Boskim Obliczem. Krakowski student dowiedział się o tym od wdowy, która służyła u tej arystokratki. Podjął później próby wyrabiania jaskółczej wody. Stróż nocny wszedł na drabinę. Światło. Stróż nocny spadł na chodnik. Student martwy, stróż nocny martwy. Tylko cień studenta krąży. Wydrukować książki albo obrazy - smutek. Małą zobaczyć - ciężka choroba, lecz także szczęście w miłości. Pustkowie smolikowskie.

Maria Panna na Złotej Skale. Pływacka knajpa. Kilku funkcjonariuszy policji przebrano w cywilne mundury. W akcji samoobrony kopnęła go w jądra płciowe

(jaja). Haki. Stos przez deszcz ugaszony. Piorun zniszczył świątynię Diany. Martyna.

Jeśli łóżko posłane - bądź pewien, że żona jest ci wierna. Podniebienie górne.

Pozdrowienie anielskie. Szłam normalnie do pracy i zaszłam przy tym w ciążę.

Oslonięta włosami. Rzadko kiedy. Kiedy prowadzono ją nagą do burdelu, aniołowie otulili ją jej własnymi włosami. Owca. Agnieszka. Ranę w piersi mieć - szczęście w miłości. Oskarżony muczał później do mnie jak baran do miedzy. Pomada - przesada nie przynosi ci korzyści. Pelc Tyrolka. Obaj wymierzyli sobie potem po policzku mniejszego kalibru. Wśród uczestników doszło przed ludowym sądem polubownym do starcia, podczas którego wnioskodawca stłukł stronę przeciwną, tak że miała sińce na twarzy. Brutalne opanowanie potężnego ruchu. Klasztor Świętej Agnieszki.

Warsztat ludwisarski. Chór zakonnice wokół dołu, w którym błyszczy świeżo odlany dzwon. Jedna za drugą wlatują pod sklepienie. Tylko jedna mniszka przy kaganku odlany dzwon strzeże. Spółkowała później za opłatę w różnej wysokości. Oskarżony jednak nie ma pozytywnego stosunku do dzisiejszego ustroju państwowego, bo jest grabarzem. Ręce spalone. A jednak namalował jeszcze nimi obrazy z życia świętych.

Łazarz z Konstantynopola. Rum pić - towarzystwo. Rosyjska kawiarnia. Rajski dwór.

Biada, panowie, biada! Kupuję żonie pod choinkę najdroższy zegarek marki Omega, a ona: „Po ci mi ten szmelc? Dlaczego nie kupisz mi najlepszego zegarka na świecie marki Pobjeda?” Biada, panowie, po trzykroć biada! Różę złamać albo zerwać -

kochance coś miłego. Siedem złotych świeczników. Fabryka zapalek. Salmiak - nie pożądam napojów spirytusowych. Gorzelnia. Róg placu Karola nazywa się U Hu-balków.

U Slivoneckich. Schodzili się tam pikarciu, kacerze. Portret każdego wisiał na ścianie. Taki pikart śpi w domu w łóżku, a jednocześnie znajduje się w Stowarzyszeniu

Pikartów. Stowarzyszenie Bliźniąt. Żona jednego z nich powiedziała: „Dosyć!” Palilo się przy ulicy Spalanej, musieli pikarta wynieść razem z łóżkiem, tak twardo spał.

Jego żona pobiegła z nożem do Stowarzyszenia Bliźniąt. Tam przecięła twarz swojego męża na portrecie. Kiedy wróciła, taką samą szramę miał na policzku jej mąż, pikart śpiący w łóżku. Oszalała. Potem chodziła po domu U Hubalków, nosiła ten zraniony obraz, z którego kapłała krew. Sliwieniecka słodownia. Szlotyrszka hałda. Jeśli więc idzie o zajście, to teraz, kiedy wiem, co zrobiłem, czuję się winny. Żałuję swojego postępowania, a to zwłaszcza dlatego, że nie minął jeszcze czas warunkowego zawieszenia. W stan wskazujący na spożycie nigdy się już nie wprowadzę, bo lekarz mi tego zabronił. Nogi i ręce przewiercone. Biskup. Kleszcze. Haki. Felicjan. Obrzucać kogoś śnieżkami - niewinność. Syrop smakować - bezwstydnosc. W pobliżu staromiejskiego ratusza założyłem fińską dźwignię nieznanemu żołnierzowi. W

Komorze Celnej Turek poprosił narzeczoną na słowo, które mu dała. A potem ucięta głowa na weselu. Obiecywała Turkowi miłość, a wyszła za innego. Turek nosił jej głowę na pustkowiu. Ale na obrazku nosił tę głowę za włosy. Ludzie widzieli też, jak

Turek bez niczyjej pomocy zszedł z pewnego obrazu. Sięgnął jej potem ręką pod majtki, dotykając jej kobiecego przyrodzenia. Bierze się więź za jedną martwą figurę, która stoi tu jak strach na wróble. Chłosta. Biskup. Miecz wbity w księżę. Bonifacy.

Swobodowe głębie. Szlachcianek von Shönau. Pochodzenie klasowe St. Linharta nie znajduje się w Pradze, do Pragi bowiem przybył w 1951 roku. Wymieniony jest wdowcem, bo jest rozwiedziony i żyje na sposób małżeński z M. Lalową, wdową, która również jest rozwiedziona. Parasolkę widzieć - wsparcie w biedzie. Szaleńca widzieć -

zał. Wieniec z gwiazd wokół głowy. Widziany był w Wełtawie, w miejscu, gdzie został utopiony. Książdz. Krucyfiks w ręku. Kość. Rzeka. Jan z Nepomuku. Troje skrzypiec.

Srebrna laska - rozkosz. Zachowanie oskarżonego jest bez zarzutu, dlatego też można powiedzieć, że ma pozytywny stosunek do dzisiejszego ustroju państwowego. To jednak można powiedzieć tylko wtedy, kiedy jest w stanie trzeźwym. Trzy czerwone gwiazdki. Trzy czerwone serca. U sióstr kawusianych. Uldrychowa wyszła za próg i zobaczyła Morawkową, która siedząc na drzewie, zrywa jej śliwki. W uchu mieć robaka - stawienie się w urzędzie. „Pod Złotą Studnią” nazywa się też „Pod Połówką

Złotego Koła” albo też „Pod Czerwonym Krzesłem”. Jest tam studnia. Służąca - wąż

- ujrzała wiadro pełne złota. Pochyliła się i utonęła. Teraz chodzi po domu. Korytarz w tym domu jest tak wąziutki, że trumnę opuszcza się przez okno. Spadając ze schodów, zabił się podręczny z winiarni. Gwóźdź w głowie. Lekarz. Gwoździki zostały mu wbite w głowę, nogi i ręce, po czym wrzucono go do jamy, aby się wykrwawił. Julianus

Emensenus. Małżeństwo Bouszków bardzo często popełnia w domu przestępstwa obyczajowe, polegające na tym, że publicznie tłuką się i nie przestają wymyślać sobie słowami, których często używają małe dzieci. A już szczyt wszystkiego: kiedy małżonka Mirosława Bouszki nie może nic swoją wymownością wskórać, unosi spódnicę i pokazuje gołą dupę i swój organ płciowy. Zakonnica. Karmelitanka.

Płonące serce w ręku. Przed nią krucyfiks i drogie kamienie. Teresa. Pod Złotym Tygrysem. Pod Biskupią Mitrą. Pod Morzem Hrubego. Własnymi siłami nie udało się pożaru ugasić. Wezwano strażaków, którzy zlikwidowali pożar, i to tak skutecznie, że wspomniany kurnik przemienił się w popiół wraz z drewnem składowanym na sąsiedniej parceli. U Fleków siedzieć - zadowolenie. Godzinki za umarłych śpiewać -

ślub. Morze, po którym szła. Anioł. Gołąb przyniósł jej welon. Księżna. Aldegundis.

Oskarżony uderzył poszkodowaną łopatą w tylną część ciała, którą dołączono do zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa jako dowód rzeczowy. Posunięcie dokonane z cudowną przemocą stłumi każdy objaw sprzeciwu. Jakież plony bogate w motywy! Wszędzie dokoła zagłada. Król lub dama muszą umrzeć. Jako że idzie o człowieka zupełnie nieświadomego, można przypuszczać, że ma pozytywny stosunek do świeżo założonego stowarzyszenia hodowców królików, mimo że ma skłonność do kradzieży. Nóż, którym przebito. Przed nawróceniem był złodziejem i mordercą.

Murzyn. Anachoreta. Mojżesz z Etiopii. Wypalony dom - radość. Dom zbrodni. Jeśli idzie o wiarygodność młodocianego, a sąd uznaje za podstawę opinię dyrektora szkoły, stwierdzam, że idzie o osobę, która nie jest duchowo dojrzała, lecz upośledzona. Lew albo kogut. Ptak. Jak dziecko. Kocioł z olejem. Wit. Wiersze tworzyć - nienawiść. Gdzież jest dziś sikorka czarnogłowa? Fiii fiiii? To są sikorki modraszki. I widzi pan? Zięby nie siadają i nie dziobią z dłoni. Taka zięba bojaźliwie żywi się w locie, jak poeta. To im zostało z tych czasów, kiedy ptasznicy zastawiali na nie pułapki. W miejscu zamieszkania cieszy się dobrą opinią, bo niekiedy upija się i w tym stanie dopuszcza się wykroczeń. Zakonnica. Czarna. Matka świętego Augustyna.

Monika. Chciała, żebym był jej osobistą wagą. Stała mi obcasikiem na sercu. Aby zobaczyć w moich oczach, ile waży. Gdyby mi dała znak, krwią bym do niej pisał listy.

Dwa woły daremnie próbują ją na powrozie zaciągnąć do burdelu. Miska. Łucja.

Wielki trzewik. Zmarszczki widzieć albo mieć - uroda. I tak, dzięki częściowemu przyznaniu się oskarżonego, zeznaniom Karoli Beranowej i Józefa Nepomuckiego, doniesieniu o popełnionym przestępstwie, świadectwu lekarskiemu, prezerwatywom i dziewięciu fotografiom nagich kobiet sąd stwierdził, że Antoni Kadraba urodził się poza związkiem małżeńskim jako syn Józefa Kadraby, właściciela niewielkiego gospodarstwa rolnego, który się upijał. Oto jak odważne działanie przynosi największy pożytek. Jezus Maria, droga pani, czy będzie pani tak łaskawa i powie mi, jak robi się sos chrzanowy? Złote działo. Żydowski ubój. Rozgarniałem ją zawsze, tak jak dzieci rozgarniają świąteczną choinkę, drzewko obsypane watą. Anielskimi włosami. Chcecie, dzieci, zerwać czekoladowy cukierek? Ostrożnie rozgarnijcie watę, tam, w głębi, na świątecznym drzewku, na gałązce, na złotej nitce. Tam jest gniazdko, a w nim sama słodycz. Tak docierałem do jej serca. Miałem małą rączkę. Wszędzie się mogła wśliznąć. Obrócić klucz z drugiej strony. Włożyć zwiniętą rączkę do słoika z konfiturami. Zielone pole. Niezwykła siła podwójnego ataku czyni jednak damę chłodną. To w dostateczny sposób dowodzi, że podejrzenie o popełnieniu karalnego czynu nie jest w sposób dostateczny dowiedzione. Po cóż w lecie martwić się o

Mikołaja? Nożyce do obcinania piersi. Węgle. Agata. Złazłem po wypadku z motocykla i zobaczyłem, że mam ranę szarpaną piersi i że wypada z niej serce i część płuc. Biegłem więc i wzywałem pomocy, i usiłowałem serce i część płuc wepchnąć z powrotem. Zatrzymał mnie pewien obywatel, udzielił mi pomocy, przyniósł gazę i zalepił mi ranę leukoplastem. Róża. Zakonnica dominikanka. Z koroną cierniową.

Miała na imię Izabella, ale ze względu na jej urodę nazywano ją Rosa. Rosa z Limy.

Jajecznicę jeść - korzyść. Mam syna, który ma półtora miesiąca, dlatego też nie jest nigdzie zatrudniony. Pochodzi z rodziny robotniczej, ale przyzwyczał się do żywiołowego wydawania pieniędzy, bez planu gospodarowania. Gwiazda na piersi.

Biały kartuzjański habit. Wokół głowy aureola z gwiazd. Bruno. Ze względu na reumatyczną chorobę stawów nie odczuwam pragnienia zaspokajania się samemu.

Czyż wieża nie jest paralitycznie martwa? Pojedynek szachowy nie jest od tego wolny, to jego największy tryumf, dzięki któremu odnosi tryumfalne zwycięstwo. Jako robotnik wyzywał się tak przez całe życie. Płonący miecz albo batog. Anioł. Jophiel.

Oskarżony nie przedstawił nic na swoją obronę. Ta obrona nie może go uniewinnić. W piekle. W zeszłym roku przeszedłem w Jicynie ciężką operację kiszek i od tego czasu nie wychodzi ze mnie nasienie. W czasie, kiedy jestem zmuszany do miłosnych zamysłów, przychodzą mi do głowy niedorzeczne pomysły. I tak niewinnie trafiłem do więzienia. Rura wodociągowa - nieprzyjemne spotkanie. Grot do wykłuwania oczu. Za

Maksymiliana skazany na pracę w kopalni, gdzie - jak to było w zwyczaju - wykłuto mu oko i okaleczono nogę. Spirydion. Ojciec oskarżonego był robotnikiem. Umarł, kiedy miał dziewięć lat. Jest to tak dobrze przemyślane. Byle tylko doprowadzić przeciwnika do utraty przytomności. Jechałem motocyklem bez prawa jazdy, bo nie znam rozkładu jazdy pociągów. Gołębice z jego ust albo do jego ucha. Kielich z hostią w rękach. Dominikanin i Ojciec Kościoła. Doctor Angelicus. Tomasz z Akwinu. Upił się do nieprzytomności, wpadł do rowu, gdzie była częściowo woda, przy czym częściowo się rozebrał (zdarł z siebie portki i gacie, tak że widać mu było tylną część ciała i resztę); budził tym u obywateli pogardę i niesmak, zarówno jak obawy przechodzących obok kobiet i dzieci. Promień z monstrencji dosięgnął jej serca. Obok niej Anioł Stróż. Zakonnica. Franciszka Rzymianka. Cuda czynić - zniewaga. Król żołądny. Spotkanie z oskarżonym skończyło się tak, że Ewa Vokaczkówna urodziła dwóch zdrowych chłopczyków. Rany głębokie z tyłu na karku. Leżąca na twarzy.

Ramiona i dłonie rozrzucone. Nawet trzema uderzeniami miecza kat nie zdołał jej ściąć. Żyła jeszcze trzy dni. Cecylia. W listopadzie małżonka rozbiła okno w pokoju, gdzie śpię, i przez to rozbite okno naląła do łóżka, gdzie śpię ze swoją przyjaciółką, kałużę - rzadkie gówno. Ponadto nie chciała mi oddać zeszytu, do którego wpisywałem umarłych, a kiedy poszedłem po niego z przewodniczącym MRN, rzuciła we mnie butelką po piwie i pieczętką: „Franciszek Piza - grabarz” uderzyła mnie w głowę. Żelazne grabie. Święty został rozdrapany żelaznymi gwoździami. Woskowa świeca. Biskup sewañski w Armenii. Świński łeb. Za Dioklecjana. Blasius. Domagam się więc zwrotu motocykla, który - jako inseminatorowi - niezbędny mi jest do sztucznego zapładniania krów. Najświętsza Panna Maria zjawiała mu się z

Dzieciątkiem i podaje mu pierś. Cysters. Ul. Bernard z Clairvaux. Wspaniały kawał optyki. Jedyne najwyższe dalekowzroczność dosięgnie takiego szczęścia. Obmacywał jej piersi i inne piękne części ciała, nie będąc w żaden sposób do takich działań upoważniony. Tak, proszę pani, to jest psychiczne zatrucie niezepsutym mięsem.

*Verbum caro factum.* Słowa te zostały jej w widzeniu wpisane w serce. Maria Magdalena z Pazzis. Fartuch widzieć - łatwo się zakochujesz. Oto ten kryzys - nadchodzi strzelec, ale powala go podwójny atak paraliżu. Oskarżony to młody mężczyzna przyzwoitej powierzchowności, w amerykańskim typie, podczas gdy świadkiem jest o czternaście lat starsza, brzydka, przedwcześnie przekwitła i zniszczona kobieta. Jedyne coś słodkawego w oskarżonym pozwala przezwyciężyć te przeszkody. Język rzucony jastrzębiowi. Kamień młyński. Włoczony koźmi. Rycerz

Kwiryn. Doprowadzić do katastrofy - to właśnie najodważniejsze posunięcie. Król nie

zdradzał już omal oznak życia. Żydowska szkoła - niezgoda. Złote runo. Oskarżony znowu się upił i tylko niepojętemu szczęściu pijaków zawdzięcza, że podczas przestawiania wagonów nie został uśmiercony, kiedy wagony kolejowe cudem przez niego przejechały, nie czyniąc mu przy tym żadnej krzywdy. Kobieta obok niego.

Pielgrzym. Veronus. Prócz tego oponent puszczał z tyłka gazy w mieszkaniu, z którego to powodu dochodziło do nieporozumień, żona mu bowiem czyniła z tego powodu poważne wyrzuty. Upiwszy się, Tesarz przemienia się w zwierzę i gryzie jak wściekły pies. Kiedy poszkodowany leżał nieprzytomny, odgryzł mu prawe skrzydło nosa powyżej dwóch centymetrów, tak że przewód nosowy jest obnażony i zieje. Ząb trzymająca wyrwany w obcęgach albo gdy został jej właśnie wybity dłutem bądź też pałką. Patronka cierpiących na ból zębów. Apolonia. Kiedy organy SB oznajmiły oskarżonemu, że został zatrzymany, oskarżony rzucił się na ziemię i tłukł w nią głową.

Latorośl albo uschłe drzewko w ręku. Stuła. Orędownik w biedzie. Achatius. Prosił, aby we wsi założono spółdzielnię produkcyjną, żeby mógł nic nie robić. W stanie wskazującym na spożycie udał się o godzinie osiemnastej do miejscowego kina, gdzie podczas projekcji szczał w sali na podłogę, co czynił z takim hałasem, że zwrócił na swoje postępowanie uwagę siedzących w pobliżu widzów, takich jak Maria

Ledczkowa, która powiedziała swojemu mężowi, że Hawranek szcza w kinie, gdzie zrobił wielką kałużę, a tym samym zanieczyścił kino. Przed takim żelaznym uściskiem nie sposób się obronić. Zawężenie sytuacji jest dobrze przemyślane. Kiedy policjantom udało się w końcu doprowadzić oskarżonego do izby wytrzeźwień, odmówił poddania się oczyszczającej kąpieli, wymyślał obecnym pracownikom izby wytrzeźwień, a kiedy funkcjonariusz zwrócił mu uwagę, że powinien zachowywać się przyzwoicie, powiedział mu, że jest plugawym wieprzem, bo chce zobaczyć jego ciało.

Latorośl w ręku. Szytlet w piersi. Bibiana. Strzelec żywy, lecz jednocześnie dama martwa. Wysoki Sądzie, piszę tak, jak dzieci malują rybę. Górny łuk, potem łuk dolny.

Na końcu podstawy łuki wnikają jeden w drugi i tak powstaje ogon, pożyteczna płetwa, która utrzymuje odpowiedni kierunek. To miasto znajduje się pod wspólną opieką mieszkańców, żywych i umarłych. Do łózka susła, do sprzątanania - łasicę.

Pestka. Wszystko to potwierdził pan doktor filozofii Jodl i krawiec z Szumawy - pan Martinek.

Legenda ta powstała jako tekst mieszany, ułożony swobodnie na podstawie „Attribute der Heiligen”, „Praskich tajemnic” Popelki Bilianowej, „Mysterium der Schachkunst”, „Sennika” Anny Nowakowej, „Historyczno-orientacyjnego przewodnika po ulicach miasta stołecznego Pragi”, akt sądowych oraz rozmów podsłuchanych na ulicy.

### **Pieśń dziadowska o podróżnikach dookoła świata**

Góry wokół Alpbach są piękne jak dorodne byki. A w nocy oświetlona wieża rzuca na niebo swój czarny fantastyczny cień. Na księżycowych łąkach pasą się krowy, ogromne jak laciaste szafy. Któregoś dnia mgła na wzgórzu wydawała się tak gęsta i piękna, że wspiałem się aż tam i zanurzyłem w nią rękę aż po łokieć. Lubię chodzić o zmierzchu obok wiejskich chat, przez okna widać skrapiany światłem spod stropu stół, a wokół niego liczne jasnowłose rodziny. W ogródkach kwitną bujnie dalie, floksy i aksamitki. Werandy rumienia się od istnych pierzyn pelargonii. Łąki kosi się tu ogromnymi maszynkami do strzyżenia włosów. Trawa suszy się na ostrwiach albo napiętych drutach. Siano na stryszkach upaja jak wódka. Nieustannie gdzieś szemrze, bulgoce i huczy ukryta pośród zieleni, łoskocąca woda. Powietrze można jeść łyżkami.

W każdej chacie mają swój fantastyczny piec do pieczenia chleba, piec o konfitur-owych ustach. Młyn w lesie to budząca groźę baśń o germańskim rodowodzie.

Gdybym wszedł, straciłbym przytomność. Stara chłopka, osłonięta słomianym kapeluszem, opowiada mi o grzybach trujących i czarodziejskich grzybach. A potem o tym, jak nadciąga ten południowy wiatr, ten ciepły wiatr naładowany elektrycznością, kiedy to ludzie pod wpływem tego wiatru szaleją, niektórzy wyskakują z okien, inni podrzynają sobie gardła. Ach! Największą wydajność z hektara daje w Tyrolu lodowiec. Pewnego razu wieśniak, który ostrzygł owce, a potem siedmioro swoich dzieci, w końcu ostrzygł także i mnie. Poprosiłem go o to, a on strzygł mnie w izbie, gdzie na ścianach wisiały fotografie trzech żołnierzy kubek w kubek podobnych do tego wieśniaka, który mnie strzygł. I każda z tych fotografii miała rozek ramy przewiązany czarną wstążeczką, podobną do kolorowej baretki odznaczenia, jakie każde z tych poległych żołnierzy miał na piersiach wojskowej bluzy. Między tymi fotografiami wisiały poroża zastrzelonych saren, a między porożami -



okrągłe lusterka. Na cmentarzu przypomniałem sobie, że pewnej szalonej kupiłem kajdanki.

Koło cmentarza - tyrolskie chaty, koło każdego grobu czarne żelazne łóżecko dziecinne ze złotymi aniołami, na grobie miska pełna wody, aby ptaki miały gdzie się napić, aby można umoczyć palce, aby góry i tyrolskie chaty miały się w czym odbijać, aby twarze miały się nad czym pochylić. Dwie chłopki padły na kolana przy samej furcie i po murze cmentarnym wędrowała czarna głowa w kapeluszu, po czym cały ksiądz dobrodziej wyszedł przed cmentarz, udzielił błogosławieństwa kobietom, a za nim stał ministrant, który w blasku słonecznego dnia niósł zapaloną mosiężną lampę.

W niedzielę kapłan wygłosił takie oto zdanie:

- Za obliczem oblicza Jezusa Chrystusa jest źródło oblicza twojego, a więc źródło twojego źródła.

Prezes akademii opowiadał podczas kolacji, że niektórzy anatomowie z prosektorium smażą sobie na przekąskę ludzki mózg na cebulce niczym mózdzek.

Filozof Tretera poszukuje prawdy, filozofka pani Treterowa poszukuje niekiedy filozofa Tretery, ale prawdy poszukuje zawsze. I tak oto, popijając piwo na tarasie

Jakoberhof i Böglhof, dowiedziałem się, że kto nie przeżywa kryzysu jest idiotą, że kiedy dwoje się kocha, to nie mają ciał, że telewizja to ruchoma tapeta, że sekunda zdolna jest objąć wieczność, że poprzez mgłę można dojrzeć góry, że słoń może istnieć w myszy, że synteza musi się zawsze jawić jako chaos, że dogmat to tradycja bez dyskusji. A wieczorem orzeźwiła mnie wiadomość, że Havliček, lamentujący na zesłaniu w Brixen, co wieczór w restauracji „Pod Słoniem” grywał w mariasza z komendantem posterunku policji. Mieszkam z trzema kruchutkami Francuzeczkami, które noc w noc wypijają całe skrzynki piwa i tłuką pięściami w stół, i walą w boazerię, i z ogromną werwą śpiewają:

*Deux elefants, deux elefants, sodimissam...*

Czyham na te galijskie kruszynki, przypuszczając, że zamiast nich wygramolą się tłuste dziewczuchy, ale za każdym razem wychodziły ostrzyżone na krótko jak chłopaki dziewczuszki, dziewczuszki w sięgających ziemi koszulkach, które nabrodziwszy się do woli w gęstej jak rtęć rosie do intymnej toalety pań, wynurzały się na powrót z krzaków - i znów to godne furmanów walenie pięścią w stół.

Pewnego razu zostawiłem w sieni domu przy ulicy Spalanej bernardyna, a kiedy ktoś przechodził obok, wołałem w mrok bramy:

- Misiu, Misiaczk, Misiu...

I ludzie uśmiechali się życzliwie w mrok sieni, ale gdy wybiegał bernardyn, uciekali przerażeni. Kiedy indziej w tej samej bramie zostawiłem ratlerka, a kiedy zbliżali się przechodnie, wybiegałem z sieni, wołając ze zgrozą w głosie:

- Ratuj się, kto może! Neron zerwał się z łańcucha!

I ludzie rzucali się do ucieczki, a kiedy spoglądali za siebie z daleka, z bramy wychodził trzęsący się ratlerek.

Ale tej nocy w Tyrolu stałem w Innsbrucku przed oświetlonym sklepem, papużki faliste całowały się, a inne, japońskie i australijskie, i białe zięby, i pokrzewki z zadowoleniem kiwały łebkami, tylko w szklanym terrarium nie próżnowały kanadyjskie chomiki, samica i pięć młodych stało słupka, a przednie łapki ześlizgiwały się nieustannie, te łapki tak bardzo podobne do ludzkich rąk, które wciąż przypuszczały, że ta bardzo wysoka szklana ściana przemieni się w drabinę, po której dotrą... dokąd? Po północy zjawił się właściciel w koszuli, podciągnął roletę, a kiedy spostrzegł kierunek mojego spojrzenia, wrócił do sklepu, przyniósł blaszany garnek, wsunął palec w zardzewiałą dziurę, poruszył nim i powiedział:

- Tatuś tych chomicząt próbował wczoraj wydostać się z tego garneczka z taką siłą, że poderżnął sobie gardło i udusił się. - I z ogłuszającym łoskotem ściągając roletę, dodał ze smutkiem: - Czterdzieści szylingów diabli wzięli! Najchętniej tobym wszystkimi cisnął o bruk!

A ja zacząłem dygotać, bo pewnej szalonej ofiarowałem policyjne kajdanki, takie dla dzieci, do zabawy, kajdanki, które kupiłem w Ameryce, ale ta szalona nie uważa ich pewnie za upominek, dopatruje się w nich szyfru, że zdolna jest zatrzasnąć te amerykańskie kajdanki na obu przegubach niczym signum i tak skuta kajdankami spać i poprzez dotyk domyślać się, że jedna jej ręka to moja ręka, że wobec tego można ten łańcuszek w akcie szaleńczej fantazji rozciągnąć z Pragi do Alpbach i w ten oto sposób spać ze mną, wpięta kręgiem kajdanek w pierścień mistycznego związku.

Pewien sławny czeski poeta kupił sobie białe tenisówki, a później, pijany, wsiadł do niewłaściwego pociągu, po czym musiał przez góry i lasy iść pieszo tam, dokąd zamierzał pojechać; zmęczony włożył sobie tenisówki pod głowę i przespał się na polance, potem zaś wędrował aż do zmroku, a kiedy spostrzegł coś białego wśród mchu, okazało się, że stanął znów nad swoimi białymi tenisówkami. Tego wieczora dotarła do mnie wiadomość, że mam czekać na połączenie telefoniczne z Pragą. Po czym stałem z pulsującą słuchawką.

- Halo, kto mówi? - spytałem.

- To ja - odparł zachrypnięty dziewczęcy głos. - Chciałam cię usłyszeć...

- Czy, broń Boże, ktoś w domu umarł? - ja na to.

- Nie - powiedziała - ale chciałam ci tylko powiedzieć, że podpaliłam dom i że dostaniesz list, w którym jest kluczyk od tych kajdanek.

- Ale, na miłość boską, nikt w domu nie zachorował, nie umarł?

- Umarł, nie umarł - odparła. - Ciągłe się ktoś rodzi, ciągle ktoś umiera... Ale posłuchaj: wrzuć ten kluczyk w jakąś toń, ja zatrzasnęłam te kajdanki, wrzuć ten kluczyk do jeziora, niech go woda pochłonie... Czy się na mnie gniewasz?

Siedziałem tego wieczora, zadumany, w restauracji koło poczty, któryś z podróżnych opowiadał, jak pewna jego krewna szła przez granicę z Czech do Austrii, wzięła ze sobą maleńkie dziecko, któremu na wszelki wypadek dała środek nasenny, a że na granicy była mgła, położyła dziecko w krzakach i ruszyła w poszukiwaniu granicy państwowej i drogi, ale nie znalazła ani tej granicy, ani tego dziecka. Ale tych amerykańskich kajdanek nie powinienem był kupować.

Nie tylko ja jeden spóźniłem się na ten wieczorny pociąg pospieszny. Czerwone światła ostatniego wagonu już się oddalały. Pośród waliz i walizek stała blada dziewczyna i wpatrywała się w podziemne przejście, skąd tragarze wynosili na noszach młodego człowieka, który miał włosy szesane na czoło i spoglądał spod nich nieufnie na świat. Pomogłem jej z walizami, a potem siedzieliśmy w restauracji dworcowej, głaskałem młodzieńca po rękach, dziewczyna powiedziała mi, że ma na imię Deborah, a jej brat - Jakub, że oboje pochodzą z Filadelfii i że wybrali się w podróż dookoła świata. A później Deborah kroić kotlet i opowiadała mi cicho, że oboje cierpią na chorobę, która nazywa się *muscular dystrophy*. A potem zieloną wstążeczką przywiązała widelec do rączki brata, która przypominała kleszcze, bo, jak mi łamaną niemieczyzną szepnęła, ta choroba żywi się tym, że pożera za życia ludzkie ciało. Chciałem dodać chłopcu odwagi, położyłem rękę na jego ramieniu i powiedziałem:

- Recht guten Appetit!

Ale młody podróżnik dookoła świata runął na wznak i porzucił kotlet po podłodze.

Kiedy posadziliśmy go i przywrócili do życia, Deborah zamówiła następny kotlet, a potem zaczęła go kroić, choroba molestowała już i jej ręce, i opowiadała mi cicho, że pewien amerykański śpiewak i tancerz poprosił stację telewizyjną o dwadzieścia cztery godziny i przez ten czas wyśpiewał i wytańczył milion dolarów, zobowiązawszy się przedtem, że cały ten milion dolarów stanie się kapitałem zakładowym funduszu do walki z chorobą, która nosi nazwę *muscular dystrophy*. A

potem znów przywiązała zieloną wstążką widelec do kleszczy brata, a on, ukryty za

gęstą ulewą spadających mu na czoło czarnych włosów, z nieufnością patrzył na otaczający go świat.

Jedliśmy kotlety i Deborah opowiadała cichym głosem, że Jerry Lewis, ten śpiewak i tancerz, miał w sąsiedztwie chłopca, który także cierpiał na *muscular*

*dystrophy*, i któremu Jerry obiecał, że zrobi do niego zabawną minę z ekranu telewizora, żeby więc uważnie patrzył. A nazajutrz, kiedy Jerry Lewis zamierzał spytać swojego młodego przyjaciela, czy tę śmieszoną minę zauważył, otworzyła mu matka chłopca i powiedziała, że chłopiec tę minę na ekranie telewizora widział, ale tak go to rozśmieszyło, że nie minęła minuta, a już nie żył.

Później przyszli tragarze i wytaszczyli podróżnika dookoła świata na peron, i wnieśli do pociągu. Siedzieliśmy w przedziale pierwszej klasy i pociąg mknął przez rozjaśnioną blaskiem księżyca krainę. W pięciu walizkach znajdowały się same mapy, ale mapa austriackich arcygórow odnalazła się dopiero w szóstej. Deborah rozłożyła tę mapę niczym ogromny pled na kolanach wszystkich podróżnych. Potem udało się jej odczytać nazwę pierwszej stacji, przez którą przemknęliśmy, i Jakub położył palec na tej samej stacji, ale na mapie. I wydobywał z siebie okrzyki zachwytu, że mapa zgadzała się z rzeczywistością, a rzeczywistość z mapą. Dziewczyna wycierała mu ślinę. A potem zaofiarowałem się i ogłaszałem nazwy stacji, i udawanym zapalem tak młodego podróżnika dookoła świata rozweseliłem, że uniósł obie ręce i kijkami palców rozgarnął sobie szesane na oczy włosy, i uśmiechnął się do mnie uśmiechem z odwrotnej strony rzeczy. Zmusił mnie, abyśmy z wolna uklękli i z podłogi spoglądali w górę aż na same wierzchołki lodowców, między którymi wisiał niekształtny księżyc niczym baseballowa piłka. A potem młody podróżnik dookoła świata z niebywałą dumą wskazywał palcem na mapie ten sam lodowiec, ale zmniejszony w skali jeden do dwudziestu pięciu tysięcy. Siostrzyczka nieustannie wycierała mu ślinę, a potem wskazującym lekko palcem liczyła walizy i walizki, po czym odetchnęła z ulgą, natychmiast jednak, przestraszona, zaczęła przeliczać dolary i dokumenty. A ja tymczasem wyjąłem kluczyk od poniklowanych policyjnych kajdanek, jakimi bawią się dzieci. Szlak kolejowy wiódł brzegiem jeziora, w którym arcygóry tak się odbijały, że młody podróżnik obracał głowę i chciał na niej stanąć. Siostrzyczka go przytrzymała. Przez otwarte okno wyrzuciłem kluczyk, błękitna woda go pochłonęła. Deborah, młoda podróżniczka dookoła świata, zaczęła nagle ni stąd, ni zowąd z ogromną powagą opowiadać, że jej dziadek kupił największy teleskop na świecie i teraz jego zabalsamowane ciało spoczywa w lawecie teleskopu i dokąd zwraca się ten teleskop, tam też w poszukiwaniu nowych gwiazd zwraca się też dziadek; że z kolei jej ojciec kupił największy batyskaf, obserwatorium naukowe na dnie

jeziora, że w tym batyskafie ma jednak zastrzeżone, że pod podłogą znajdzie się miejsce dla całej ich zabalsamowanej rodziny, i że do Filadelfii młodzi podróżnicy dookoła świata wrócą na dzień przez Wigilią, bo w dzień Bożego Narodzenia dowiedzą się, czy Jerry Lewis, śpiewak i tancerz, który wyśpiewał i wytańczył milion dolarów, czy aby nie tańczył i nie śpiewał na próżno!

Oczywiście, tych amerykańskich kajdanek nie powinienem był kupować.

Naprawdę nie powinienem.

---

PS

Ta pieśń dziadowska jest wspomnieniem o mężczyźnie o srebrzystej brodzie, z monoklem w oku, który przyjechał do Alpbach z Włoch; całą swoją wiedzę i osobowość postanowił poświęcić wzbogaceniu filozofii o myśli Ezry Pounda, Jamesa

Joyce'a, T.S. Eliota. Kilkakrotnie jedliśmy razem kolację. Mówił o sobie, że jest

*advocatus diaboli*, że jest „Stinkende Person von Alpbach”, że w tym roku zdobył dumny tytuł Alpentrottel. Że właśnie dlatego nie opuszcza go nadzieja, że napisze poemat, w którym sprowadzi do wspólnego mianownika filozofię Pounda i Joyce'a, i

Eliota z punktu widzenia Arthura Schopenhauera, którego skupienie, kiedy kończył właśnie formułować myśl: „Alle Liebe ist Mitleid”, rozproszyła posługaczka, którą zrzucił ze schodów i z tego powodu musiał jej płacić dożywotnią rentę, bo zwichnęła sobie nogę w biodrze. Tłumaczył mi to z zapalem i monokl spadł mu do talerza, a on wraz z kotлетem odciął nożem tasiemkę, na której wisiał ten monokl, i nawet tego nie zauważył. Dziś uświadomiłem sobie, że bawidulstwo tego człowieka jest równie piękne, jak podróż dookoła świata dwojga rodzeństwa, że kryje w sobie taką samą nadzieję, jak dwudziestoczworogodzinny występ telewizyjny Jerry'ego Lewisa, który wyśpiewał i wytańczył milion dolarów tylko po to, by je w całości wpłacić na fundusz badań naukowych, mających na celu leczenie niebezpiecznej choroby, która nazywa się *muscular dystrophy*, bo rzeczywiście: „Wszelka miłość to współczucie”.

### **Pieśń dziadowska o zamordowaniu Agnieszki Grozówny**

A więc, panie Peszaku, stało się, jak pan sobie tego życzył. Należymy już jeden do drugiego, jak zamordowana Agnieszka Grozówna do rzekomego zabójcy Hilsnera.

W końcu zaprzyjaźniliśmy się ze sobą i gdyby pan nie istniał, musiałbym pana

wymyślić, bo rozegraliśmy ze sobą kilka partii gry w dwadzieścia jeden, którą nazywa się też potocznie „oczkiem”, ale nie tak, jak się w tę grę grywa, to znaczy, że gracze nie odkrywają najpierw kart i przez chwilę sami się tylko nimi cieszą, ale zagraliśmy w te cztery listy w ten sposób, w jaki grywa się niekiedy w moich ukochanych stronach, a mianowicie tak, że ciągnięte karty od razu odwraca się i kładzie na stół, bo kolejności kart nie da się już zmienić i zmieniać. Można więc te nasze partie oczka rozgrywać też publicznie, na placach, na rogu ulic.

Wszystko to zaczęło się od tego, że przesłał mi pan kopię listu adresowanego do wydawnictwa *Pisarz Czechosłowacki*, listu, w którym słusznie strzelał pan z grubej rury, ostro!

„Sprawa: oczernianie i obraza honoru mojego ojca w opublikowanej przez wydawnictwo książce”.

A zaraz potem:

„Współpracujący z wydawnictwem pan Bohumil Hrabal, który w zeszłym roku opublikował książkę pod tytułem «Lekcje tańca dla zaawansowanych» w ordynarny sposób obraził pamięć mojego zmarłego ojca. Uczynił to na 64 s., gdzie o moim ojcu, który był jedynym koronnym świadkiem zeznającym przed dwiema ławami przysięgłych w sprawie wydarzeń w Polnej, mówi o nim jako o gamoniu i ośmiesza go, że ponoć «jedną ręką przytrzymał rower, drugą zaś się odlewał» i tak dalej. Ten sposób oczerniania uczciwego robotnika, który aż do śmierci był bez skazy i cieszył się w swoim miejscu zamieszkania i w okolicy ogromnym szacunkiem i poważaniem choćby dlatego, że we wspomnianym procesie nie dał się zastraszyć, choć grozono mu na wszelkie możliwe sposoby (podjęto próbę pozbawienia go wzroku, a nawet zamiast niego został «przez pomyłkę zamordowany inny», podobny do niego robotnik, nie dał się też przekupić poważną jak na owe czasy sumą, byleby tylko odwołał swoje zeznania. Również rodzina zamordowanej Agnieszki Grozówny została w tej książce poważnie obrażona, zwłaszcza absolutnie kłamliwym i wymyślonym twierdzeniem, że brat Agnieszki, Jan, który zmarł w Židrcu jako porządny człowiek, wyznał ponoć na łożu śmierci, że to on sam ją zamordował, i to dla pieniędzy!!! Czytelnicy «Biblioteki

Ludowej» zwrócili nam, mnie i członkom rodziny zmarłego Jana Grozy, uwagę na wspomnianą książkę Hrabala i zastrzegamy sobie prawo - zgodnie z Cywilnym

Kodeksem Karnym z 26 lutego 1964 roku, paragrafy 11, 15 i 16 - wejścia na drogę sądową, jeśli nie będzie nam dana publiczna satysfakcja i pisemne zapewnienie, że w ewentualnym kolejnym wydaniu czy też w przekładach tej książki owe obraźliwe wymysły

zostaną usunięte, by gdzie indziej zapewnić sobie sprawiedliwość”.

List ten, panie Peszaku, otrzymałem od pana w tym samym czasie, kiedy i inni czytelnicy zgłaszali się do mnie - i to nie listownie, ale osobiście - do domu, łomotali w moje okno, tak że aż przerażony zrywałem się znad maszyny do pisania, a przychodzili, aby mnie zawiadomić, że nie ma u nich wody, że pojemniki na śmieci, chociaż pełne, nie są wywożone, spoglądali na mnie surowo, boć przecież jestem pisarzem, wobec czego na pewno mam kontakty z tymi na górze, z nadbudową.

Przychodzili do mnie czytelnicy, którzy, kiedy padał deszcz, przychodzili mi wieczorem powiedzieć, że na dworze leje jak z cebra, kiedy było gorąco, przychodzili, by mnie zawiadomić, że na dworze upał, że oni przez cały dzień od białego rana harowali, podczas gdy ja objąłem się i bawiłem pisaniem i strojeniem żartów z porządnych ludzi, którzy za swoją pracę dostają parę groszy, ja zaś za swoją zabawę wielkie pieniądze. W owym czasie, kiedy dostałem pański list, panie Peszaku, wychodziłem, uciekałem przed swoimi czytelnikami do gospody, ale natychmiast z pierwszego piętra domu, z którego wyszedłem, wołała na mnie moja czytelniczka:

- A więc idzie pan do gospody słuchać, co ludzie gadają, aby to przepisać i wydać następną książkę, nieprawdaż?

A potem, kiedy siedziałem w gospodzie i w duchu odpowiadałem panu na list, przez cztery stoły wołali do mnie moi czytelnicy:

- Hej tam, niech pan tu przyjdzie, ktoś opowiada tutaj takie głupoty, że wystarczy to tylko zapisać, tak jak pan to robi, i będzie z tego książka za kolejnych dwadzieścia tysięcy.

Pewien mój przyjaciel, mój czytelnik i też pisarz, przyprowadził na sznurku swojego świrowatego kuzyna i ryczał na mnie na całą gospodę, żebym przysiadł się do nich, naślinił ołówek, a ten umysłowo chory naszcza mi nie jeden, ale pięć wiader dokładnie takich samych historyjek, za które płacą mi grube tysiące.

Napisałem wówczas do pana:

„Szanowny panie Peszaku, otrzymałem kopię listu, jaki wysłał pan do wydawnictwa  
*Pisarz*

*Czechosłowacki*, i zważyło mnie to bez mała z nóg. Nigdy nie zamierzałem obrazić człowieka, jeśli nawet użyłem w tekście słowa: gamoń. Nie pisałem historii miasteczka, ale pogawędkę z gospody, rodzaj gadki, która chciała w pierwszym rzędzie pokazać siłę ludowej gawędy. Skończyłem studia prawnicze i znam przepisy o ochronie czci, gdybym więc wziął ołówek i analizował tekst z tego punktu widzenia, z jakiego na mój tekst patrzy pan, bez trudu zmieniłbym, a więc już z góry odrzucił te wiadomości, jakie mogłyby stanowić pretekst do

oskarżeń. Ale mnie szło w pierwszym rzędzie o literaturę, gdzie wprawdzie nie wszystko jest dozwolone, ale gdzie pewne wiadomości mogą być użyte, zdeformowane w nieznacznym sposobie zamysłem pisarza.

Jeśli, oczywiście, uważa pan, że oszkalowałem i ordynarnie napadłem na pańskiego ojca, nie tylko tym listem pana przepraszam, ale przy okazji przeproszę również - publicznie - rodzinę Grozów. Opisałem wydarzenia w wersji, w jakiej je słyszałem.

Mogłem użyć w tekście słowa: podobno, które chyba nawet pierwotnie tam było. Ale raz jeszcze podkreślam, że w książce w grę wchodzi literatura, przesada, artystyczne opracowanie gawędy ludowej, że nie ma tu absolutnie mowy o faktografii. W

miesięczniku «Plamen» ukazała się recenzja mojej książki pod tytułem: «Pan Hrabal to ma dobrze». Jak widać, wcale tak dobrze nie mam, bo za to, że wprowadziłem do swojej prozy szewca i mielcarza i udowodniłem w ten sposób, że siła literatury może wywodzić się wprost od zwykłych ludzi, otrzymuję teraz listy, które świadczą o wszystkim, tylko nie o tym, że «Pan Hrabal to ma dobrze»,.

Pisałem właśnie do pana, panie Peszaku, który ma moje pisarstwo pod ostrym nadzorem, a tu już łomocze mi w okno inny czytelnik, który przybywa z radosną nowiną, że mnie sfotografuje, ale nie może mi dać ani jednego zdjęcia, bo najładniejsze z nich powiesi sobie na gwoździu, kiedy niebawem umrę. A potem z gromkim śmiechem wyjaśnia mi i tłumaczy z obcych języków, że tylko patrzeć, jak literacko umrę, bo przekroczyłem już swój zenit, a w Ameryce, jak mi dowodził, istnieją tablice ilustrujące ten upadek, według których w ciągu co najwyżej dwóch lat zdechnę zgodnie ze starymi afrykańskimi obyczajami opisanymi w dziełku „Złota gałąź”, gdzie czarownik tak długo panuje pod drzewem, dopóki nie zjawi się ktoś silniejszy, ułame gałąź z tego drzewa i gałęzią tą czarownika zabije, sam zaś króluje pod tym drzewem i nad plemieniem tak długo, aż znowu zjawi się ktoś młodszy i ułame gałąź, i gałęzią tą zatłucze tego, kto zajął tron dlatego, że, będąc młodszy, gałąź ułamał. I tak czasami, panie Peszaku, usypiam po północy, kiedy łyknąłem lupulin pod postacią piw i bellaspon-retard, ktoś wali w drzwi domu niczym w kotły w „Piątej symfonii” Beethovena, po ganku na dworze chodzą sąsiedzi, także moi czytelnicy, potem jeden z nich łomocze mi w okno, zrywam się przerażony, a sąsiad w białej koszuli z obrzydzeniem mnie powiadamia:

- Ma pan znów tam na dole jakiegoś swojego czytelnika!

Wychodzę więc w długiej białej koszuli, a tam na dworze stoi mój uradowany czytelnik, pijany w sztok, przedstawia mi swojego kolegę, jestem przerażony, bo jego kolega mówi przez rurkę, ma raka krtani, a mój czytelnik pcha się do mnie, bo w ostatniej gospodzie,



nim ich wyrzucili, powiedzieli im, że w nocy można się napić jedynie w knajpie u Hrabalów pod numerem dwadzieścia cztery.

A potem rano, zanim, panie Peszaku, zaniósłem list do pana na pocztę, zjawia się obłąkana czytelniczka, która twierdzi o mnie, że jestem negatywnym mistykiem i że wobec tego podjęła się zadania doprowadzenia mnie do Boga. Na próżno zapewniam ją, że wcale tak nie jest, ciągle pełna jest zapału i ze wszystkiego, co robię, wyczuwa, że jestem negatywnym mistykiem i że doprowadzi mnie do Boga po dobroci lub po złości, bo Panu Bogu to obojętne. A już niebawem zderzam się w drzwiach z kolejną czytelniczką, której inne czytelniczki powierzyły zadanie zaproszenia mnie do ich kółka czytelniczego, bym porozmawiał z nimi na temat: Dlaczego piszę takie piękne książki? A ja bronię się, że chciałbym pisać, że nie daję sobie z pisaniem rady, że - by użyć ludowego zwrotu - idzie mi jak po grudzie. No i upoważniona czytelniczka proponuje mi, że wobec tego raz na tydzień kółko czytelnicze zjawi się u mnie, by mi w tym pisaniu pomóc. Bardzo w to wątpię i wrzucam list do pana, panie Peszaku, do skrzynki pocztowej, a czytelniczka zgrzyta straszliwie oczyma, wymierza we mnie palec niczym finkę i wścieka się:

- A więc chce pan powiedzieć, że pisarz nie potrzebuje kontaktu ze swoimi czytelnikami?

A więc, panie Peszaku, oczekując na pańską odpowiedź, pomyślałem sobie nagle, że będzie lepiej, jak na pewien czas zniknę czytelnikom z oczu jak ta podziemna rzeczka Punkwa, bo zacząłem odkrywać u siebie niezdrowy kompleks horroru, grozy.

Jak tylko usłyszałem na podwórku kroki, natychmiast padałem na ziemię i wpełza-łem pod stół. Jednakże moi czytelnicy, nawet gdy jestem zamknięty, widzą nawet przez stół i przez ściany. I tak łomocą w okna, jakby widzieli mnie siedzącego na krześle.

- Widzimy pana! - pokrzykują, a ja na czworakach wycofuję się spod stołu, otwieram, tłumacząc, że gumka mi się potoczyła pod stół. A potem wpadłem na pomysł, że będę pisać, przygotowany nieustannie do wyjścia, w kapeluszu na głowie.

Kiedy jakiś czytelnik pukał w szybę, chwyciłem teczkę i radosnym głosem mówiłem:

- Niestety, za pół godziny muszę być w Agencji Autorskiej...

Ale czytelnicy, którzy widzą mnie nawet przez ścianę, powiadają:

- No to my pojedziemy z panem!

I muszę jechać na Wyszehrad, muszę odwiedzać urzędy i osoby, które wcale mnie nie zapraszały, i wracam do domu zmęczony i moralnie zdziesiątkowany bardziej, niż gdybym siedział ze swoim czytelnikiem w przyjacielskiej rozmowie w domu.

Kiedy więc otrzymałem pański list, najpierw umyłem ręce, potem wybrałem się na

przechadzkę i dopiero wtedy otwarłem ten list, ale najpierw przeczytałem gazety, a kiedy się uspokoiłem, zacząłem czytać:

„Panie Hrabalu, otrzymałem pański list bez daty, na który odpisuję, mimo że pańska odpowiedź absolutnie mnie nie zadowala. Przede wszystkim zaznaczam, że nie chcę sprawiać panu kłopotów czy też wyrządzać jakiegóś szkody, ale na pewno jako absolwent prawa przyzna pan, że to, co w swoim liście przedstawia pan jako usprawiedliwienie niesprawiedliwego ataku na cześć i honor mojego ojca i rodziny Grozów, wcale nie jest satysfakcją we właściwym tego słowa znaczeniu, lecz tylko motywacją, która prowadziła do napisania pańskiej artystycznej fantasmagorii! Co to, to nie, panie

Hrabalu! Albo usprawiedliwi się pan publicznie i oświadczy pisemnie, że w ewentualnym drugim wydaniu «Lekcji tańca» czy prawdopodobnym przekładzie na inny język ów nieprawdziwy pasaż na dobre pan usunie, w przeciwnym bowiem razie bylibyśmy zmuszeni zwrócić się gdzie indziej. Szeptaną propagandę o «przyznaniu się» Grozy zaczęły szerzyć pewne kręgi, którym zależało na przedstawieniu prawdy w niewłaściwym świetle natychmiast po jego śmierci, ale wkrótce ludzie ci przekonali się, że istnieją świadkowie nie tylko owej tak wstrząsającej ongiś tragedii, lecz także jego bliscy, którzy służyli mu aż do śmierci i w których ramionach wyzionął ducha.

Uczynić z absolutnie nieposzlakowanego człowieka sprawcę rabunkowego morderstwa - to z pewnością nie bagatela, tak samo jak z uczciwego robotnika, który przypadkiem staje się koronnym świadkiem, «gamonia», «obciążonego» na dodatek naturalnymi odruchami! Pozostawiam panu, szanowny panie Hrabalu, decyzję, jak zechce pan tę w sumie niesmaczną sprawę zakończyć, przypuszczam jednak, że któraś z gazet niedzielnych chętnie wydrukowałaby pańskie krytyczne sprostowanie, przy czym stanowiłoby to także rodzaj reklamy pańskiego dzieła artystycznego, popularyzującego - jak pan pisze - ludową gawędę”.

Kiedy skończyłem czytać, zapadł już zmrok, serce waliło mi jak młotem.

Największym przerażeniem jednak, panie Peszaku, napawają mnie czytelnicy, którzy nie pukają, nie tłuką pięścią w okno. Prawdziwy horror to ci, którzy przychodzą o zmierzchu, cichutko, na palcach, stoją i chroni ich ściana, widać tylko ich niewyraźny profil, to czytelnicy, którzy nie chcą ze mną rozmawiać, którzy chcą tylko zobaczyć, co robię, kiedy myślę, że nie jestem widziany. A ja natychmiast wyczuwam to spojrzenie z gęstniejącego wieczoru, wstaję, po czym przez chwilę patrzymy na siebie z rozmażanym czytelnikiem, który zlewa się z błękitnym wieczorem, skąd błyszczą jedynie jego oczy, dopiero kiedy mi się kłania, można rozróżnić jego sylwetkę. Tacy czytelnicy pozostają w ukryciu na moim

podwórku nieraz całymi godzinami.

Wychodzę, wyciągam w mrok ręce, dotykam palcami ust brodacza i krzyczę ze zgrozy.

A mój czytelnik przyszedł mi tylko powiedzieć, że miał sen i wizję, że popełniłem samobójstwo. I oddała się, cichutki, na filcowych podeszwach, jakby go porwał wiatr.

A ja tak nie znoszę dotknięć, których nie oczekuję! I teraz, ilekroć idę, ostrożnie i w skupieniu wysypuję popiół do pojemnika na śmieci, nikogo na podwórku, obracam się, a przede mną stoi niczym mur obronny ów brodacz na filcowych podeszwach i uśmiecha się nieznacznie. A ja widzę, że cieszy się, że mnie widzi, że nie popełniłem tego samobójstwa.

Nadszedł czas, panie Peszaku, kiedy mogłem do pana napisać:

„Szanowny Panie Peszaku, w odpowiedzi na pański list donoszę z radością, że drugie wydanie «Lekcji tańca», które ma ukazać się jesienią, wyjdzie już bez zdań, które pana dotykały.

Zaznaczam, że informację o przyznaniu się Grozy słyszałem, a potem czytałem w zeszłorocznej gazecie, i że wiadomość o pańskim panu ojcu czytałem w dziele pana

Perzyny «Hilsneriada», gdzie napisano - jako cytat z akt sądowych - że koronny świadek «jedną ręką przytrzymał rower, drugą zaś się odlewał». A więc wszystko przejąłem z już napisanego, jak o tym świadczą cytaty. Mnie jednak idzie o rzecz zupełnie inną, idzie mi o pański pogląd, o pańskie poczucie, że obraziłem przyzwoitego człowieka, wobec czego nie tylko się usprawiedliwiłem, ale - co więcej -

obiecałem, że uczynię to też publicznie. Niechże więc będzie pan tak łaskawy i pomoże mi teraz sformułować też to usprawiedliwienie. Muszę uwzględnić w nim nie tylko pańskie nazwisko, ale i daty, i tytuły nie tylko gazet, w których zostało opublikowane przyznanie się Jana Grozy na łożu śmierci, a także stronicę książki «Hilsneriada».

Zaznaczam, że na razie nikt nie wie, że ten świadek koronny to pański zmarły ojciec, a więc muszę też wymienić jego imię i nazwisko, a więc nazwisko, które rozejdzie się w nakładzie stu dwudziestu tysięcy egzemplarzy po całym kraju, gdybym to uczynił na łamach «Gazety Literackiej». Wobec tego proszę pana, aby mi pan pomógł i napisał, jak - pańskim zdaniem - to usprawiedliwienie, te przeprosimy miałyby brzmieć.

Dobrze?”

I od tej pory, panie Peszaku, kiedy odpisałem na pański list i czekałem na pańską odpowiedź, nigdy nie zapominam zaciągnąć kotar, zostawiam tylko szparę, by mieć światło, zamykam drzwi i wyciągam klucz, bo czytelnicy moi zaglądają nawet przez dziurkę od klucza, jeśli klucz nie tkwi w niej z drugiej strony. No i siedzę tam w domu w półmroku,

serce mi wali, kiedy słyszę radosne kroki czytelników, słyszę, jak kroki zatrzymują się, ręka ujmuje klamkę, potem kroki ruszają ku zasłoniętemu oknu, słyszę, jak czytelnik staje na palcach, jak robi sobie z ręki daszek, jak opiera się lekko o szybę okienną i spogląda przez szparę między kotarami, po czym kilka tanecznych kroków i spogląda na cały dom, i nasłuchuje, podczas gdy ja odchyłam się do tyłu na krzesło i kryję głowę w zakurzonej kotarze, serce mi wali, niczym «Osierocone dzie-cię» Ale sza wciskam się w kąt, a potem nagle ciężkie kroki oddalają się po płytkach podwórka, po czym znów się zatrzymują, chwila ciszy, i naraz czytelnik wybucha śmiechem, wysokim, ostrym śmiechem, a potem wybiega leciutko i zatrząskuje za sobą drzwi jak wieko trumny. A ja odchylony do tyłu, z głową wplątaną w kotarę wiem, że dla czytelnika jestem w domu, mimo iż w domu nie jestem, że ten, który odszedł, odgadł mnie za tą kurtyną i właśnie z tego śmiał się tak przeraźliwie. Ale to już, panie Peszaku, Dostojewski, i ten śmiech czytelnika to śmiech Dostojewskiego, a kiedy Dostojewski się śmiał, prosili go, aby raczej płakał.

W owym czasie zacząłem stawiać mylne kroki, na przykład: aby przeczytać pocztówkę, wzięłem okulary, potem chusteczkę i zamiast okularów wycierałem pieczołowicie tę pocztówkę. A potem, panie Peszaku, otrzymałem pański list.

„Szanowny panie Hrabalu, proszę mi wybaczyć, że tak późno odpisuję na pański list. Trochę chorowałem, a ponadto nie miałem pod ręką wymienionych przez pana źródeł, z których, jak pan przyznaje, zaczerpnął pan owe «pewne» wiadomości do swoich «Lekcji tańca».

Przede wszystkim postarałem się dodatkowo o wyciąg z dosłownego protokołu stenograficznego kutnogórskiej ławy przysięgłych, przed którą mój świętej pamięci ojciec zeznaje, co następuje: Przewodniczący: «Dlaczego się pan zatrzymał?»

Świadek: «Mam taki zwyczaj, że z radością spoglądam na ten młodnik, bo w Brzezynie tanio kupowałem drwa. Odlewałem się i patrzyłem». Przewodniczący: «Co pan widział?» Świadek: «Człowieka w szarym ubraniu, wspierał się białą laską o ziemię i spoglądał w stronę miasta». Itd. Jediną paralelę, w znacznym zresztą stopniu odmienną od owej cytowanej przez pana, piszę ze spacją, aby zrozumiał pan, że jedną ręką nie przytrzymał roweru, a drugą się nie odlewał - jak jeden Bóg wie skąd pan -

według powtarzanego twierdzenia pańskiego - przepisał. Wątpię, że to z

«Hilsneriady», albowiem - na ile mogłem to porównać - autor trzymał się dokumentów urzędowych i nic nie wymyślał. Zresztą jako prawnik zna pan prawo autorskie. Oczywiście, że tak! Dlaczego więc nie podał pan źródła i przede wszystkim dlaczego nie poprosił pan o zgodę autora, którego nazwisko wszakże pan zna? Ale niech pan będzie

spokojny. W wymienionym przez pana dziele tego nie ma, a więc nie mógł pan przepisać tego stamtąd. Przynajmniej nie z cytowanych przez pana źródeł.

Okazuje się w końcu, że to nic innego jak pogawędki w gospodzie szewca z mielarzem w podchmielonym stanie, jak pan to w swoim pierwszym liście napisał.

Prosi pan także, abym panu - prawnikowi - ja, laik, pomógł sformułować to usprawiedliwienie. A więc mogłoby to - moim zdaniem - wyglądać następująco:

### Sprostowanie

Wprowadzony w błąd fałszywymi informacjami napisałem w «Lekcjach tańca» artykuł o zabójstwie Agnieszki Grozówny w Polnej, którego dokonano przed sześćdziesięciu sześciu laty, i w związku z tym w obraźliwy sposób naruszyłem cześć i honor świadka koronnego Piotra Peszaka, nazywając go gamoniem. Oskarżyłem również brata zamordowanej dziewczyny o udział w zbrodni popełnionej na rodzonej siostrze i aby dodać wiarygodności temu zmyślonemu twierdzeniu, napisałem, że wzmiankowany przyznał się do tego na łożu śmierci. Ponieważ przekonałem się, że w obu twierdzeniach nie ma ani śliska prawdy, uznaję ten artykuł za nieprawdziwy i rezygnuję z niego. Jednocześnie proszę zarówno syna, Franciszka Peszaka, jak i rodzinę Jana Grozy o wybaczenie i wyrażam żal, że do czegoś takiego mogło w ogóle dojść.

Bohumil Hrabal, literat

To, moim zdaniem, dawałoby nam żadaną satysfakcję. Nazwisko mojego świętej pamięci ojca jeszcze dziś znane jest na całym świecie, nie musi choćby w najmniejszym stopniu bać się opinii publicznej. Pojawiało się chwalebnie w całej niemal prasie światowej, w niezliczonych publikacjach w wielu językach, nawet w

Ameryce i w Australii. Na koniec chcę tylko zauważyć, że sprawa Agnieszki Grozówny jest sama w sobie tak tragiczna, że absolutnie nie nadaje się do żadnej satyrycznej książki, niechże więc pan żadną miarą nie żałuje, że pan to wykreślił”.

A więc wykreśliłem to i przepraszam. Piszę do pana, panie Peszaku, że tak jak przeżywałem oscylację naszej korespondencji, tej wymiany latających między Libnią a

Polną piłeczek pingpongowych, że zupełnie tak samo przeżywałem i żyłem wszystkimi listami, które do mnie przychodziły, żyłem wszystkimi słowami, którymi moi czytelnicy chcieli mnie pocieszyć albo zranić. Mogę panu tylko napisać, że rozsunąłem znów kotary, że otwarłem znów drzwi i okna, że moje szczęście to znów głośna samotność i spokój pośród rozmów z czytelnikami i pośród łoskotu ulic. Gównu mi to pomogło, choć tak musiało

być, że ukrywałem się zamknięty, za kotarami. Przecież będąc w domu, byłem na dworze, tak jak będąc na dworze, byłem naprawdę w domu.

Otwarłem nie tylko swój dom, ale otworzyłem też samego siebie, odnowiłem się, nadal jestem piszącą ręką, która chwyta, odbija i oddaje latające białe pingpongowe piłeczki, wypełnione ładunkiem humoru i wyobraźni. Jestem nie tylko tą ręką odbijającą na powrót piłeczki do tych innych, którzy na mój stół smeczują i zagrywają piłeczki pod postacią listów i słów, i gestów, ale ja sam jestem też tym stołem, od którego piłeczki odskakują, aby moi czytelnicy zwracali mi je, ci czytelnicy po drugiej stronie zielonego stołu, za niewidzialną siatką. Czasami piłeczki te przychodzą na mój stół z bardzo daleka, ale moim zadaniem jest odbijanie ich na powrót, odbijanie uderzeń wzbogaconych o moje uderzenia, o moje pochylenie rakiety... czasami nawet o nieładne czy niezręczne, ale nigdy nie umyślne wybijanie na aut albo w ogóle niepodbieganie do piłeczki.

---

PS

Z ręką na sercu, panie Peszaku, niekiedy cholernie trudno w historycznych ziemiach czeskich być pisarzem, cholernie trudno, niekiedy ogromnie trudno, tak że choć w mordę bij, jak powiada nasz dobrotliwy lud.

### **Pieśń dziadowska o egzekucji publicznej**

Prasa codzienna przyniosła informację, że w dniu czternastego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku sąd powiatowy w Brzeclawiu skazał na karę śmierci zwyrodniałego mordercę Alojzego Polacha, lat dziewiętnaście, za zbrodnie z lubieżności popełnione na czteroletniej dziewczynce i za seksualne wykorzystywanie dzieci i siedemdziesięcioletnich staruszek.

Po co by dziś ludzie mieli się mordować, skoro w telewizji robi to za nich

Czasławska? Mimo że Czasławską kocham, to jednak bardziej mi zależy na pół milionie mam, które same z siebie i dla siebie chodzą gimnastykować się na letnim placu ćwiczeń. I jakież ma znaczenie, że niektóre z nich są matkami czworga dzieci, a inne znów przekroczyły już pięćdziesiąty rok życia?

Morderca Alojzy Polach jest prototypem człowieka wychowanego na duchowej strawie „głęboko humanistycznego” pisarza Hrabala, który w jednej ze swoich kreacji wyraźnie mówi o tym, że musi się powstrzymywać, aby dla piękna nie popełnić zbrodni z

lubieżności i że kobiety kochają przestępców.

A zresztą, jeśli uważnie czytamy Biblię, stwierdzamy, że pełno w niej tak samo dwuznacznych scen i obscenicznych wydarzeń. Jedyne w ten sposób można słusznie i sprawiedliwie zaskoczyć czy też zgorszyć czytelnika, wywołać w nim pragnienie miłej rozmowy z autorem w jakiejś gospódce albo też poczekania na niego i sprania go po gębie, tak by rodzona matka go nie poznała.

Dzieło Bohumila Hrabala to kamień młyński na szyi naszego życia ekonomicznego i każdego innego, dzieło, które nie pozwoli nam ruszyć z miejsca dopóty, dopóki nasze radio, telewizja i prasa będą za nasze pieniądze kształtować opinię publiczną, wychwalając duchowe ekskrementy i wymiociny, jakimi onanizuje się publicznie to dwunogie bydło - B. Hrabal.

Tak, współczesna sztuka potęguje duchowy chaos, a agrafka syntezy, taka agrafka zawsze kłuje do żywego. W ten sposób prawdziwy aspekt wypowiedzi pozostawia za sobą z zasady krzyk i bliznę. Oczywiście, także duch ze szczególnym apetytem nie żywi się niczym innym jak kamieniami żółciowymi, które popija łzami cierpienia i śmiechu.

Na szubienicę! Oto gdzie miejsce Bohumila Hrabala i podobnych do niego zwyrodnialców; niestety, nie żyje sam, taka jest większość naszych pisarzy i działaczy kulturalnych. Na szubienicę! Czyż literatura jest gnojówką, wylęgarnią na wielką skalę zwyrodniałych morderców z lubieżności, młodocianych i dziecięcych syfilityków, zbrodniarzy i pijaków jako takich? Na szubienicę!

Eman Frynta powiedział mi pewnego razu, że w swoich tekstach usiłuję uchwycić człowieka w szczytowym punkcie jego sytuacji konwersacyjnej, zupełnie tak samo, jak zabiega o to fotograf w zdjęciu migawkowym. I dodał, że taką metodę podejścia do pisania określiłby jako „leicastyl”. Szkoda, że sam na to nie wpadłem. Ja rzeczywiście wałęsam się po świecie z uchem nastawionym na taką konwersacyjną migawkę. I, rzecz jasna, kiedy trafia mi się taka gratka, natychmiast pstrykam ją leicastylem i utrwalam w mózgu. A później boję się o siebie, aby spadający z dachu gont nie wybił mi tej przepięknej migawki z głowy. Rzeczywiście, niekiedy zapładnia mnie to, co poza mną, na dworze.

Nuże, towarzysze, wytrwajcie! Nie dajcie się i stójcie za swoim ucieleśnionym przedstawicielem, choćby nawet miał przemienić się w obnażony swobodny tyłek.

Wszyscy za socjalistyczną kulturą, cesarza pana i Bohumila Hrabala, wszyscy jak jeden mąż!

Od dzieciństwa podniecały mnie przygody Dzikiego Billa, Buffalo Billa, Skórzanej Pończochy, po dziś dzień wzrusza mnie ich przyjaźń, przyjaźń tych bohaterów, z Winnetou, Wanagą i innymi szlachetnymi barbarzyńcami, których moralność i szlachetność po dziś

dzień sugeruje mi wizję złotego wieku, kiedy zło zostawało zawsze ukarane, a dobro ocalone w ostatniej chwili przez ludzi, owładniętych naiwną wiarą w wolność i sprawiedliwość, i piękno, i konieczność walki w imię tych wartości nawet za cenę śmierci.

Gdyby jednak publicznie powieszono Hrabala, a morderca z Brzeclawia, Alojzy

Polach, dostał jedynie osiem miesięcy w zawieszeniu - oznaczałoby to rewolucyjny punkt zwrotny, od którego musiano by datować nasz zwrot ku rzeczywiście nowemu systemowi, ku prawdziwemu socjalizmowi.

A jednak myślę, że dziesiątki tysięcy czytelników są już dalej. Sądzę tak na podstawie tego, że teksty, które - kiedy je pisałem - budziły mnie w nocy i wywoływały lęk, tak że pocilem się i wyskakiwałem z łóżka, ale kiedy w końcu tekst stał twarzą w twarz z czytelnikiem i szczyrzył do niego zęby z każdej linijki, spostrzegłem, że wobec wymagającego czytelnika mam wyłamane zęby i jestem poskromiony. Dopiero teraz widzę, że do prawdziwego czytelnika trzeba strzelać każdym zdaniem wprost z biodra, zdjąć wszelkie kagańce, usunąć wszelkie przeszkody.

Spróbujcie tylko zatrząść królewskim tronem starego świntucha i zbrojeńca, Hrabala! To przerażające, że w socjalistycznym państwie tyłek jest centrum człowieka, a publiczny wychodek - centrum świata!

Jedną z najcenniejszych postaci powieści światowej jest Szwejk, jest on w pewnym sensie nosicielem naszego charakteru narodowego. Wzruszają mnie na portrecie Haszka te jego gatki w paski, te jego robiące nieśmiało na drutach paluszki i te jego po dziecięcemu wystraszone oczy. W jednym ze swoich wierszy Ginsberg powiada:

*Ignu tyle wie co anioł,  
ignu to anioł  
de facto w komicznej postaci,  
ignu żyje tylko raz i wiecznie  
i zdaje sobie z tego sprawę...  
Kto was wprowadza w zdumienie,  
to ignu,  
i powiadomcie mnie o tym.*

Nasze życie kulturalne tworzą dziś mianowicie sami więksi lub mniejsi ignoranci, to znaczy więcej czy mniej nieokrzesanych i grubiańskich Hrabalów, którego nazwisko wraz z superlatywami odmiennie jest we wszystkich przypadkach we wszystkich czasopismach, w



radiu i w telewizji.

Dla mnie taki futbol toczy się jednocześnie w dwu planach. Ten pierwszy - rzeczywisty - to gra na boisku, ten drugi unosi się nad poruszającymi się graczami niczym w zwierciadle snów. A kiedy oba te plany podczas gry przenikają się nawzajem, wtedy zdarzają się idealne podania, idealne dośrodkowania, idealne gole. I

to sprawia radość! Jednakże piłka nożna to gra, w której z zasady nie wygrywa ten lepszy. I stąd te tragedie, te katastrofy, ten żal.

A wyrzutkami ludzkości, taplającymi się w oryginalny sposób w kałużach, nie warto sobie brudzić rąk. Robią wszystko, aby jak najszybciej wytłuc się nawzajem, na przekór swoim wytapetowanym i miękkim korytom.

Tak serio, przyjaciele, z ręką na sercu, co mężczyźni na tym świecie lubią, kiedy wracają z pracy? Pozostawiając na boku wdzięki kobiecego ciała, stwierdzam, że mężczyźni na całym świecie najchętniej popijają sobie tak długo, aż pojawi się swojego rodzaju euforia, w której to każdy tyle na siebie nagada, że nazajutrz ogarnia go przerażenie, kiedy próbuje ułożyć ze strzępów obraz, jaki poprzedniego dnia się rozpadł.

Oto dlaczego Bohumil Hrabal powinien zawisnąć na szubienicy! Ci, których sądzą trybunały, to tylko jego ofiary, i, niestety, także nasze i wasze dzieci. Jeśli nie pomożecie wpłynąć na brzeclawskich sędziów, musicie pomóc zlikwidować ten publiczny wychodek, w jaki przemieniło się nasze życie kulturalne. Człowiek wprawdzie istnieje już bardzo długo, a seks równie długo jak człowiek, ale - patrzcie no tylko! - dopiero postępowi pisarze czescy z towarzyszem Hrabalem na czele znaleźli dlań właściwe miejsce: służbę dupie i zaspokajanie jej zachcianek. *Bravo,*

*bravissimo*, tylko tak dalej!

Jako że w pisaniu najistotniejsze jest to, czego nie pisać i w jaki sposób wypełniać prześwity, uczłowieczyłem gankowe plotki i pamflet, i potwarz, doprowadziłem do sytuacji granicznych błyskotliwość pleciuchów i ich figle, które kończą się niekiedy w komisariacie policji lub w szpitalu. Wszakże nie tylko runęły niebiosa, ale zniknął mit, alegoria, symbol. Każdy człowiek chodzi dziś do pracy, nie może więc być wykroczeniem, jeśli w wolnym czasie chce swoje niepowtarzalne życie przeżyć bez reszty w suwerennej imaginacji indywiduum, bo człowiek nie tylko że nie może być niezależny w duchu, jeśli nie jest też niezależny społecznie, jak uczył Andre

Breton, ale i - jak dodaje pan Maryško - człowiek nie może być niezależny społecznie, jeśli nie będzie też niezależny w duchu.

Pisarze jako tacy z pewnością uczynią wszystko, by trybunał brzeclawski nie popełnił

pomyłki sądowej i nie dokonał kanonizacji zwyrodniałego mordercy seksualnego Alojzego Polacha jako najwybitniejszego i najbardziej postępowego ucznia Hrabala.

Ogromna szkoda, że nie znajdowałem się wówczas w tej drezynie o napędzie pedałowym, która wyjechała z Porzeczan w mgle, za nią puszczono pociąg towarowy z lokomotywą na końcu składu, i ten pociąg towarowy uderzył w tył tej drezyny, i dwaj pedałuujący kolejarze polecieeli łukiem na pobocze i koziołkując, stoczyli się po nasypie do rowu, ale pociąg towarowy przemienił drezynę w kupę złomu, a dróżnik wisiał na kondensatorze jak ręcznik na rurze, a w końcu wyłoniła się z mgły lokomotywa i woźnica pokazywał batem maszyniście, kogo to wiezie na zderzaku. Szkoda, że zamiast pana dróżnika nie wisiałem wówczas na tym kondensatorze ja! Wielka szkoda. To by musiało być doznanie na całe życie.

Wierzę teraz, że nawet młodzież zwodziona i deprawowana przez starego, zdegenerowanego bydlaka Hrabala, w swojej większości przeżyje to bez większego uszczerbku właśnie dlatego, że jest młoda, podczas gdy Hrabal wyżywa się tylko w tej swojej paplaninie. Cała ta reszta to tylko zabawki dla dzieci, grzechotki dla niemowląt, takie same jak na przykład telepatia albo spirytyzm.

Współczesna proza powstaje w wyniku pewnej opozycji, dążenia do odkrywania zakazanego, kiedy w uchylone drzwi wsuwa się czubek buta, potem całe kolano. Jedynie przez otwarte na poły drzwi może wtargnąć ten świeży prąd powietrza, który nazywamy: przestrzeń twórcza. I tak dzięki indywidualnemu doznaniu krzepną wspólne niebiosa i z roku na rok, a więc także na rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy, dostawiamy kolejne schody serdecznych życzeń, kubek w kubek podobni do libeńskiego węglarza, który ustawiwszy wszystkie schody, jakie w ciągu trzydziestu lat przebył, nosząc ludziom węgiel, doszedł z tą swoją putnią aż na księżyc.

---

PS

Montaż tej pieśni dziadowskiej powstał w wyniku rytmicznego przeplatania wycinków z dwóch obszernych listów anonimowych oraz fragmentów moich gloss i uwag publikowanych w różnych naszych pismach periodycznych i na łamach prasy.

**Postscriptum**

Legendę o każdym człowieku można usłyszeć nie tylko w kręgu rodzinnym, wśród bliskich i dalszych krewnych i powinowatych, legendę o sobie samym tworzy też każdy człowiek. Każdy człowiek może opowiadać cały zestaw legend, tak aby sokami wyobraźni i miłosiernych kłamstw doprowadzić do końca, zaokrąglić wewnętrznie i scalić określoną historię, która przekracza granice swojego istnienia i zmierza ku transcendencji. Wesela i stypy są odpowiednim miejscem sprzyjającym rodzeniu się ustnej tradycji rodzinnych legend.

Jednakże tym miejscem najważniejszym, gdzie legendy powstają, zaokrąglają się wewnętrznie i scalają, są gospody ze stałymi bywalcami, którzy na przestrzeni kilku lat i dziesięcioleci potrafią opowiadać legendy o obecnych i nieobecnych albo nawet o nieistniejących ludziach - w sensie stopniowania i przewartościowania, jak to się dzieje w grze w ferbla i mariasza, kiedy zawsze ten, kto opowiada, zostaje przebity atutem przez tego, który zamierza opowiadać.

I tak oto przy piwie można poznać legendy niezwykle nie tylko od strony treści, lecz także formy i jej narastania, zwłaszcza kiedy jako uczestnicy mamy możliwość być świadkami pierwszych punktów zaczepienia rzeczywistości, nad którą pracuje następnie wyobraźnia zbiorowa tak długo, aż powstanie legenda, do której nic już nie można dodać ani nic z niej ująć, kształt, który jest wewnętrznie zaokrąglony i scalony jako artefakt, jako anegdota, jako portret. Można przypuszczać, że na świecie jest co najmniej tyle legend, ile jest ludzi.

## **Posłowie**

### **1**

Wydaje się to wprost niewiarogodne: z nazwiskiem Bohumila Hrabala zetknąłem się - i to nie tylko ja - po raz pierwszy dopiero z górą czterdzieści lat temu, w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Dobiegał wówczas pięćdziesiątki, ale wciąż był człowiekiem prywatnym, ponoć doskonale zapowiadającym się pisarzem, który miał wprowadzić za sobą literacki debiut, ale niepozorny. Wydał w kilkuseteg-zemplarzowym nakładzie garść opowiadań. Jednakże, choć publicznie nieznany, w pewnych środowiskach był pisarzem wielkich nadziei. I - co ciekawe - mimo jego ongiś lewicujących poglądów głośno było o nim w „katolickim undergroundzie”, w kręgach artystycznych skupionych wokół Bedřicha Fučika (nie mylić z Juliuszem!),

wybitnego krytyka i teoretyka literatury, byłego dyrektora wydawnictwa Vyšehrad

(edytora między innymi Karela Schulza). Po komunistycznym puczu z lutego 1948 roku został on skazany na milczenie, więcej - przez wiele lat był więziony, a następnie skazany w jednym z głośnych wówczas procesów przeciwników nowego ładu komunistycznego, tym razem inspirowanych ponoć z Watykanu!

## 2

Nic więc dziwnego, że jako przedstawiciel Instytutu Wydawniczego PAX, a do tego przygotowujący właśnie antologijną prezentację współczesnej prozy czeskiej, do tych kręgów postanowiłem wówczas dotrzeć. I miałem szczęście. Mój znajomy redaktor z Wydawnictwa Literatury Pięknej, Josef Čermak, wybitny kafkolog, prywatnie był zięciem B. Fučika. I to tam, w willi na jednym z praskich przedmieść, poznałem przedstawicieli młodego pokolenia grafików i malarzy, niemieszczących się swoją sztuką w ciasnej przestrzeni zasad realizmu socjalistycznego. Wśród nich znajdował się Mikuláš Medek (notabene, syn Rudolfa, wybitnego pisarza, legionisty, generała i dyrektora Muzeum Niepodległości). Z jego to ust - kiedy konsultowałem z nim projekt edycji antologii opowiadań czeskich - po raz pierwszy usłyszałem nazwisko: Hrabal. Medek (a nie tylko on!) mówił o nim z uznaniem. I nie poprzestał na tym: obiecał, że umówi nas ze sobą...

Rzeczywiście - w kilka dni później spotkaliśmy się. Znał moje zamiary, więc wręczył mi po prostu dwa maszynopisy: *Lekcje tańca...* i *Bambini di Praga* (tom opowiadań zawierający obok tytułowego - w pełniejszej wersji niż późniejsza książkowa - kilka innych utworów).

Minęło kilkanaście miesięcy - i ukazała się moja autorska antologia *Więcej niż miłość*, pękaty, blisko czterystu stronicowy tom prezentujący po raz pierwszy po polsku w formie książkowej takich między innymi pisarzy, jak: Jan Čep, Jakub Deml, Ladislav Klima, Josef Knap, František Křelina, Vaclav Renč, Josef Škvorecky, Jiří

Weil, Richard Weiner, a wreszcie Rudolf Medek i Bohumil Hrabal.

Był rok 1964.

## 3

Wszystko to przypominam nie bez powodu. Bo oto kolejny - niezwykły - zbieg

okoliczności. Otóż w czterdzieści kilka lat później przekładałam dla wydawnictwa

Czytelnik (a ukazały się tu już dwukrotnie *Listopadowy huragan* i *Podziemne rzeczki* w jednym tomie jako Listy do Kwiecieńki) nietłumaczony dotychczas zbiór Bohumila Hrabala z historycznego roku 1968, tom, który nazwałam *Pieśni dziadowskie i legendy*.

Tak się złożyło, że dotychczas żaden polski wydawca po tę książkę - chyba bardzo istotną w dorobku autora *Postrzyżyn* - nie sięgnął, chociaż kilka utworów tego zbioru na język polski przełożono: *Legendę o pięknej Julci* i *Legendę o igłach*

*Lamertza*, a także *Pieśń dziadowską, którą napisali czytelnicy*. Może to istotnie utwory najdojrzalsze czy najbardziej charakterystyczne, ale...

Właśnie!

I tu okazuje się, jak istotny jest moment historyczny, kiedy ta książka pojawia się na półkach. Wszak rok 1968 to - krótki, niestety - sezon uchylających się szerzej swobód i niemałych nadziei. Bohumil Hrabal nie omieszkał wejść z właściwym sobie impetem w ten sprzyjający twórcom klimat, tym bardziej że doskonale zdawał sobie sprawę, co oznacza przestrzeń wolność i, bo miał za sobą gorzkie doświadczenia.

Dwadzieścia lat utraconych to dla pisarza bardzo wiele. Dla Hrabala terror monometody oznaczał konieczność rezygnacji nawet w literackich wprawkach z eksperymentu, doskonale bowiem zdawał sobie sprawę z tego, że uleganie takim pokusom - a były one mu niejako wrodzone - uniemożliwia wyjście z literackiego undergroundu, a to - co stwierdzam z głębokim przekonaniem - przekreśliło, uniemożliwiło powstanie czeskiego realizmu magicznego. A stworzyć go mógł jedynie

Bohumil Hrabal. I stworzyłyby go, gdyby nie realny socjalizm.

Skąd to przekonanie? I to przekonanie graniczące z pewnością?

Wystarczy analiza choćby *Pieśni dziadowskiej o uczcie podczas świniobicia*, gdzie na niewielkiej przestrzeni ujawniają się wszystkie oryginalne cechy talentu

Hrabala, które - a zwłaszcza ta pogodna groteskowość, wynikająca z czeskiego poczucia humoru, a także tej hanacko-morawskiej odmiany ludowego katolicyzmu, którym nasiąkał w domu dziadków w Brnie-Židenicach - stanowiłyby z całą pewnością o jego specyfice. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

A inne opowiadania zapowiadają niedwuznacznie, z jaką pasją i jak surowo wymierzałyby sprawiedliwość tamtym czasom, temu bez mała ćwierćwieczu (1945-

1968), które witał z nadzieją, a już po roku 1948 oceniał krytycznie, czemu tu daje wyraz. Dokonała się wszakże „trzecia praska defenestracja” (jak Graham Greene nazwał

okoliczności tragicznej śmierci Jana Masaryka), toczą się procesy polityczne

(między innymi Zaviša Kalandry, pisarza i publicysty, niewinnie skazanego i powieszono, któremu Hrabal w jednej ze swoich „pieśni dziadowskich” oddaje hołd w ujmująco subtelny sposób), panoszy się bezpieka i sowieccy doradcy... A przecież -

to już w domyśle - gdyby nie jałtański dyktat, wyzwolenie mogłoby przyjść skądinąd.

(I tu należy otworzyć nawias, nazwijmy go tak, historyczny. Gottwaldowska klika wyniesiona do władzy dzięki zbrojnym oddziałom milicji robotniczej musiała stawić czoła nie tylko opozycji prawicowej, lecz także lewicowej - ze strony przedstawicieli partii socjaldemokratycznej, cieszącej się w społeczeństwie czeskim znacznie większą popularnością niż prosowieccy komuniści, z którymi już w latach dwudziestych rozstali się najwybitniejsi pisarze, wśród nich późniejszy laureat literackiej Nagrody Nobla Jaroslav Seifert. Wpływy socjaldemokratów - zwłaszcza na kręgi inteligencji - postanowiono ukrócić. W roku 1950 odbyła się - wzorowana na słynnych procesach moskiewskich, które on, Zaviš Kalandra, cóż za gorzki paradoks!,

tak gwałtownie już wówczas potępiał - rozprawa sądowa z przedstawicielami tej partii. Ofiarą padła Milada Horakova, jedna z najwybitniejszych działaczek partii, która do końca z dumą zaprzeczała wszelkim zarzutom i ze spokojem przyjęła wyrok śmierci. Została powieszona 27 czerwca 1950 roku. A wraz z nią błyskotliwy intelektualista, historyk, teoretyk literatury oraz krytyk literacki i filmowy Zaviš

Kalandra, czterdziestoosmioletni, wzór i mistrz młodszych artystów, a wśród nich Bohumila Hrabala.

Nie można nie wiedzieć, że piękna postać, tak subtelnie zarysowana w jednym z opowiadań *Pieśni dziadowskich i legend*, że ów Zawisz to właśnie on, jak najbardziej godny legendy w czysto hrabalowskim rozumieniu tego słowa).

I pomyśleć, że to wszystko ożywa pod piórem pisarza, który - jak jego zdaniem cały naród czeski - „miał skłonność do chlania i do komunizmu”. Co więcej - to ostatnie pojęcie wykreślił dopiero pod koniec życia.

#### 4

O kreacyjnej potędze pisarstwa Bohumila Hrabala świadczyć by mogło i to, że gdy na spotkaniu w Czeskim Centrum pojawił się Egon Bondy, jeden z bohaterów jego książek, przyjąłem jego tam obecność z niedowierzaniem: oto zjawia się postać wymyślona przez

pisarza, a nie człowiek z krwi i kości.

Zresztą w tych opowiadaniach pojawia się także Mikulaš Medek, od którego wszystko co hrabalowskie w Polsce się zaczęło.

I tak zamyka się krąg.

Bohumil Hrabal mógłby już mieć w Polsce swoje dzieła zebrane. Przełożono niemal wszystko, a ja mam tę satysfakcję, że to u nas rozpocząłem. A teraz kończę: w roku, kiedy mija pięćdziesiąt lat od publikacji pierwszego mojego przekładu z literatury czeskiej, *Pierścienia królowej* Karela Schulza, ukazują się *Pieśni*

*dziadowskie i legendy...*

Oby cieszyły się równą popularnością, jak tych kilkanaście innych książek

Bohumila Hrabala w moich tłumaczeniach, spośród których wiele ukazało się w niejednym wydaniu, tak że łączny ich nakład przekroczył bodaj pół miliona egzemplarzy.

A skoro już pozwoliłem sobie na tych kilka słów *pro domo sua* - dodam jeszcze, że Hrabalowskie *Bambini di Praga* w wersji scenicznej (w moim przekładzie)

obejrzało wiele tysięcy widzów, gdyż ilość przedstawień sięga już dwustu pięćdziesięciu!

Andrzej Czcibor-Piotrowski

*28 marca 2006 roku*

*(w dziewięćdziesiątą drugą rocznicę*

*urodzin Bohumila Hrabala)*

## **Document Outline**

Strona 1 Strona 2

